

DONNA LEON

ZGUBNE ŚRODKI



KOMISARZ BRUNETTI I TAJEMNICE WENECJI

Donna Leon

Zgubne Środki

(Fatal Remedies)

Przełożyła: Małgorzata Żbikowska

Di questo tradimento

Chi mai sarà l'autor?

Tej zdrady

Kto mógł się dopuścić?

Libretto opery *La clemenza di Tito* Mozarta

Rozdział 1

Kobieta weszła na cichy, pusty plac. Po lewej stronie miała zakratowane okna banku, pustego i pogrążonego w głębokim śnie, jak zwykle we wczesnych godzinach rannych. Zatrzymała się na środku placu, przy żelaznych łańcuchach otaczających pomnik Daniele Manina, który oddał życie za wolność miasta. Jakże stosowne – pomyślała.

Odwróciła się, słysząc hałas z lewej, lecz był to tylko stróż nocny z owczarkiem niemieckim. Pies wyglądał na zbyt młodego i przyjacielsko usposobionego, by uchodzić za postrach złodziei. Nawet jeżeli stróża zdziwiła obecność kobiety w średnim wieku na placu o trzeciej piętnaście nad ranem, to wcale tego nie okazał. Obszedł drzwi wszystkich sklepów, wtykając pod żaluzje i w zamki pomarańczowe karteczki na dowód, że czuwał i zastał lokale w nienaruszonym stanie.

Kiedy stróż i pies się oddalili, kobieta podeszła do wielkiej szklanej witryny na końcu placu. Przez chwilę studiowała przyklejone do niej plakaty, informujące o ofertach specjalnych i o tym, że można tu płacić kartami MasterCard, Visa i American Express. Z lewego ramienia zdjęła niebieską płócienną torbę, postawiła ją na ziemi, po czym schyliła się i prawą ręką sięgnęła do środka. Zanim zdążyła coś wyjąć, usłyszała za plecami kroki. Cofnęła gwałtownie rękę i wyprostowała się. Byli to pasażerowie tramwaju wodnego numer jeden, który zatrzymywał się przy moście Rialto o trzeciej piętnaście. Czterej mężczyźni i kobieta przeszli przez plac, kierując się do innej części miasta. Ich kroki powoli cichły, a potem zastukały na moście wychodzącym na Calle della Mandola.

Kobieta znów pochyliła się nad torbą i tym razem wyjęła z niej sporych rozmiarów kamień, jeden z tych, które leżały od lat na biurku w jej gabinecie. Przywiozła go z wakacji spędzonych na plaży w Maine przed z górą dziesięciu

laty. Miał wielkość grejpfruta i doskonale się mieścił w obciążonej rękawiczką dłoni. Utkwiwszy w nim wzrok, podrzuciła go kilka razy jak tenisistka szykująca się do serwu. Przeniosła spojrzenie z kamienia na witrynę, a potem znów popatrzyła na kamień i cofnęła się o krok. Od witryny dzieliło ją około dwóch metrów. Stała do niej bokiem, lecz tak, by nie spuszczać jej z oczu. Uniosła kamień na wysokość głowy, a potem odchyliła też drugą rękę, przypominając sobie, czego uczył ją pewnego lata syn, chcąc pokazać, jak rzucają chłopcy. Zdała sobie sprawę, że przynajmniej część jej życia rozpadnie się na skutek tego, co za chwile zrobi, zaraz jednak odsunęła tę myśl, uznając ją za melodramatyczną i egoistyczną.

Wyrzuciła ramię przed siebie płynnym ruchem, wkładając w to całą swoją siłę, i wypuściła kamień z dłoni, po czym zrobiła krok w przód dla utrzymania równowagi. To zmusiło ją do pochylenia głowy, dzięki czemu kawałki rozpryskującego się szkła zatrzymały się we włosach, nie raniąc twarzy.

Kamień musiał trafić na jakąś skazę w szkłe, bo zamiast wybić dziurę podobnej jak on wielkości, utworzył trójkąt o wysokości dwóch metrów i prawie takiej samej podstawie. Oczekała, aż szkło przestanie się sypać, jednak w tej samej chwili w pomieszczeniu na tyłach biura włączył się alarm, przerywając ciszę nocną ostrym, płaczącym sygnałem. Kobieta wyprostowała się, powyjmowała kawałki szkła, które wbiły się w materiał płaszcza, i potrzęsła mocno głową, na wypadek gdyby i tam utkwily odłamki. Potem zarzuciła torbę na ramię i nagle poczuła, że kolana się pod nią uginają. Przysiadła więc na jednym ze słupków połączonych żelaznymi łańcuchami.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak wielką wybiła dziurę. Na tyle dużą, by mógł przejść przez nią człowiek. Rozbiegały się od niej drobne, przypominające pajęczynę pęknięcia. Szkło wokół otworu straciło przejrzystość i wyglądało jak mleczne, lecz ostre, wygięte do wewnątrz końcówki nie stały się przez to mniej

groźne.

Za plecami kobiety, w mieszkaniu na górze, na lewo od banku, zapaliło się światło, a potem rozjaśniło się okno tuż nad ciągle wyjącym alarmem. Mijały minuty, lecz kobieta przyjmowała to z dziwną obojętnością. Co będzie, to będzie, prędzej czy później zjawi się tu policja. Martwił ją tylko hałas, który zakłócał spokój nocny. Lecz o to przecież chodziło – o zburzenie spokoju.

Rozwarły się okiennice i pojawiły się w nich trzy głowy, by po chwili zniknąć. W kolejnych oknach rozbłysły światła. Nie sposób było spać, gdy zawodzący alarm ogłaszał, że w mieście popełniono przestępstwo. Po jakichś dziesięciu minutach na plac wbiegli dwaj policjanci, jeden z pistoletem w ręku. Ten uzbrojony zatrzymał się przy wybitej w szybie dziurze.

– Ktokolwiek jest w środku, wychodzić! – zawołał. – Policja!

Nic się nie stało. Alarm nadal wył. Policjant powtórzył wezwanie, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, zwrócił się do partnera, który wzruszył ramionami i pokręcił głową. Policjant schował broń i zbliżył się do witryny. Piętro wyżej otworzyło się okno.

– Nie możecie wyłączyć tego cholerstwa? – zapytał gniewny głos. – Chciałbym jeszcze pospać.

Drugi policjant podszedł do kolegi i obaj zajrzeli przez dziurę. Potem ten pierwszy kopnął ostre kawałki szkła, sterczące niebezpiecznie u dołu witryny. Obaj weszli do środka i zniknęli w ciemności. Mijały minuty i nic się nie działo. Po pewnym czasie alarm na tyłach ucichł.

Policjanci wrócili do pomieszczenia od frontu. Jeden z nich oświetlał sobie drogę latarką. Rozejrzeli się po biurze, by sprawdzić, czy nic nie zginęło i czy czegoś nie zniszczono, potem wyszli przez dziurę na plac. Dopiero wówczas spostrzegli siedzącą na kamiennym słupku kobietę.

Podszedł do niej ten, który wyciągnął broń.

– *Signora*, widziała pani, co tu się stało?

– Tak.

– Kto to zrobił?

Słyszając pytania kolegi, drugi policjant podszedł do nich, zadowolony, że tak łatwo znaleźli świadka zdarzenia. Dzięki temu nie będą musieli chodzić od drzwi do drzwi, zadawać pytań ani spisywać zeznań. Zamiast stać na zimnie, wrócą do ciepłej komendy i napiszą raport.

– Kto to był? – powtórzył pytanie pierwszy policjant.

– Ktoś rzucił kamieniem w witrynę – odpowiedziała kobieta.

– Jak wyglądał ten człowiek?

– To nie był mężczyzna.

– Kobieta? – zdziwił się drugi.

Miała ochotę spytać, czy jest jeszcze jakaś inna możliwość, lecz się powstrzymała. Żadnych żartów, dopóki nie załatwi wszystkiego do końca.

– Tak, kobieta.

Pierwszy zmierzył drugiego ostrym spojrzeniem i kontynuował przesłuchanie.

– Jak ona wyglądała?

– Około czterdziestu lat, jasne włosy do ramion.

Kobieta miała chustkę na głowie, policjant nie widział więc koloru jej włosów.

– Jak była ubrana? – spytał.

– Brązowy płaszcz, brązowe buty.

Popatrzył na jej płaszcz i buty.

– To nie są żarty, signora. Chcemy wiedzieć, jak ona wyglądała.

Spojrzała mu prosto w oczy. W świetle ulicznych lamp policjant dostrzegł błysk gniewu.

– Ja wcale nie żartuję. Już powiedziałam, jak ona wyglądała.

– Ale pani opisała siebie, signora.

Po raz kolejny wewnętrzny głos powstrzymał ją przed melodramatyczną odpowiedzią w rodzaju: „Sam pan to przyznał”. Zamiast tego skinęła jedynie głową.

– Pani to zrobiła? – spytał pierwszy z nieskrywanym zdumieniem w głosie.

Ponownie kiwnęła głową.

– Rzuciła pani kamieniem w witrynę? – chciał się upewnić drugi.

Skinęła głową po raz trzeci.

Policjanci odeszli na bok, tak by ich nie słyszała, lecz nie spuszczała z niej oczu. Nachylili się ku sobie i chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami, po czym jeden z nich wyciągnął telefon komórkowy i połączył się z komendą. W tym momencie nad ich głowami otworzyło się okno, ktoś przez nie wyjrzał, lecz zaraz zniknął, a okno zamknęło się z trzaskiem.

Funkcjonariusz rozmawiał kilka minut przez telefon, zdając relację i informując, że mają już sprawcę zdarzenia. Kiedy oficer dyżurny powiedział, żeby przyprowadzili go na komendę, policjant nie sprostował polecenia. Wyłączył telefon i schował do kieszeni munduru.

– Danieli kazał mi ją przyprowadzić – poinformował kolegę.

– To znaczy, że ja mam tu zostać? – spytał drugi, nie kryjąc irytacji, że będzie musiał sterczeć na zimnie.

– Możesz poczekać w środku. Danieli dzwoni właśnie do właściciela. Chyba gdzieś tu mieszka niedaleko. – Podał koledze telefon komórkowy. – Zadzwoń, jeżeli się nie pokaże.

Policjant wziął komórkę, rezygnując z dalszych protestów.

– Dobrze, zaczekam tu. Ale następnym razem to ja doprowadzam zatrzymanego.

Jego partner uśmiechnął się i kiwnął głową. W pełnej zgodzie podeszli do kobiety, która przez cały czas siedziała na kamiennym słupku, wpatrując się

w rozbitą witrynę i rozsypane wokół kawałki szkła.

– Proszę iść ze mną – powiedział pierwszy policjant. Bez słowa wstała ze słupka i ruszyła w stronę wąskiej uliczki, biegnącej na lewo od rozbitej witryny. Żaden z policjantów nie zwrócił uwagi na to, że wiedziała, którądy prowadzi najkrótsza droga do komendy.

Dotarcie do niej zajęło im dziesięć minut. W tym czasie nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Minęli uśpiony Piazza San Marco i skręcili w zaułek prowadzący na bulwar San Lorenzo. Gdyby napotkani po drodze nieliczni przechodnie przyjrzeni się im uważniej, zobaczyliby atrakcyjną, elegancką kobietę w towarzystwie policjanta. Ich obecność na ulicy o czwartej nad ranem mogła wydawać się dziwna – może okradziono jej mieszkanie lub wezwano ją do komendy z powodu dziecka, które coś przeskrobało.

Nikt na nich nie czekał przed drzwiami, policjant musiał więc kilka razy zadzwonić. W końcu w oknie dyżurki pojawiła się zaspana twarz młodego policjanta. Dyżurny cofnął się na ich widok, lecz zaraz podbiegł do drzwi, wkładając po drodze mundur.

– Nikt mnie nie uprzedził, że przyjdiesz, Ruberti – powiedział tonem przeprosin.

Ten zbył go milczeniem i odesłał z powrotem do łóżka. Pamiętał, jak to jest być nowym na służbie i zostać wyrwanym z głębokiego snu.

Poprowadził kobietę na pierwsze piętro do pokoju mundurowych. Otworzył przed nią drzwi, zaczekał, aż wejdzie, po czym sam wszedł i zajął miejsce za biurkiem. Otworzył jedną z szuflad, wyjął gruby blok z kwestionariuszami, cisnął go na blat, wreszcie dał znak kobiecie, by usiadła.

Rozpięła płaszcz i zajęła miejsce na wprost niego. Tymczasem policjant wziął się do wypełniania formularza: odnotował datę, godzinę, swoje nazwisko i stopień. Kiedy dotarł do rubryki „przestępstwo”, zawahał się i wpisał „wandalizm”.

Uniósł wzrok i po raz pierwszy przyjrzał się uważnie kobiecie. Zaskoczyło go to, co zobaczył; jej ubiór, włosy, nawet sposób siedzenia – wszystko to świadczyło o pewności siebie, jaką dają pieniądze, i to duże. Oby to nie była wariatka – pomyślał.

– Czy ma pani jakiś dowód tożsamości, *signora*?

Kiwnęła głową i sięgnęła do torby. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że kobieta, którą właśnie aresztował, może wyciągnąć jakiś niebezpieczny przedmiot. Po chwili wyjęła ze skózanego portfela beżowy dowód osobisty, otworzyła go i położyła na biurku przed policjantem.

Popatrzył na zdjęcie, pomyślał, że zrobiono je pewnie dawno, gdy była prawdziwą piękną, po czym odczytał nazwisko.

– Paola Brunetti? – spytał z nieukrywanym zaskoczeniem.

Skinęła głową.

– Chryste, pani jest żoną Brunettiego!

Rozdział 2

Telefon zadzwonił, gdy Brunetti leżał na plaży, osłaniając ręką oczy przed piaskiem wzbijanym przez tańczące hipopotamy. Oczywiście działo się to w krainie snów: plaża była wynikiem gwałtownej kłótni, do której doszło między nim a Paolą kilka godzin temu, hipopotamy zapewne miały powstrzymać go przed ucieczką do salonu, gdzie Chiara oglądała drugi epizod *Fantazji*.

Dopiero po szóstym sygnale Brunetti zorientował się, co to za dźwięk, i sięgnął po słuchawkę.

– Tak? – spytał niezbyt przytomnie. Spał niespokojnie, co zdarzało się zawsze, gdy pokłócił się z Paolą.

– Commissario Brunetti? – spytał męski głos.

– *Un momento* – powiedział.

Odłożył słuchawkę, zapalił światło, przekręcił się na plecy, nasunął kołdrę na ramię, po czym sprawdził, czy nie ściągnął jej z Paoli, lecz miejsce żony było puste. Pewnie poszła do łazienki lub zeszła do kuchni napić się wody czy gorącego mleka z miodem, jeżeli ich kłótnia wciąż tkwiła jej w głowie tak jak jemu. Przeprosi ją, gdy wróci do sypialni, za to, co powiedział, i za ten telefon, chociaż jej nie obudził.

Ponownie sięgnął po słuchawkę.

– Tak, o co chodzi? – spytał, opadając na poduszki z nadzieją, że to nie ktoś z komendy z informacją o nowej zbrodni.

– Mamy pańską żonę, *commissario*.

Poczuł nagle zupełną pustkę w głowie. Tak zwykle mówili porywacze, lecz co znaczył zwrot *commissario*?

– Słucham? – powiedział, gdy mózg znowu zaczął funkcjonować.

– Mamy pańską żonę – powtórzył głos.

– Kto mówi? – zapytał niecierpliwym tonem.

– Ruberti, *commissario*. Jestem w komendzie. – Zapadła cisza, po czym mężczyzna dodał: – Miałem nocny dyżur z Bellinim.

– Coś mówiłeś o mojej żonie? – spytał Brunetti, którego nie obchodziło, gdzie oni są ani kto ma nocny dyżur.

– Tak, *commissario*. To znaczy ja jestem w komendzie, a Bellini na Campo Manin.

Brunetti zamknął oczy i wsłuchał się w odgłosy domu. Panowała kompletna cisza.

– Co ona tam robi, Ruberti?

– Aresztowaliśmy ją – odpowiedział Ruberti po dłuższej przerwie. – To znaczy przyprowadziłem pańską żonę tutaj – dodał, gdy Brunetti milczał. – Nie została jeszcze aresztowana.

– Daj mi ją do telefonu – polecił Brunetti.

Trochę odczekał, zanim usłyszał głos Paoli.

– Ciao, Guido.

– Naprawdę jesteś w komendzie? – spytał.

– Tak.

– Więc zrobiłaś to?

– Mówiłam ci, że zrobię – odparła Paola.

Brunetti zamknął oczy i nerwowo wyprostował ramię. Po chwili znów przyłożył słuchawkę do ucha.

– Powiedz mu, że będę tam za piętnaście minut. Poza tym nic nie mów i niczego nie podpisuj.

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę i wstał z łóżka.

Ubrał się, zszedł do kuchni i zostawił dzieciom kartkę z informacją, że musieli

z matką wyjść i wkrótce wrócić. Opuścił mieszkanie, zamknął cicho drzwi i ostrożnie niczym złodziej zszedł po schodach.

Na ulicy skręcił w prawo i ruszył niemal biegiem, czując, jak płoną w nim złość i strach. Ze wzrokiem wbitym w ziemię minął pusty rynek i przeszedł przez most Rialto. Przypomniawszy sobie jej gniew i pasję, z jaką uderzyła dłonią w stół, wprawiając w drżenie talerze i przewracając butelkę z czerwonym winem. Patrzył, jak wino wsiąka w obrus, i zastanawiał się, czemu ta sprawa tak ją rozwścieczyła. Zarówno wtedy, jak i teraz miał pewność, że cokolwiek zrobiła, działała pod wpływem tego właśnie gniewu. Dziwił się wszakże tak gwałtownej reakcji na coś, co wydarzyło się daleko stąd. W ciągu wielu lat małżeństwa zdążył przywyknąć do jej wybuchów wściekłości i przekonać się, że każda niesprawiedliwość, urzędnicza, polityczna czy też społeczna, była w stanie przyprawić ją o atak gniewu. Nigdy jednak nie potrafił przewidzieć, kiedy posunie się tak daleko, że nie będzie mogła nad sobą zapanować.

Idąc przez Campo Santa Maria Formosa, przypomniał sobie, co wówczas powiedziała, nie zważając na ostrzeżenia, że dzieci słuchają, i nie bacząc na zaskoczenie, malujące się na jego twarzy.

– To dlatego, że jesteś mężczyzną – syknęła ze złością. – Trzeba sprawić, żeby drogo za to zapłacili – dodała. – W przeciwnym razie dalej będą tak robić. Nie dbam o to, czy to jest legalne, czy nie – oznajmiła na koniec. – To, co robią, jest złe i ktoś musi ich powstrzymać.

Jak zwykle w takich wypadkach Brunetti zlekceważył jej wybuch gniewu, a potem zapowiedź – a może groźbę – że sama się tym zajmie. No i proszę, trzy dni później skręcał na bulwar San Lorenzo, zmierzając do komendy, gdzie siedziała Paola, aresztowana za przestępstwo, o którym uprzedzała.

Wpuścił go młody policjant, salutując służbiście. Brunetti nie zwrócił na niego

uwagi, tylko szybko wszedł na schody. Pokonywał po dwa stopnie naraz, aż wreszcie otworzył drzwi do pokoju mundurowych. Ruberti siedział za biurkiem, a Paola na wprost niego.

Ruberti wstał i zsalutował. Brunetti skinął głową i spojrzał na Paolę. Ich oczy się spotkały, lecz komisarz nie odezwał się słowem, Dał znak Rubertiemu, by usiadł, po czym kazał mu opowiedzieć, co zaszło.

– Przed godziną otrzymaliśmy wezwanie. Na Campo Manin włączył się alarm, poszliśmy więc z Bellinim to sprawdzić.

– Na piechotę?

– Tak.

Ruberti zamilkł, więc Brunetti dał znak, żeby kontynuował.

– Kiedy tam dotarliśmy, zobaczyliśmy, że witryna jest rozbita, a alarm wyje jak szalony.

– Skąd dochodził? – spytał komisarz, chociaż wiedział.

– Z pokoju na zapleczu.

– Tak, ale co tam jest?

– Biuro podróży, commissario.

Ruberti ponownie umilkł i Brunetti musiał go ponaglić.

– Co było potem?

– Weszliśmy do środka i wyłączyliśmy prąd. By alarm przestał wyc – wyjaśnił niepotrzebnie. – Kiedy stamtąd wyszliśmy, zobaczyliśmy kobietę, która jakby na nas czekała. Zapytaliśmy ją, czy wie, co tu się stało. – Spojrzał na biurko, następnie przeniósł wzrok na Brunettiego, a potem na Paolę. Ponieważ żadne z nich się nie odezwało, podjął relację: – Powiedziała, że wie, kto to zrobił, a kiedy poprosiliśmy, żeby go opisała, oznajmiła, że to była kobieta.

Umilkł, popatrzył na nich, lecz oboje nadal milczeli.

– Potem, gdy poprosiliśmy, żeby opisała tę kobietę, opisała siebie, a kiedy

zwróciłem na to uwagę, odparła, że ona to zrobiła. Rozbiła szybę. Właściwie to tego nie powiedziała – dodał po chwili namysłu. – Lecz skinęła głową, gdy spytałem, czy to zrobiła.

Brunetti usiadł na krześle obok Paoli i złożył ręce na biurku.

– Gdzie jest Bellini? – spytał.

– Został tam. Czeka na właściciela.

– Jak długo już tam jest?

Ruberti spojrzął na zegarek.

– Ponad pół godziny.

– Ma przy sobie telefon?

– Tak.

– To zadzwoń do niego – polecił komisarz.

Ruberti przysunął sobie telefon, lecz zanim zdążył wystukać numer, usłyszeli kroki na schodach i do pokoju wszedł Bellini. Zasalutował na widok Brunettiego, lecz nie był w stanie ukryć zdziwienia, że widzi go o tak niezwykłej porze.

– *Buon di*, Bellini – powiedział Brunetti.

– *Buon di, commissario* – odrzekł policjant i spojrzął na Rubertiego, jakby pytał, o co tu chodzi.

Ruberti nieznacznie wzruszył ramionami.

Brunetti sięgnął po blok z formularzami. Zobaczył schludne pismo Rubertiego, datę i czas popełnienia przestępstwa, nazwisko funkcjonariusza i określenie przestępstwa. Nic więcej nie było zapisane, ani w miejscu, gdzie powinno się znaleźć nazwisko aresztowanego, ani też w rubryce „przesłuchanie”.

– Co powiedziała moja żona?

– Już mówiłem, że właściwie niczego nie powiedziała. Tylko skinęła głową, kiedy spytałem, czy ona to zrobiła – wyjaśnił Ruberti, po czym dodał *commissario*, żeby stłumić ciche gwizdnięcie, jakie wydobyło się z ust partnera.

– Musieliście źle ją zrozumieć, Ruberti – podsumował Brunetti.

Paola pochyliła się w przód, jakby chciała coś powiedzieć, lecz on położył dłoń na formularzu i zmiął go w ciasną kulkę.

Ruberti przypomniał sobie swoje początki, gdy jako młody funkcjonariusz padał z niewyspania i pocił się ze strachu, a komisarz przymykał oko na błędy i chwile słabości nowicjusza.

– Tak, *commissario*, możliwe, że źle panią zrozumiałem – odpowiedział, po czym spojrzał na Belliniego, który kiwnął głową, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, wiedząc jednak, co powinien zrobić.

– Dobrze – rzeki Brunetti i wstał. Zmiętą kulkę papieru wsunął do kieszeni płaszcza. – Zabiorę teraz żonę do domu.

Ruberti również wstał i podszedł do Belliniego.

– Na miejscu jest teraz właściciel, *commissario* – poinformował Bellini.

– Powiedziałeś mu coś? – spytał Brunetti.

– Nie. Tylko to, że Ruberti poszedł do komendy.

Brunetti kiwnął głową. Dał znak Paoli, nawet jej nie dotykając. Wstała z fotela, lecz nie podeszła do męża.

– W takim razie dobranoc, panowie. Zobaczymy się rano.

Obaj funkcjonariusze zasalutowali. Brunetti machnął ręką, po czym cofnął się, by przepuścić Paolę. Wyszła pierwsza, on za nią. Zamknął drzwi i oboje zeszli, jedno za drugim, po schodach. Dyżurny policjant otworzył im drzwi. Skinął Paoli głową, chociaż nie miał pojęcia, kim jest, i zasalutował przełożonemu.

Rozdział 3

Za drzwiami komendy Brunetti skręcił w lewo, w pierwszą przecznicę. Tu przystanął, zaczekał na Paolę i razem w milczeniu ruszyli pustą uliczką. Nogi automatycznie niosły ich w stronę domu.

Kiedy skręcili w Salizzada San Lio, komisarz zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos.

– Zostawiłem dzieciom wiadomość – powiedział. – Na wypadek gdyby się obudziły.

Paola kiwnęła głową, lecz on unikał jej wzroku, więc tego nie zauważył.

– Nie chciałem, żeby Chiara się martwiła – dodał. Uświadomił sobie, że mógł zrobić przykrość Paoli, lecz wcale się nie przejął.

– Nie pomyślałam o tym – stwierdziła.

Przejściem podziemnym dotarli na Campo San Bartolomeo z pomnikiem uśmiechniętego Goldoniego. Uśmiech posągu wydawał się zupełnie nie na miejscu. Brunetti spojrzał na zegar. Dochodziła piąta: zbyt późno, by się położyć, lecz zbyt wcześnie, by iść do pracy. Czym wypełnić ten czas? Spojrzał w lewo, ale wszystkie bary były jeszcze zamknięte. Rozpaczliwie tęsknił za kawą, która pozwoliłaby oderwać myśli od tej sprawy.

Za mostem Rialto skręcili w lewo, potem w prawo, do przejścia podziemnego biegnącego wzdłuż Ruga degli Orefici. W połowie drogi napotkali otwarty bar i weszli do środka. Na ladzie piętrzył się stos świeżych drożdżówek, owiniętych jeszcze w papier. Brunetti zamówił dwie kawy z ekspresu i zignorował bułeczki. Paola nawet ich nie zauważyła.

Kiedy barman postawił przed nimi napełnione filiżanki, komisarz wsypał do nich cukier i podsunął jedną Paoli. Barman przeszedł na drugi koniec baru i zaczął

układać drożdżówki w oszklonej gablocie.

– No więc? – spytał Brunetti.

Paola upiła łyk kawy i dosypała jeszcze pół łyżeczki cukru.

– Mówiłam ci, że to zrobię.

– Nie tak to brzmiało.

– A jak?

– Powiedziałaś, że każdy powinien to zrobić.

– Bo każdy powinien to zrobić – odpowiedziała, lecz w jej głosie nie było już dawnego gniewu.

– Nie sądziłem, że mówiłaś właśnie o tym.

Brunetti zrobił ręką obszerny gest, obejmujący to wszystko, co się stało, zanim tu weszli.

Paola odstawiła filiżankę na spodeczek i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy.

– Guido, możemy porozmawiać?

Chciał powiedzieć, że przecież to robią, lecz domyślając się jej reakcji, skinął tylko głową.

– Trzy dni temu uświadomiłam ci, co oni robią. A ty odpowiedziałeś, że nie ma w tym niczego nielegalnego – dodała, zanim zdążył jej przerwać. – Że jako biuro podróży mają do tego prawo.

Brunetti kiwnął głową, a kiedy podszedł do nich barman, dał znak ręką, że chce jeszcze dwie kawy.

– Ale to nie jest w porządku – ciągnęła Paola, gdy barman wrócił do ekspresu. – Oboje o tym wiemy. Organizowanie dla bogatych i średnio zamożnych mężczyzn wyjazdów do Tajlandii i na Filipiny, by mogli tam gwałcić dziesięcioletnie dziewczynki, to odrażający proceder. – Uniosła dłoń, zanim zdążył coś powiedzieć. – Wiem, że teraz jest zabroniony. Ale czy kogoś za to aresztowano albo skazano? Doskonale wiesz, że wystarczy zmienić treść reklam, by interes stał się legalny.

„Dyskretna obsługa hotelowa. Miłe towarzystwo”. Nie mów mi, że nie wiesz, co się za tym kryje. Chodzi wciąż o to samo. I to właśnie jest odrażające.

Brunetti milczał. Kelner przyniósł kolejne dwie kawy i zabrał puste filiżanki. Drzwi baru otworzyły się i weszło dwóch krzepkich mężczyzn, wpuszczając do środka podmuch wilgotnego powietrza. Barman natychmiast do nich podszedł.

– Powiedziałaś ci wtedy, że to nie jest w porządku i trzeba ich powstrzymać – zakończyła Paola.

– Myślisz, że możesz ich powstrzymać? – spytał Brunetti.

– Tak. Nie ja jedna – dodała prędko – i nie tylko tu, w Wenecji, rozbijając szybę biura podróży na Campo Manin. Lecz gdyby wszystkie kobiety we Włoszech wyszły w nocy z kamieniami i rozbiły szyby wszystkich biur podróży, które organizują takie wycieczki, to już wkrótce nikt by ich nie organizował, prawda?

– Czy to pytanie retoryczne, czy oczekujesz na nie odpowiedzi?

– Oczekuję odpowiedzi.

Tym razem to ona wsypała cukier do filiżanek.

Brunetti wypił najpierw kawę.

– Nie możesz tego robić, Paolo – powiedział. – Nie możesz rozbijać szyb w biurach lub sklepach, które robią coś, czego twoim zdaniem robić nie powinny, lub sprzedają coś, co budzi twój protest. Pamiętasz, jak Kościół chciał zakazać sprzedaży środków antykoncepcyjnych? – spytał, zanim zdążyła się odezwać. – Pamiętasz, jak wówczas zareagowałaś? Jeżeli nie, to ci przypomnę: tak samo jak teraz. Rozpoczęłaś krucjatę przeciw złu. Tym razem jednak stanęłaś po drugiej stronie, przeciw ludziom, którzy, jak sama mówisz, mają prawo to robić, i chcesz ich powstrzymać przed robieniem tego, co według ciebie jest złe.

Poczuł narastający gniew, który ogarnął go zaraz po przebudzeniu, szedł z nim przez miasto i towarzyszył mu w tym cichym barze.

– Ciągłe to samo – podjął na nowo. – Uznajesz, nie licząc się z nikim

i z niczym, że coś jest złe, a potem uzurpujesz sobie prawo do bycia jedyną sprawiedliwą, która jest w stanie się temu przeciwstawić, bo tylko ona zna prawdę.

Sądził, że Paola się teraz odezwie, lecz ona uparcie milczała.

– I to jest najlepszy przykład – ciągnął dalej. – Czego ty chcesz? Zdjęcia na pierwszej stronie „Gazzettino” w glorii obrończyni dzieci?

Silą woli powstrzymał się przed dalszą przemową, sięgnął do kieszeni, podszedł do kelnera i zapłacił za kawę. Potem otworzył drzwi baru i zaczął na żonę.

Na ulicy Paola skręciła w lewo, lecz zatrzymała się po kilku krokach i zaczęła na niego.

– Czy naprawdę tak to widzisz? Że chcę jedynie przyciągnąć uwagę i pokazać, jaka jestem ważna?

Minął ją, nie odpowiadając na pytanie.

– Naprawdę tak myślisz, Guido?! – zawołała za nim, po raz pierwszy podnosząc głos.

Przystanął i odwrócił się do niej. Za jej plecami zauważył człowieka z wózkiem wypełnionym gazetami i pismami. Zaczekał, aż ich minie.

– Częściowo – odparł.

– To znaczy?

– Nie wiem. Nie umiem tego określić.

– Uważasz, że dlatego to robię?

Irytacja pchnęła go do udzielenia odpowiedzi.

– Dlaczego ty ze wszystkiego robisz taką sprawę, Paolo? Dlaczego wszystko, co robisz, czytasz czy mówisz, a nawet nosisz i jesz, musi mieć takie znaczenie?

Przez dłuższy czas patrzyła na niego w milczeniu, po czym spuściła głowę i ruszyła w stronę domu. Dogonił ją.

– Co to niby miało znaczyć?

– Co takiego?

– To spojrzenie.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego.

– Czasami rozmyślam, gdzie się podział mężczyzna, którego poślubiłam.

– A co to z kolei ma znaczyć?

– To znaczy, że kiedy wychodziłam za ciebie, wierzyłeś we wszystkie te rzeczy, z których się teraz wyśmiewasz. Takie jak sprawiedliwość i co jest właściwe, i jak decydować, co jest właściwe.

– Nadal w nie wierzę – zaprotestował.

– Teraz wierzysz w prawo, Guido – odrzekła łagodnym tonem, jakby mówiła do dziecka.

– I o to właśnie chodzi! – Podniósł głos, ignorując mijających ich ludzi. Zbliżała się godzina otwarcia przystani. – Zrobiłaś coś, co rzeczywiście uważam za głupie czy haniebne. Na litość boską, jestem przecież policjantem! Cóż jeszcze mam robić poza przestrzeganiem i egzekwowaniem prawa?

Cały aż gotował się z wściekłości, był bowiem przekonany, że ona umniejsza i lekceważy jego pracę.

– To dlaczego okłamałeś Rubertiego? – spytała.

Gniew się ulotnił.

– Nie okłamałem go.

– Powiedziałeś mi, że zaszło nieporozumienie, że źle mnie zrozumiał, Lecz on wie i ty wiesz, i ja, i ten drugi policjant, co miałam na myśli i co zrobiłam. – Milczał, więc przysunęła się bliżej. – Złamałam prawo, Guido. Rozbiłam tę szybę i znowu to zrobię. Dotąd będę rozbijać szyby, aż twoje prawo, to szlachetne prawo, z którego jesteś taki dumny, jakoś zareaguje. Bo nie pozwolę, by oni nadal robili to, co robią.

Wiedziony impulsem, chwycił ją za ramiona, lecz nie przyciągnął do siebie, tylko zrobił krok w przód, objął i wtulił jej twarz w zagłębienie szyi. Potem

pocałował w czubek głowy i zanurzył twarz we włosach. Zaraz jednak cofnął się gwałtownie, przyciskając palce do ust.

– Co się stało? – spytała, wyraźnie przestraszona.

Brunetti odsunął dłoń i zobaczył na niej krew. Ponownie dotknął wargi i poczuł coś twardego i ostrego.

– Daj, ja to zrobię – powiedziała Paola, dotykając jego policzka i pochylając się ku niemu. Zdjęła rękawiczkę i przyłożyła dwa palce do jego wargi.

– Co to jest? – spytał.

– Kawałek szkła.

Poczuł ukłucie bólu, a zaraz potem wargi Paoli na swoich.

Rozdział 4

W drodze do domu weszli do cukierni i kupili całą tacę drożdżówek, przekonując siebie, że to dla dzieci, wiedząc jednak, że to na cześć zawartego pokoju, choćby nawet miał się okazać nietrwały. Gdy tylko Brunetti wszedł do mieszkania, natychmiast usunął kartkę z kuchennego stołu i wepchnął ją na samo dno kosza na śmieci, stojącego pod zlewem. Potem po cichu, by nie budzić dzieci, przeszedł korytarzem do łazienki. Wziął długi prysznic, mając nadzieję, że zmyje kłopoty, które spadły na niego tak nieoczekiwanie i o tak wczesnej porze.

W czasie gdy się golił i ubierał, Paola przebrała się w pizamę i flanelowy szlafrok w kratkę. Miała go od tak dawna, że żadne z nich już nie pamiętało, od kogo go dostała.

Siedziała przy stole, czytając czasopismo i mocząc drożdżówkę w wielkim kubku kawy z mlekiem. Wyglądała, jakby właśnie wstała po długim, spokojnym śnie.

– Czy mam cię pocałować w policzek i powiedzieć: „*Buongiorno, cara*, dobrze spałaś”? – zapytał, wchodząc do kuchni, lecz w jego głosie nie było sarkazmu i nie chciał, by tak to zabrzmiało. Jeżeli już, to pragnął odgrodzić ich od tych nocnych wydarzeń, chociaż doskonale wiedział, że to niemożliwe. Przynajmniej odwlec nieuniknione konsekwencje czynu Paoli, nawet gdyby miały się ograniczyć do kolejnej wymiany argumentów, z góry skazanej na niepowodzenie, bo żadne z nich nie zamierzało ustąpić.

Paola uniosła wzrok i uśmiechnęła się, dając tym do zrozumienia, że ona też chętnie odczeka.

– Wrócisz do domu na obiad? – spytała, podnosząc się z krzesła, by nalać mu kawy do szerokiej filiżanki. Dopełniła ją gorącym mlekiem i postawiła na stole

w miejscu, gdzie zwykle siadał.

Brunetti uświadomił sobie dziwaczność sytuacji, którą podkreślał jeszcze fakt, że oboje ją zaakceptowali. Czytał kiedyś, że podczas pierwszej wojny światowej, w okopach na zachodnim froncie, doszło do spontanicznego zawieszenia broni na Boże Narodzenie. Niemcy przechodzili na przeciwną stronę, by zapalić papierosy, częstowali nimi Anglików, a Brytyjczycy uśmiechali się i machali do nich. Kres temu położyły masowe bombardowania. Brunetti się spodziewał, że zawieszenie broni z żoną również nie potrwa długo. Korzystał więc z niego, póki mógł. Dlatego posłodził kawę, wziął drożdżówkę i odpowiedział:

– Nie, muszę jechać do Treviso i porozmawiać z jednym ze świadków zeszłotygodniowego napadu na bank na Campo San Luca.

Napad na bank był w Wenecji wyjątkowym zdarzeniem, toteż komisarz skwapliwie zmienił temat rozmowy i opowiedział Paoli, co mu o tej sprawie wiadomo. Co prawda, pisały o niej wszystkie gazety, lecz faktów było niewiele.

Przed trzema dniami do banku wszedł uzbrojony młody mężczyzna, zażądał pieniędzy, po czym wyszedł z łupem w jednej ręce i bronią w drugiej, oddalając się spokojnie w stronę mostu Rialto. Ukryta w suficie kamera zarejestrowała niewyraźny obraz, który pozwolił policji wstępnie zidentyfikować napastnika. Okazał się nim brat mieszkańca Wenecji, posądzanego o bliskie kontakty z mafią. Bandyta, wchodząc do banku, naciągnął chustkę na usta i nos, lecz zdjął ją po wyjściu, dzięki czemu pewien mężczyzna zobaczył jego twarz.

Tym świadkiem był *pizzaiolo*, piekarz z pizzerii w Treviso, który szedł do banku opłacić kolejną ratę pożyczki i dobrze się przypatrzył rabusiewi. Brunetti miał nadzieję, że po obejrzeniu policyjnych fotografii podejrzanych piekarz wskaże sprawcę. To wystarczy, by aresztować winnego i sporządzić akt oskarżenia. Do tego właśnie świadka wybierał się Brunetti dziś rano.

Gdzieś w głębi mieszkania skrzypnęły drzwi i po chwili usłyszeli znajome ciężkie kroki Raffiego, świadczące o tym, że jeszcze się na dobre nie obudził.

Brunetti wziął kolejną drożdżówkę, dziwiąc się, że jest głodny o tak wczesnej porze. Zwykle śniadanie było dla niego czymś zbędnym i niegodnym uwagi. Dziś, nasłuchując odgłosów budzącego się życia, oboje z Paolą delectowali się bułeczkami i kawą.

Właśnie kończyli śniadanie, gdy znowu skrzypnęły drzwi i chwilę później w hallu rozbrzmiały niepewne kroki Chiary. Weszła do kuchni, przecierając oczy, jakby chciała pomóc im się otworzyć. Szurając bosymi stopami po podłodze, podeszła do ojca, usiadła mu na kolanach, objęła za szyję i oparła głowę na jego barku.

Brunetti otoczył ją ramionami i pocałował w czubek głowy.

– Tak idziesz dziś do szkoły? – spytał lekkim tonem, studiując wzór na piżamie.
– Bardzo ładny strój. Twoim koleżankom z pewnością się spodoba. Balony, bardzo gustowne. Powiedziałbym nawet, że szykowne. Takiej kreacji będą ci zazdrościć wszystkie dwunastolatki.

Paola spuściła wzrok i wróciła do lektury czasopisma.

Chiara uniosła głowę, by popatrzeć na piżamę. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, w kuchni zjawił się Raffi, pocałował matkę, po czym podszedł do ekspresu i nalał sobie kawy. Dopełnił ją gorącym mlekiem i usiadł przy stole.

– Chyba nie masz, tato, nic przeciw temu, że skorzystałem z twojej maszynki do golenia?

– A po co? – spytała Chiara. – By obciąć paznokcie? Bo na twojej twarzy nie ma nic, co mógłbyś golić maszynką.

To mówiąc, przysunęła się bliżej ojca w obawie przed gniewem Raffiego. Brunetti lekkim uściskiem dał jej do zrozumienia, że nie pochwała takiej uszczypliwości.

Raffi wychylił się ku siostrze, lecz zrobił to bez przekonania. Zatrzymał rękę nad talerzem z bułeczkami, po czym wziął jedną, umoczył w kawie i ugryzł potężny kęs.

– Skąd te drożdżówki? – spytał. – Ty wychodziłeś? – zwrócił się do ojca, kiedy nikt nie odpowiedział.

Brunetti kiwnął głową, puścił Chiarę i wstał.

– Gazety też kupiłeś? – zapytał Raffi z pełnymi ustami.

– Nie – odpowiedział Brunetti, idąc w stronę drzwi.

– Jak to?

– Zapomniałem – skłamał, wyszedł do hallu, włożył płaszcz i opuścił mieszkanie.

Skręcił w stronę mostu Rialto i ruszył znaną mu od lat trasą do komendy. Zazwyczaj cieszył go jakiś drobny element wychwycony po drodze: wyjątkowo absurdalny nagłówek w gazecie, błąd ortograficzny w nadruku na tanich podkoszulkach, którymi obwieszane były stragany na rynku, widok długo wyczekiwanego owocu czy warzywa. Dziś jednak, idąc przez targ, na nic nie patrzył i niczego nie dostrzegał. Zszedł z mostu i skręcił w jedną z wąskich uliczek prowadzących do komendy.

Cały czas myślał o Rubertim i Bellinim, zastanawiając się, czy lojalność wobec przełożonego, który traktował ich przyzwoicie, będzie na tyle silna, by wziąć górę nad przysięgą lojalności złożoną państwu. Przypuszczał, że tak, kiedy jednak uświadomił sobie, jak podejrzanie bliskie było to zasadom wyznawanym przez Paolę, odsunął od siebie te myśli. Skupił się na czekającym go zebraniu, dziewiątym z cyklu *convocations du personnel*, które wprowadził jego bezpośredni przełożony, zastępca komendanta, Giuseppe Patta, po powrocie ze szkolenia organizowanego przez Interpol w Lyonie.

Patta miał tam okazję zapoznać się z produktami różnych narodów tworzących zjednoczoną Europę: z francuskim szampanem i truflami, duńską szynką, angielskim piwem i jakąś bardzo starą hiszpańską brandy, a także z różnymi formami zarządzania, przedstawionymi przez urzędników poszczególnych krajów. Wrócił do Włoch z walizkami pełnymi wędzonego łososia i irlandzkiego piwa oraz głową naszpikowaną nowymi pomysłami. Pierwszym z nich – i jak dotąd jedynym ujawnionym pracownikom komendy – były cotygodniowe ciągnące się w nieskończoność odprawy pod nazwą *convocations du personnel*, na których przedstawiano sprawy wyjątkowo błahe i mało ważne celem ich przedyskutowania i zanalizowania, co spotykało się z powszechną obojętnością i lekceważeniem.

Brunetti początkowo podzielał opinię większości, że te zebrania przetrwają najwyżej tydzień lub dwa, lecz minęły już dwa miesiące i nic nie wskazywało, by miały się skończyć. Po drugim Brunetti zaczął przynosić ze sobą gazetę, lecz musiał z niej zrezygnować, gdyż porucznik Scarpa, osobisty asystent Patty, pytał za każdym razem, czy tak mało interesują go sprawy miasta, że czyta w trakcie zebrania. Szkoda, że nie dało się znaleźć książki tak małej, by ukryć ją w dłoniach.

Z pomocą, jak często się ostatnio zdarzało, przyszła signorina Elettra. Rano, na dziesięć minut przed piątą odprawą, zjawiła się w jego pokoju i bez żadnych wyjaśnień poprosiła o dziesięć tysięcy lirów. Wręczył żadaną sumę, a wówczas otrzymał dwadzieścia pięćsetlirowych monet. Kiedy spojrzał na nią pytająco, podała mu kartę, trochę większą od pudełka na płyty kompaktowe. Karta była podzielona na dwadzieścia pięć równych kwadratów z wydrukowanym w środku słowem lub zwrotem. Litery były tak małe, że musiał przybliżyć kartonik do oczu, żeby cokolwiek odczytać. Zobaczył takie słowa jak „maksymalizować”, „priorytet”, „źródła zewnętrzne”, „powiązania”, „interaktywny”, „emisja” i mnóstwo innych modnych sformułowań, które trafiły ostatnio do języka.

– Co to jest? – spytał.

– Bingo – wyjaśniła signorina Elettra, po czym dodała: – Moja matka kiedyś w to grała. Wystarczy zaczekać, aż ktoś wypowie jedno ze słów z pańskiej karty, a wówczas przykrywa je pan monetą. Wygrywa ten, kto zakryje pięć słów w jednej linii.

– Co wygrywa?

– Pieniądze innych graczy.

– Jakich innych graczy?

– Zobacz pan – zdążyła jedynie powiedzieć, bo wezwano ich na odprawę.

Od tego dnia zebrania stały się znośne, przynajmniej dla tych, którzy mieli karty. Początkowo w grze uczestniczyły tylko trzy osoby – Brunetti, signorina Elettra i pani komisarz Marinoni, która niedawno wróciła do pracy po urlopie macierzyńskim. Potem karty pojawiały się na kolanach czy w notesach coraz większej liczby osób i Brunettiego w równym stopniu interesowało to, kto ma kartę, jak i wygranie partii. Słowa na kartach co tydzień się zmieniały, zwykle zgodnie z wzorem lub tematyką przemówień Patty. Niekiedy uwzględniały chęć zabłyśnięcia dobrymi manierami i wielokulturowością – to słowo również się pojawiło – jak również sporadyczne próby wykorzystywania słów zaczerpniętych z języków, których nie znał, jak „ekonomia wudu”, „system piramidy” i „Wirtschaftlicher Aufschwung”.

Brunetti przyszedł do komendy na pół godziny przed zebraniem. Ani Rubertiego, ani Belliniego nie było na służbie, toteż księgę raportów z ostatniej nocy wręczył mu inny funkcjonariusz. Komisarz przejrzał ją z pozornym brakiem zainteresowania. Włamanie do domu na Dorsoduro, którego właściciele wyjechali na urlop. Bójka w barze na Santa Marta między dwoma marynarzami z tureckiego frachtowca i dwoma członkami załogi greckiego statku wycieczkowego; trzech zabrano na *pronto soccorso* do szpitala Giustiniana, a czwarty miał złamaną rękę. Nie wniesiono jednak żadnych skarg, chociaż oba statki miały wypłynąć jeszcze

tego popołudnia. Rozbito szybę w biurze podróży na Campo Manin, lecz nikogo nie aresztowano i nie było żadnych świadków zdarzenia. Otwarto, prawdopodobnie śrubokrętem, automat ze środkami przeciwbólowymi przy aptece na Cannaregio i według obliczeń właściciela zabrano siedemnaście tysięcy lirów i szesnaście paczek z lekami.

Odprawa nie przyniosła żadnych niespodzianek. Na początku drugiej godziny Patta ogłosił, że należy sprawdzić, czy organizacje niekomercyjne działające w mieście nie piorą brudnych pieniędzy. W związku z tym policja zwróci się o zgodę na dostęp do ich programów celem weryfikacji przez policyjne komputery. W tym momencie signorina Elettra zrobiła nieznaczny ruch ręką, spojrzała na Vianella, uśmiechnęła się i powiedziała cicho: „Bingo”.

– Słucham, *signorina*?

Patta zdawał sobie sprawę, że coś się dzieje, lecz nie miał pojęcia co.

– Dingo, panie komendancie – odpowiedziała signorina Elettra z uśmiechem.

– Dingo? – powtórzył, patrząc na nią znad okularów, które wkładał na te zebrania.

– Obrońcy zwierząt, ci, którzy ustawiają puszkę w sklepach, żeby zbierać pieniądze na schroniska dla bezpańskich zwierzątek. To też jest organizacja niekomercyjna, więc powinniśmy się z nią skontaktować.

– Naprawdę? – Patta nie wyglądał na przekonanego.

– Chciałam o niej tylko przypomnieć – wyjaśniła.

Patta wrócił do leżących przed nim kartek i zebranie potoczyło się dalej. Brunetti z ręką pod brodą obserwował, jak sześć innych osób układa przed sobą stosiki monet. Porucznik Scarpa przyglądał się im z uwagą, lecz karty ukryte za zasłoną z rąk, notesów i kubków z kawą zdążyły zniknąć. Pozostały jedynie pieniądze. Zebranie ciągnęło się przez następne pół godziny.

W chwili gdy już miało wybuchnąć powstanie – większość uczestników

odprawy nosiła bowiem broń – Patta zdjął okulary i zmęczonym gestem odłożył je na stół.

– Czy ktoś chciałby zabrać głos? – spytał.

Ktoś, kto zamierzał to zrobić, powstrzymał się, zapewne w obawie przed tą bronią, i zebranie dobiegło końca. Patta, a za nim Scarpa opuścili salę. Małe stopy monet zostały przesunięte z obu stron stołu ku signorinie Elettrze. Zebrała je ze zwinnością krupiera, po czym wstała, dając znak, że zebranie rzeczywiście się skończyło.

Brunetti towarzyszył jej w drodze na górę, dziwnie rozbawiony dźwiękiem monet, brzęczących w kieszeni zakietu z szarego jedwabiu.

– Dostęp? – zapytał.

– To jest komputerowe określenie, panie komisarzu – wyjaśniła. – Po angielsku *accessed*.

– To teraz zrobiono z tego czasownik to *access*?

– Chyba tak.

– Ale kiedyś nie było takiego czasownika, jedynie rzeczownik.

– Zdaje się, że Amerykanie mogą robić takie rzeczy ze słowami.

– Tworzyć nowe czasowniki lub rzeczowniki, jak im się podoba?

– Tak, panie komisarzu.

– Aha – mruknął.

Na pierwszym piętrze pożegnał ją kiwnięciem głowy. Ona skręciła do swojego małego biura przy gabinecie Patty, Brunetti zaś poszedł wyżej, rozmyślając o tym, jak to niektórzy swobodnie traktują język, niczym Paola prawo.

Zamknął za sobą drzwi i zaczął przeglądać leżące na biurku papiery. Wciąż jednak myślał o Paoli i nocnych wypadkach. Nie uwolni się od nich i nie rozwiążą problemu, dopóki o nim nie porozmawiają. Jednak już sama myśl o czynie, jakiego się dopuściła, wywoływała w nim taki gniew, że wątpił, czy będzie w stanie

spokojnie z nią rozmawiać.

Spojrzał w okno, zastanawiając się nad prawdziwym powodem jej gniewu. Postępek Paoli, którym zdręczał sobie umysł, mógł zagrozić jego pracy i karierze. Gdyby nie pomoc Rubertiego i Belliniego, gazety wkrótce rozpisywałyby się o tym zdarzeniu. Wielu dziennikarzy – Brunetti zrobił w myślach ich listę – z rozkoszą opisałoby historię występnej żony komisarza policji. Wyobraził sobie to zdanie jako nagłówek wypisany wielkimi literami.

Przynajmniej na razie zdołał powstrzymać Paolę. Przypomnił sobie, jak drżała ze strachu, gdy ją obejmował. Może ten akt agresji, który właściwie był atakiem na czyjąś własność, zadowoli jej poczucie sprawiedliwości. Może gdy Paola się zastanowi, zrozumie, że swoim postępowaniem zagraża jego karierze zawodowej. Spojrzał na zegarek. Pozostało mu akurat tyle czasu, by zdążyć na pociąg do Treviso. Na myśl o tym, że ma się zająć czymś tak nieskomplikowanym jak napad na bank, poczuł prawdziwą ulgę.

Rozdział 5

Wracając po południu do Wenecji, Brunetti nie czuł satysfakcji, chociaż świadek rozpoznał na fotografii mężczyznę, którego zdaniem policji zarejestrowała kamera wideo, i zgodził się zeznawać przeciw niemu. Brunetti poczuł się w obowiązku wyjaśnić, kim jest podejrzany, i uprzedzić o możliwych zagrożeniach wynikających ze składania zeznań na jego niekorzyść. Ku zaskoczeniu komisarza signor Iacovantuono, który pracował jako piekarz w pizzerii, wcale się tym nie przejął, a nawet sprawiał wrażenie, jakby go to w ogóle nie interesowało. Był świadkiem popełnienia przestępstwa, rozpoznał na fotografii mężczyznę podejrzanego o dokonanie tego czynu i zeznawanie przeciw kryminaliście uważał za swój obowiązek obywatelski, bez względu na grożące jemu lub jego rodzinie niebezpieczeństwo. Wydawał się zaskoczony wielokrotnymi zapewnieniami Brunettiego, że otrzyma ochronę policji. Było to tym bardziej niepokojące, że signor Iacovantuono pochodził z Salerno, czyli należał do podatnych na przestępczą działalność południowców, których obecność na północy niszczyła, według powszechnej opinii, społeczną strukturę narodu.

– Ależ, *commissario* – powiedział z ciężkim południowym akcentem – jeżeli nie zrobimy czegoś z tymi ludźmi, to jakie życie będą miały nasze dzieci?

Echo tych słów wciąż brzmiało Brunettiemu w uszach. Zaczął się obawiać, że będą go odtąd ścigać moralne psy gończe, spuszczone ze smyczy przez postępek Paoli. Dla ciemnowłosego pizzaiolo z Salerno wszystko było proste: popełniono zło i jego obowiązkiem jest dopilnować, by zostało ukarane. Nawet uprzedzony o grożącym niebezpieczeństwie trwał w przekonaniu, że musi zrobić to, co uważa za słuszne.

Patrząc na przesuwane się za oknem senne pola na przedmieściach Wenecji,

Brunetti zastanawiał się, dlaczego dla signora Iacovantuona było to takie proste, a dla niego tak skomplikowane. Może sprawę ułatwiał fakt, że okradanie banków uważano za przestępstwo. Wszyscy się co do tego zgadzali, Natomiast żadne prawo nie zabraniało sprzedaży biletów do Tajlandii lub na Filipiny ani ich kupowania. Prawa, w każdym razie tego, które obowiązywało we Włoszech, nie interesowało również, co dana osoba będzie tam robić. Podobnie rzecz się miała z bluźnierstwem. Przyjęte zasady tkwiły w próżni, bo nie było dowodów na jego istnienie.

Przez ostatnie kilka miesięcy, a nawet dłużej, w ogólnokrajowych gazetach i czasopismach pojawiały się artykuły, w których różni eksperci wypowiadali się na temat międzynarodowej seksturystyki, analizując ją od strony statystycznej, psychologicznej i socjologicznej. Były to trzy ulubione przez prasę aspekty przedstawiania gorącego tematu. Czytał kilka takich artykułów, a nawet zapamiętał zdjęcie pracownic domu publicznego w Kambodży – kilkunastoletnich dziewczynek z nieukształtowanymi piersiami, będącymi obrazą dla jego oczu, i zamazanymi twarzyczkami.

Czytał również raporty Interpolu, szacujące liczbę zaangażowanych w ten proceder osób na mniej więcej pół miliona, zarówno klientów, jak i – nie umiał znaleźć innego słowa – ofiar. Przeglądał te dane i jakoś podświadomie zawsze wybierał najniższą z podawanych liczb. Poczulby się zbrukany, gdyby uwierzył w najwyższą.

Właśnie najnowszy artykuł, zamieszczony – o ile sobie przypominał – w „Panoramie”, spowodował wściekłość Paoli. Pierwszy wybuch nastąpił przed dwoma tygodniami. Z głębi mieszkania rozległ się okrzyk: *Bastardi!*, który zniszczył spokój niedzielnego popołudnia i wywołał coś, czego Brunetti bardzo się obawiał.

Nie musiał iść do jej gabinetu, bo wpadła do salonu, ze zwiniętym pismem

w ręku.

– Posłuchaj tego, Guido – oznajmiła bez wstępów.

Rozwinęła pismo, wygładziła je na kolanie i zaczęła czytać:

– „Pedofil, jak sama nazwa wskazuje, to ktoś, kto kocha dzieci”.

Urwała i popatrzyła na niego.

– A gwałcieciel to pewnie ktoś taki, kto kocha kobiety – rzucił Brunetti.

– Wyobrażasz sobie? – spytała Paola, ignorując jego uwagę. – Najpopularniejsze pismo w kraju drukuje, jeden Bóg wie dlaczego, takie gównno! – Popatrzyła na artykuł i dodała: – I ten człowiek wyklada socjologię! Boże, czyż oni nie mają sumienia? Kiedy ktoś w tym odrażającym państwie powie wreszcie, że to my jesteśmy odpowiedzialni za nasze zachowanie, zamiast obwiniać społeczeństwo lub ofiary?

Brunetti nigdy nie odpowiadał na takie pytania i teraz też tego nie zrobił. Zapytał jedynie, co jeszcze piszą w artykule.

Opowiedziała mu, lecz jej gniew wcale się przez to nie zmniejszył. Jak przystało na światowca, na początku autor wymieniał wszystkie znane miejsca na świecie: Phnom Penh, Bangkok, Manilę, by potem przenieść się bliżej, opisując to, co ostatnio zdarzyło się w Belgii i we Włoszech. Lecz to głównie ton artykułu wywołał wściekłość Paoli, a jego – co musiał przyznać – napełnił obrzydzeniem. Zaczynając od zaskakującego stwierdzenia, że pedofile kochają dzieci, współpracujący z pismem socjolog wyjaśniał dalej, iż to społeczeństwo prowokuje mężczyzn do robienia takich rzeczy. Jednym z powodów owego stanu – głosił ten mędrzec – jest tkwiąca w dzieciach ogromna uwodzicielska siła.

Gniew nie pozwolił jej dalej czytać.

– Seksturystyka – mruknęła, zaciskając zęby tak mocno, że aż naprężyły się ścięgna na szyi. – I pomyśleć, że oni mogą zapisać się na wycieczkę, kupić bilet i jechać gwałcić dziesięciolatki.

Rzuciła pismo na kanapę i wróciła do gabinetu, lecz z pomysłem na powstrzymanie tego procederu wystąpiła dopiero wieczorem po kolacji.

Brunetti początkowo myślał, że żartuje, i teraz, gdy się nad tym zastanawiał, doszedł do wniosku, że powodem, dla którego od gniewu przeszła do czynu, była właśnie jego postawa. Zamiast potraktować ją poważnie, spytał wtedy protekcjonalnym tonem, czy sama zamierza z tym walczyć.

– A jeżeli to jest nielegalne? – dodał.

– Co jest nielegalne?

– Rzucanie kamieniami w witryny.

– A legalne jest gwałcenie dziesięciolatek?

Nie chciał ciągnąć tej dyskusji, bo – jak teraz niechętnie przyznawał – nie potrafił na to odpowiedzieć. W pewnych krajach to było legalne, lecz tu, w Wenecji, we Włoszech, za nielegalne uważano rzucanie kamieniami w witryny, i to on miał obowiązek dopilnować, by ludzie tego nie robili, a jeżeli zrobią – by trafili do aresztu.

Pociąg wjechał na stację. Wielu wysiadających niosło owinięte w papier naręczka kwiatów, co przypomniało Brunettiemu, że to pierwszy dzień listopada, Święto Zmarłych, i większość ludzi odwiedzi dziś swoich bliskich na cmentarzu, kładąc na ich grobach kwiaty. Musiał naprawdę być w rozpacz, skoro myśl o zmarłych krewnych uznał za przyjemną odmianę. Nie pójdzie na cmentarz; zresztą rzadko tam chodził.

Postanowił iść do domu i nie wracać już do komendy. Ruszył przez miasto, głuchy i ślepy na jego uroki, rozpamiętując rozmowy i kłótnie, które wywołał wybuch gniewu Paoli.

Jednym z jej dziwactw było chodzenie po domu ze szczoteczką do zębów w ustach. Często krążyła po mieszkaniu lub wchodziła do sypialni, myjąc zęby. Nie zdziwił się więc, gdy trzy dni temu stanęła w drzwiach sypialni ze szczoteczką

w rękę i oznajmiła bez wstępów:

– Zamierzam to zrobić.

Wiedział, co ma na myśli, lecz jej nie uwierzył. Spojrzał na nią tylko i kiwnął głową. I na tym sprawa się skończyła, aż do tej nocy, gdy telefon od Rubertiego wyrwał go ze snu i zburzył spokój.

Po drodze wstąpił do cukierni w ich domu i kupił torbę *fave*, okrągłych ciastek migdałowych, które można było dostać tylko o tej porze roku. Chiara je uwielbiała. To nasunęło mu pytanie, co właściwie jest najistotniejsze w życiu, i po raz pierwszy tego dnia poczuł, że opuszcza go napięcie.

W mieszkaniu panował spokój, lecz to jeszcze niczego nie dowodziło. Na wieszaku przy drzwiach wisiały płaszcze Paoli i Chiary, a na podłodze leżał czerwony wełniany szalik. Podniósł go i powiesił na płaszczu córki, po czym obok powiesił też własny płaszcz. Zupełnie jak trzy misie: mama misiowa, tata miś i małe misiątko.

Otworzył torbę z ciastkami i wysypał kilka na dłoń. Włożył jedno do ust, potem drugie, następnie jeszcze dwa. Przypomniawszy sobie, jak przed laty kupował te ciastka Paoli, gdy byli jeszcze studentami i właśnie się w sobie zakochali. „Nie masz dość ludzi, którzy wspominają Prousta za każdym razem, gdy jedzą ciastko?” – spytał, jakby miał dostęp do jej myśli.

– Czy ja też mogę dostać, tatusiu? – zabrzmiał z tyłu głos córki, budząc go z zamyślenia.

– Kupiłem je dla ciebie, aniołku – odpowiedział, podając torbę.

– Czy mogę zjeść te z czekoladą?

Kiwnął głową.

– Czy twoja matka jest w gabinecie?

– Będziecie się kłócić? – odpowiedziała pytaniem, sięgając ręką do torby.

– Czemu tak uważasz?

– Bo zawsze, gdy mówisz o mamusi „twoja matka”, zamierzasz się z nią kłócić.

– Tak, chyba tak – przyznał. – Jest u siebie?

– Mhm – odparła. – Czy to będzie długa kłótnia?

Wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

– To lepiej zjem wszystkie, na wypadek gdyby była długa.

– Dlaczego?

– Bo wtedy kolacja będzie późno. Zawsze tak jest.

Sięgnął do torby i wyjął kilka ciastek, uważając, by zostawić czekoladowe.

– W takim razie postaram się nie dopuścić do kłótni.

– Dobrze.

Odwróciła się i poszła z torbą do swojego pokoju. Brunetti zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Paoli i zapukał.

– *Avanti!* – zawołała.

Zastał ją jak zwykle przy biurku nad stosem papierów, z okularami na czubku nosa. Uniosła głowę, uśmiechnęła się i zdjęła okulary.

– Jak było w Treviso? – spytała.

– Nie tak, jak przewidywałem – odpowiedział i usiadł na starej kanapie, stojącej pod ścianą z prawej strony biurka.

– Będzie zeznawał?

– Z ochotą. Rozpoznał sprawcę na zdjęciu i jutro przyjeżdża, by go zidentyfikować, ale jest pewny, że to on. Pochodzi z Salerno – dodał, odpowiadając na jej zdziwione spojrzenie.

– I chce zeznawać? – Nie ukrywała zaskoczenia. – Opowiedz mi o nim – poprosiła, gdy Brunetti kiwnął głową.

– Jest małym człowieczkiem, około czterdziestki, utrzymuje żonę i dwoje dzieci, pracuje jako piekarz w pizzerii w Treviso. Mieszka tu od dwudziestu lat, lecz co roku jeździ na południe na wakacje. Kiedy tylko może sobie na to

pozwolić.

– Czy jego żona pracuje? – spytała Paola.

– Jest sprzątaczką w szkole podstawowej.

– A co on robił w banku w Wenecji?

– Płacił ratę za mieszkanie w Treviso. Bank, który dał mu pożyczkę, został przejęty przez tutejszy bank, więc ten człowiek co roku przyjeżdża do Wenecji, żeby osobiście wpłacić kolejną ratę. Gdyby chciał to robić przez bank w Treviso, kosztowałoby go to dwieście tysięcy lirów. Dlatego przyjeżdża do Wenecji, gdy ma wolny dzień, i sam dokonuje wpłaty.

– I trafił w sam środek napadu.

Brunetti kiwnął głową.

– To nadzwyczajne, że zgodził się zeznawać – stwierdziła Paola. – Mówiłeś, że człowiek, którego aresztowano, ma powiązania z mafią.

– Jego brat. – Według Brunettiego oznaczało to, że obaj mają takie powiązania.

– A czy ten człowiek z Treviso o tym wie?

– Tak, powiedziałem mu.

– I nadal chce zeznawać? – Brunetti ponownie kiwnął głową. – W takim razie jest jeszcze nadzieja dla nas wszystkich – stwierdziła.

Brunetti wzruszył ramionami. Czuł, że zachowuje się niełojalnie, nie mówiąc Paoli, co Iacovantuono powiedział o odwadze dla dobra naszych dzieci. Zsunął się niżej, wyciągnął nogi i skrzyżował je przed sobą.

– Czy już z tym skończyłaś? – spytał, wiedząc, że ona zrozumie.

– Nie sądzę – odparła z wahaniem i żalem w głosie.

– Dlaczego?

– Bo jeżeli gazety napiszą o tym, co się stało, nazwą to bezmyślnym aktem wandalizmu, jak przewrócenie pojemnika na śmieci lub pocięcie siedzeń w pociągu.

Brunettiego kusilo, zeby cos powiedziec, lecz zaczekal, az ona skonczy.

– To nie byl bezmyslny akt, Guido, i to nie byl wandalizm. – Spuscila glowe i ukryla ja w ramionach. Glos dochodzil teraz jakby z glębi. – Opinia publiczna musi zrozumiec, dlaczego to robie. Chce pokazac, ze ci ludzie postepuja ohydnie i niemoralnie i ze trzeba ich przed tym powstrzymac.

– A pomyslalas o konsekwencjach? – spytal niskim glosem.

Popatrzyla na niego.

– Nie moglabym byc zona policjanta od dwudziestu lat i nie myslec o konsekwencjach.

– Jakie tobie groza?

– Oczywiscie.

– I mnie?

– Tak.

– I nie bedziesz zalowac?

– Oczywiscie, ze bede. Nie chce stracic pracy i nie chce, zeby ucierpiala na tym twoja kariera.

– Ale...?

– Wiem, Guido, ze uwazasz mnie za straszną pozerkę – zaczęła. – To prawda – dodala, zanim zdazył cos powiedziec – lecz tylko czasami. To wcale nie jest tak. Nie robie tego, zeby znalezc sie w gazetach. Jesli mam byc szczerą, to boje sie klopotow, ktore moga na nas spać, lecz musze to zrobic. – Znowu nie pozwolila mu dojsc do slowa. – Ktos to musi zrobic albo, zeby uzyc strony biernej, ktorej tak nie znosisz, to musi zostac zrobione. – Zaśmiała sie. – Wyslucham tego, co masz mi do powiedzenia, nie sadze jednak, bym zmienila zdanie.

Brunetti przelozyl lewa noge na prawa i przechylinil sie lekko na bok.

– Niemcy zmienili prawo. Moga teraz oskarzac swoich obywateli o to, co zrobili w innych krajach.

– Wiem, czytałam ten artykuł – rzuciła ostrym tonem.

– I?

– Skazano jednego człowieka na kilka lat więzienia. Jak mówią Amerykanie: „Wielkie mi rzeczy”. Setki tysięcy ludzi trafiają tam co roku. Wsadzenie jednego do więzienia, gdzie może oglądać telewizję i raz w tygodniu widzieć się z żoną, nie powstrzyma ludzi przed wyjazdami do tajlandzkich domów publicznych.

– I co chcesz przez to osiągnąć?

– Jeżeli samoloty nie będą tam latały, jeżeli nikt nie będzie chciał organizować takich wyjazdów, z pokojami hotelowymi, posiłkami i przewodnikami wożącymi do burdeli, wtedy mniej ludzi pojedzie. Wiem, że to niewiele, lecz zawsze coś.

– Będą jeździć prywatnie.

– Ale nie aż tylu.

– Nadal jednak będzie to spora liczba.

– Pewnie tak.

– Więc po co to robić?

Pokręciła gniewnie głową.

– Może to dlatego, że jesteś mężczyzną – powiedziała.

Po raz pierwszy od chwili wejścia do gabinetu poczuł złość.

– Co to ma znaczyć?

– A to, że mężczyźni i kobiety patrzą na tę sprawę inaczej, i zawsze tak będzie.

– Dlaczego? – spytał obojętnym tonem, choć oboje czuli, że do ich rozmowy wkradł się gniew.

– Ponieważ bez względu na to, jak bardzo będziesz starał się zrozumieć, zawsze pozostanie to dla ciebie jedynie kwestią wyobraźni. Tobie to się nigdy nie zdarzy. Jesteś duży, silny i od dzieciństwa przyzwyczajony do pewnego rodzaju przemocy: piłka nożna, walki z innymi chłopcami, również praca w policji.

Zauważyła, że traci zainteresowanie rozmową. Już to słyszał i nigdy w to nie

wierzył. Jej zdaniem nie chciał wierzyć, lecz woląa tego nie mówić.

– Z nami, kobietami, jest inaczej – ciągnęła. – Jesteśmy zmuszane do tego, żeby bać się przemocy i ciągle myśleć, jak jej unikać. Mimo to każda z nas wie, że to, co dzieje się z tymi dziewczynkami w Kambodży, Tajlandii czy na Filipinach, mogło również przydarzyć się nam, i wciąż może. To proste, Guido, wy jesteście silni, a my słabe.

Milczał, mówiła więc dalej.

– Od lat o tym rozmawiamy i nigdy nie osiągnęliśmy porozumienia. Teraz też nie. Wysłuchasz jeszcze dwóch spraw, a potem ja będę cię słuchać? – spytała po chwili.

Chciał, by jego głos brzmiał przyjaźnie, otwarcie, zgodnie, chciał powiedzieć: „Oczywiście”, lecz zdobył się jedynie na krótkie: „Tak”.

– Pomyśl o tym nędznym artykule w czasopiśmie. To jedno z głównych źródeł informacji w naszym kraju. I oto jakiś socjolog – nie wiem, gdzie on wykłada, lecz na pewno na jednym z wiodących uniwersytetów, dlatego uważa się za eksperta i ludzie wierzą w to, co pisze – twierdzi, że pedofile kochają dzieci. Twierdzi też, że mężczyznom jest wygodniej, by wszyscy tak uważali. A mężczyźni rządzą krajem... Nie jestem pewna, czy ma to coś wspólnego z tym, o czym mówimy – ciągnęła po chwili przerwy. – Myślę jednak, że druga sprawa, która nas dzieli, nie ciebie i mnie, lecz kobiety i mężczyzn, to obawa, że tylko dla kobiet seks bywa nieprzyjemnym przeżyciem, bo dla mężczyzn jest to zupełnie niezrozumiałe. – Kiedy zobaczyła, że chce zaprotestować, dodała: – Guido, nie znajdziesz kobiety, która uważałaby, że pedofile kochają dzieci. Oni ich pożądaają lub chcą nad nimi dominować, lecz to nie ma nic wspólnego z miłością. Zauważyła, że nie podnosi głowy.

– To jest ta druga rzecz, o której chciałam powiedzieć, drogi Guido, którego kocham z całej duszy. Tak właśnie postrzega to większość kobiet: że miłość to nie

pożądanie i dominacja. – Umilkła, spuściła wzrok i zaczęła szarpać skórkę sterczącą przy paznokciu kciuka. – To chyba wszystko. Koniec kazania.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwał Brunetti.

– Czy według ciebie wszyscy mężczyźni tak myślą, czy tylko pewna część? – spytał.

– Chyba pewna część. Ci dobrzy, tacy jak ty, tak nie myślą. – Nie dała mu dojść do słowa. – Ale nawet oni nie myślą tak jak my, kobiety. Nie sędzę, by traktowanie miłości jako pożądania, przemocy i próby sił uważali za coś obcego, tak jak my.

– Wszystkie kobiety uważają to za coś obcego?

- Chciałabym, żeby tak było. Nie, nie wszystkie.

Popatrzył na nią.

– Osiągnęliśmy więc porozumienie?

– Nie wiem. Ale chcę, żebyś wiedział, jak poważnie to traktuję.

– A gdybym cię poprosił, żebyś niczego więcej nie robiła?

Zacisnęła wargi w dobrze znanym mu geście i pokręciła głową.

– Czy to znaczy, że nie przestaniesz, czy nie chcesz, żebym cię o to prosił?

– Jedno i drugie.

– Będę cię prosił i teraz proszę. – Zanim zdążyła odpowiedzieć, uniósł rękę. – Nie, Paolo, nic nie mów, bo wiem, co powiesz, a ja nie chcę tego słuchać. Pamiętaj jednak, że prosiłem, żebyś tego nie robiła. Nie ze względu na mnie czy na moją karierę, cokolwiek to oznacza, lecz ponieważ uważam, że to, co robisz i co uważasz, że należy zrobić, jest złe.

– Wiem – odparła i podniosła się z miejsca.

– Ja też cię kocham z całej duszy – dodał, zanim wyszła zza biurka. – I zawsze będę,

– Miło mi to słyszeć. – W jej głosie zabrzmiała ulga. Z doświadczenia wiedział, że teraz nastąpi jakaś żartobliwa konkluzja, i nie rozczarował się. – A więc można

bez obaw podać noże do kolacji.

Rozdział 6

Rano Brunetti nie poszedł stałą trasą do komendy, lecz z mostu Rialto skręcił w prawo, „Rosa Salva” według powszechnej opinii była jednym z najlepszych barów w mieście. Brunetti szczególnie tam lubił ciastka *ricotta* z serem z owczego mleka. Wpadł więc na kawę i ciastka, wymieniając żartobliwe uwagi z kilkoma znajomymi i ukłony z tymi, których jedynie znał z widzenia.

Po wyjściu z baru poszedł Calle della Mandola do Campo San Stefano drogą, która miała go zaprowadzić na Piazza San Marco. Trasa wiodła przez Campo Manin, gdzie czterech robotników wynosiło właśnie z łodzi wielką szklaną płytę, by ustawić ją na drewnianym wózku, a potem przewieźć do biura podróży.

Brunetti dołączył do innych gapiów, obserwujących transport szyby do miejsca przeznaczenia. Była zabezpieczona miękkimi szmatami, by trzymające ją w pionie drewniane obramowanie nie porysowało gładkiej powierzchni.

Kiedy robotnicy przejechali przez plac, ludzie zaczęli wymieniać uwagi.

– To sprawka Cyganów.

– Nie, ktoś, kto tam kiedyś pracował, wrócił z bronią w rękę.

– Słyszałem, że to właściciel wybił szybę, by dostać pieniądze z ubezpieczenia.

– Co za bzdura! W szybę trafił piorun.

Jak zwykle każdy z opiniodawców był przekonany o słuszności swojej wersji i z lekceważeniem odnosił się do innych możliwości.

Kiedy drewniany wózek dotarł do okna, Brunetti zostawił gapiów i ruszył w dalszą drogę.

W komendzie udał się najpierw do pokoju, w którym urzędowali mundurowi, i poprosił o księgę raportów z minionej nocy. Niewiele się zdarzyło, a już nic, co by go interesowało. Potem poszedł na górę do swojego pokoju i prawie cały ranek

spędził na przekładaniu papierów z jednego końca biurka na drugi. Jego bankier poinformował go kiedyś, że wszystkie kopie transakcji finansowych, bez względu na ich wagę, należy przechowywać przez dziesięć lat. Dopiero wtedy można je zniszczyć.

Uniósł wzrok znad strony, którą właśnie czytał, i wyobraził sobie, jak całe Włochy pokrywają się po kostki papierami, raportami, fotokopiami, rachunkami z barów, sklepów i aptek. I w tym morzu papierów list do Rzymu idzie dwa tygodnie.

Ten potok myśli przerwało wejście sierżanta Vianella, który przyszedł z wiadomością, że zorganizował spotkanie z jednym z drobnych kryminalistów, przekazujących im od czasu do czasu informacje. Ów człowiek powiedział Vianellowi, że ma coś interesującego do sprzedania. Bał się jednak, że może go ktoś zobaczyć w towarzystwie policjanta, i zaproponował, żeby Brunetti spotkał się z nim w barze w Mestre, co oznaczało, że po obiedzie będzie musiał jechać pociągiem do Mestre, a potem autobusem do baru, bo żaden taksówkarz by go tam nie zawiózł.

Spotkanie nie dało żadnych rezultatów, czego zresztą Brunetti się spodziewał. Młody człowiek, zachęcony podawanymi przez gazety informacjami o milionach wypłacanych przez rząd tym, którzy zdecydowali się zeznawać przeciw mafii, chciał, aby Brunetti zapłacił mu z góry pięć milionów lirów. Pomysł był absurdalny, a popołudnie zmarnowane, lecz przynajmniej miał co robić do czwartej.

W komendzie czekał już na niego podekscytowany Vianello.

– Co się stało? – spytał Brunetti, widząc wyraz jego twarzy.

– Ten człowiek z Treviso.

– Iacovantuono?

– Tak.

– Co z nim? Postanowił nie przyjeżdżać?

– Jego żona nie żyje.

– Co się stało?

– Spadła ze schodów w domu, w którym mieszkali, i złamała kark.

– Ile miała lat? – spytał Brunetti.

– Trzydzieści pięć.

– Jakież kłopoty ze zdrowiem?

– Żadnych.

– Świadkowie?

Vianello pokręcił przecząco głową.

– Kto ją znalazł?

– Sąsiad. Wrócił do domu na obiad.

– Widział coś?

Vianello znowu zaprzeczył.

– Kiedy to się stało?

– Tuż przed pierwszą. Ten człowiek powiedział, że mogła jeszcze żyć, gdy ją znalazł, lecz nie ma co do tego pewności.

– Czy coś powiedziała?

– Zadzwoił pod sto trzysta, ale gdy karetka przyjechała, ona już nie żyła.

– Rozmawiali z sąsiadami?

– Kto? – spytał Vianello.

– Policja z Treviso.

– Z nikim nie rozmawiali. Nie sędzę, by zamierzali z kimś rozmawiać.

– Czemu, na litość boską?

– Uznali to za wypadek.

– Oczywiście, że to miało wyglądać na wypadek! – wybuchnął Brunetti. – Czy

ktoś rozmawiał z mężem? – spytał, gdy Vianello nie odpowiedział.

– Był w pracy, kiedy to się stało.

– Ale ktoś chyba z nim rozmawiał.

– Nie sędzę, panie komisarzu. Pewnie poinformowali go tylko o tym, co się stało.

– Czy możemy dostać samochód? – spytał Brunetti.

Vianello podniósł słuchawkę, wcisnął numer wewnętrzny i rozmawiał przez chwilę.

– Będzie na nas czekał na Piazzale Roma o wpół do szóstej – powiedział.

– Muszę zatelefonować do żony – oznajmił Brunetti.

Paoli nie było w domu, powiedział więc córce, że musi jechać do Treviso i wróci późno.

W ciągu przeszło dwudziestu lat pracy w policji Brunetti rozwinął instynkt, który zwykle go nie mylił i pozwalał przewidzieć fiasko, jeszcze zanim sam mógł się o tym przekonać. Już teraz wiedział, że ich podróż do Treviso jest skazana na niepowodzenie i szansa, że Iacovantuono będzie zeznawał, rozwiąła się wraz ze śmiercią jego żony.

Zrobiła się siódma, gdy dotarli na miejsce, ósma, gdy namówili Iacovantuona by z nimi porozmawiał, dziesiąta, gdy w końcu zaakceptowali jego oświadczenie, że nie chce mieć nic wspólnego z policją. Jedyne, co przyniosło Brunettiemu satysfakcję, to powstrzymanie się przed zadaniem świadcowi retorycznego pytania, co się stanie z dziećmi, jeżeli nie będzie zeznawał. Odpowiedź była bowiem zbyt oczywista, a przynajmniej tak sądził Brunetti: piekarz i jego dzieci pozostaną przy życiu. Czując się jak głupiec, dał zapłakanemu *pizzaiolo* swoją wizytówkę, a potem wsiadł z Vianellem do samochodu.

Kierowca był zły, że musiał tyle czasu na nich czekać, więc Brunetti

zapropował, by zjedli coś po drodze, chociaż wiedział, że przez to wróci do domu dobrze po północy. Dotarli na Piazzale Roma tuż przed pierwszą. Brunetti był tak zmęczony, że postanowił wrócić do domu tramwajem wodnym. Zaczekali więc na *vaporetto*, skracając sobie czas luźną rozmową, którą kontynuowali po zejściu do kabiny, gdy tramwaj sunął majestatycznie najpiękniejszym kanałem na świecie.

Brunetti wysiadł na przystanku San Silvestro, nie zwracając uwagi na urok księżycowej nocy. Pragnął jedynie znaleźć się w łóżku obok żony i zapomnieć o smutnym, wiele mówiącym spojrzeniu Iacovantuona.

Wszedł do mieszkania, powiesił płaszcz. W pokojach dzieci było ciemno, mimo to sprawdził, czy oboje śpią.

Następnie otworzył cicho drzwi do sypialni, mając nadzieję, że rozbierze się przy wpadającym z przedpokoju świetle i nie obudzi Paoli. Zupełnie niepotrzebnie, bo okazało się, że łóżko jest puste. W jej gabinecie także było ciemno, zajrzał jednak do środka. Choć wszędzie panowały ciemności, poszedł jeszcze do salonu, łudząc się, że znajdzie ją śpiącą na kanapie.

Jedynym światłem w tej części mieszkania była migająca na czerwono lampka automatycznej sekretarki. Miał trzy wiadomości. Pierwsza pochodziła od niego: zadzwonił o dziesiątej z Treviso, by uprzedzić Paolę, że wróci jeszcze później. Przy drugiej ktoś odłożył słuchawkę, a trzecia, jak przypuszczał i obawiał się, była od funkcjonariusza Pucettiego z komendy, który prosił, by *commissario* zadzwonił do niego, jak tylko wróci do domu.

Wystukał bezpośredni numer do pokoju mundurowych. Słuchawkę podniesiono po drugim sygnale.

– Tu Brunetti. O co chodzi?

– Lepiej, żeby pan tu przyszedł, *commissario* – powiedział Pucetti.

– O co chodzi, Pucetti? – powtórzył komisarz zmęczonym głosem.

- O pańską żonę.
- Co się stało?
- Aresztowaliśmy ją.
- Rozumiem. Możesz mi powiedzieć coś więcej?
- Chyba lepiej, żeby pan tu przyszedł.
- Czy mogę z nią porozmawiać? – spytał Brunetti.
- Oczywiście – odparł Pucetti z ulgą w głosie.

Po chwili w słuchawce zabrzmiał głos Paoli.

- Tak?

Poczuł nagły przypływ gniewu. Została aresztowana, a zachowuje się jak primadonna.

- Zaraz tam będę, Paolo. Znowu to zrobiłaś?
- Tak. – I nic więcej.

Odłożył słuchawkę. Na stole w kuchni zostawił wiadomość dla dzieci i nie gasząc światła, z ciężkim sercem ruszył do komendy.

Zaczął padać deszczyk, bardziej przypominający skroploną parę. Brunetti podniósł kołnierz płaszcza.

Po kwadransie dotarł do komendy. Przy drzwiach stał policjant. Miał wystraszone spojrzenie. Zasalutował z energią, która o tej porze wydawała się zupełnie nie na miejscu. Brunetti kiwnął głową – nie mógł sobie przypomnieć imienia policjanta – i ruszył schodami na pierwsze piętro.

Pucetti wstał i zasalutował, kiedy komisarz wszedł do pokoju. Paola spojrzała na męża, lecz się nie uśmiechnęła. Brunetti usiadł obok niej, sięgnął po leżący na biurku formularz i uważnie go przeczytał.

- Zastaleś ją na Campo Manin? – spytał Brunetti.
- Tak, *commissario* – odpowiedział Pucetti, stojąc.

Brunetti dał mu znak, by usiadł, co uczynił z wyraźnym oporem.

– Czy ktoś był z tobą?

– Tak, Landi.

To przesądza sprawę – pomyślał Brunetti i odłożył formularz na biurko.

– Co zrobiłeś?

– Przyszliśmy tutaj i poprosiliśmy ją, to znaczy pańską żonę, o dowód tożsamości. Kiedy zobaczyliśmy, kim jest, Landi zadzwonił do porucznika Scarpy.

Brunetti wiedział, że Landi musiał to zrobić.

– Dlaczego obaj wróciliście do komendy? Czemu jeden z was tam nie został?

– Stróż nocny usłyszał alarm. Zostawiliśmy go pod sklepem. Ma poczekać, póki nie zjawi się właściciel.

– Rozumiem – powiedział Brunetti, po czym spytał: – Czy był tu porucznik Scarpa?

– Nie, *commissario*. Rozmawiał tylko z Landim przez telefon, lecz nie wydał żadnych rozkazów. Zostawił to nam, więc potraktowaliśmy sprawę rutynowo.

Brunetti chciał powiedzieć, że trudno mówić o rutynie w wypadku aresztowania żony komisarza, lecz tylko wstał i spojrzał na Paolę.

– Możemy już iść – powiedział.

Wstała bez słowa.

– Zabieram ją do domu, Pucetti. Wrócimy tu rano. Gdyby porucznik Scarpa zadawał jakieś pytania, przekaż mu to, dobrze?

– Oczywiście, *commissario* – odparł Pucetti.

Chciał coś powiedzieć, lecz Brunetti powstrzymał go gestem dłoni.

– Wszystko w porządku, Pucetti. Nie miałeś innego wyjścia. – Popatrzył na Paolę. – Poza tym prędzej czy później i tak by do tego doszło. – Zmusił się do uśmiechu.

Kiedy zeszli ze schodów, młody policjant otworzył przed nimi drzwi. Brunetti przepuścił Paolę, uniósł rękę i wyszedł. Otuliło ich wilgotne powietrze. Szli obok

siebie, a tkwiący między nimi miecz niezgody był tak wyraźny, jak wyraźne były obłoczki pary wydobywające się z ich ust.

Rozdział 7

Żadne z nich nie odezwało się słowem w drodze do domu, żadne też nie spało przez resztę nocy, jeżeli nie liczyć krótkich chwil, w czasie których dręczyły ich koszmary. Kiedy odpływali w nieświadomość, ciała zbliżały się do siebie, lecz nie czuli dawnej bliskości. Wprost przeciwnie, zachowywali się jak obcy ludzie i natychmiast się od siebie odsuwali. Mieli jednak na tyle przyzwoitości, by nie robić gwałtownych ruchów, nie reagować szokiem czy przerażeniem na dotyk obcego, który znalazł się w ich małżeńskim łożu. Byłoby uczciwiej pozwolić ciału przejąć kontrolę nad umysłem, lecz starali się panować nad tym impulsem, kierując się dziwną lojalnością wobec wspomnień czy łączącego ich uczucia; w obawie, że je zniszczyli lub zmienili.

Brunetti wytrwał do siódmej, kiedy to w San Polo odezwały się dzwony, lecz zanim przebrzmiały, był już w łazience pod prysznicem, zmywając z siebie wydarzenia ostatniej nocy i myśli o Landim, Scarpie i o tym, co go czeka w pracy. Wiedział również, że przed wyjściem będzie musiał powiedzieć coś Paoli, lecz nie miał pojęcia co. Postanowił uzależnić to od jej zachowania. Kiedy jednak wyszedł z łazienki, okazało się, że żony nie ma już w sypialni. Posłyszał odgłos leżącej wody w kuchni, szum ekspresu do kawy, przesuwanie krzesła po podłodze. Poszedł do kuchni, wiążąc po drodze krawat. Paola siedziała na swoim miejscu przy stole, na którym stały dwie filiżanki. Skończył wiązać krawat, pochylił się i pocałował jawnie czubek głowy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała, objęła go za udo i przyciągnęła do siebie.

Oparł się o nią, lecz jej nie dotknął.

– Chyba z przyzwyczajenia.

– Z przyzwyczajenia? – powtórzyła urażonym tonem.

– Przyzwyczailem się, że cię kocham.

– Aha – zdołała tylko powiedzieć, bo w tym momencie rozległ się syk ekspresu.

Nalała kawę do filiżanek, dodała gorącego mleka i wsypała cukier. Nie usiadł przy stole, pił na stojąco.

– Co teraz będzie? – spytała po pierwszym łyku.

– To twoje pierwsze przewinienie, więc pewnie czeka cię grzywna.

– Tylko?

– To aż nadto – odpowiedział.

– A co z tobą?

– To zależy od tego, co napiszą gazety. Jest paru dziennikarzy, którzy od lat czekają na coś takiego.

– Wiem, wiem – powiedziała, zanim zdążył wymyślić kilka przypuszczalnych nagłówków.

– Ale równie dobrze mogą z ciebie zrobić bohaterkę, Różę Luksemburg przemysłu erotycznego.

Oboje się uśmiechnęli.

– Nie o to mi chodzi, Guido, przecież wiesz. Chcę po prostu ich powstrzymać – dodała, zanim zdążył o cokolwiek zapytać. – Chcę, by zaczęli się wstydzić i zrezygnowali z tego, co robią.

– Kto, biura podróży?

– One też – odpowiedziała i przez chwilę piła kawę. – Ale chciałabym, żeby oni wszyscy się tego wstydzili – dodała, kiedy prawie skończył swoją.

– Ci, którzy uczestniczą w takich wycieczkach?

– Tak, wszyscy.

– Przecież sama wiesz, że do tego nie dojdzie, Paolo, cokolwiek byś zrobiła.

– Wiem.

Dopiła kawę i wstała, by zaparzyć następną.

– Nie – powiedział Brunetti. – Wpadnę do baru w drodze do pracy.

– Jest jeszcze wcześniej.

– Zawsze któryś będzie otwarty.

– Tak.

I był. Wypił drugą kawę, nie spiesząc się do komendy. Kupił „Gazzettino”, chociaż wiedział, że jest zbyt wcześnie, by coś w niej znalazł. Przejrzał jednak pierwszą stronę, potem drugą, na której zwykle zamieszczano lokalne nowiny.

Przy drzwiach komendy stał inny mundurowy. Nie było jeszcze ósmej, więc musiał je komisarzowi specjalnie otworzyć. Uporawszy się z tym, zasalutował.

– Czy Vianello już jest? – spytał Brunetti.

– Nie, *commissario*, nie widziałem go.

– Kiedy przyjdzie, powiedzcie mu, żeby do mnie zajrzał, dobrze?

– Tak jest – odpowiedział funkcjonariusz i ponownie zasalutował.

Brunetti wszedł na górę tylnymi schodami. Po drodze spotkał komisarz Marinoni. Powiedziała tylko, że słyszała o tym człowieku z Treviso i że bardzo jej przykro.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, odwiesił płaszcz, usiadł za biurkiem i rozłożył gazetę. Nie zawierała niczego nowego: sędziowie prowadzili dochodzenie w sprawie innych sędziów, byli ministrowie oskarżali innych byłych ministrów, zamieszki w stolicy Albanii, minister zdrowia domaga się wszczęcia dochodzenia w sprawie nielegalnej fabryki produkującej podrabiane leki dla krajów Trzeciego Świata.

Na trzeciej stronie znalazł informację o śmierci pani Iacovantuono. *Casalinga muore cadendo per le scale*. Gospodyni domowa zmarła po upadku ze schodów. Oczywiście.

Przez cały wczorajszy dzień o niczym innym nie słyszał: kobieta spada ze schodów, znajduje ją sąsiad, pogotowie stwierdza zgon. Pogrzeb odbędzie się jutro.

Właśnie skończył czytać notatkę, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Vianello. Brunetti rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Co mówią? – zapytał.

– Landi się rozgadał, jak tylko ludzie zaczęli przychodzić do pracy, lecz Ruberti i Bellini nie pisnęli słowa. Raportu jeszcze nie zażądano.

– Scarpa? – spytał Brunetti.

– Jeszcze go nie ma.

– A co mówi Landi?

– Że przyprowadził pańską żonę na komendę, ponieważ rozbiła szybę w biurze podróży na Campo Manin. A potem przyszedł pan i zabrał ją do domu, nie wypełniając żadnych formularzy. Bawi się w prokuratora, mówiąc, że pańska żona praktycznie uciekła przed wymiarem sprawiedliwości.

Brunetti złożył gazetę na pół, potem jeszcze na pół. Pamiętał, jak mówił Pucettiemu, że rano przyprowadzi żonę, lecz nie uważał, że jej nieobecność należy traktować jak ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości.

– Rozumiem – powiedział. Milczał przez dłuższy czas. – Ilu ludzi wie o pierwszym incydencie? – spytał.

Vianello zastanawiał się przez chwilę.

– Oficjalnie nikt – odpowiedział. – Oficjalnie nic się nie zdarzyło.

– Nie o to pytałem.

– Nie sądzę, by wiedział o tym ktoś, kto nie powinien wiedzieć – odparł Vianello, najwyraźniej nie chcąc nic więcej wyjaśniać.

Brunetti nie wiedział, czy powinien podziękować za to sierżantowi, czy Rubertiemu i Belliniemu.

– Są jakieś wiadomości z komendy w Treviso? – spytał zamiast tego.

– Iacovantuono przyszedł do nich dziś rano i oświadczył, że ma wątpliwości co do człowieka, którego rozpoznał w zeszłym tygodniu. Sądzi, że mógł się pomylić,

bo był bardzo wystraszony. A teraz jest pewny, że złodziej miał rude włosy. Już wcześniej o tym wiedział, lecz jakoś nie miał okazji wspomnieć o tym policji.

– Dopiero teraz, jak żona mu zmarła – stwierdził Brunetti.

– Co pan by zrobił, *commissario*? – spytał Vianello po krótkim zastanowieniu.

– Z czym?

– Gdyby pan był na jego miejscu?

– Pewnie też przypomniałbym sobie o rudych włosach.

Vianello wcisnął dłonie do kieszeni munduru i skinął głową.

– Pewnie wszyscy byśmy tak zrobili, zwłaszcza ci, którzy mają rodziny.

Odezwał się brzęczyk telefonu wewnętrznego.

– Tak? – spytał Brunetti. Słuchał przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę i wstał. – *Vice-questore* chce mnie widzieć.

Vianello odsunął rękaw munduru i spojrział na zegarek.

– Piętnaście po dziewiątej. To wyjaśnia, gdzie był porucznik Scarpa.

Brunetti położył gazetę pośrodku biurka i wyszedł z pokoju. Przed drzwiami gabinetu Patty siedziała przy komputerze signorina Elettra, lecz ekran monitorem był ciemny. Gdy wszedł Brunetti, zagryzła dolną wargę i uniosła brwi. Mogło to oznaczać zdziwienie, lecz również rodzaj wsparcia, jakie jeden uczeń daje drugiemu, którego wezwano do dyrektora.

Brunetti przymknął oczy i zacisnął zęby. Nie powiedział nic, zapukał do drzwi gabinetu i otworzył je, gdy usłyszał okrzyk: *Avanti!*

Spodziewał się, że zastępca komendanta będzie sam, toteż nie zdołał ukryć zdziwienia na widok czterech osób. Obok Patty ujrzał porucznika Scarpę siedzącego po lewej stronie przełożonego, dokładnie tak jak Judasz na wszystkich obrazach przedstawiających Ostatnią Wieczerzę. Prócz nich w pokoju byli jeszcze dwaj mężczyźni, jeden około pięćdziesiątki, drugi o dziesięć lat młodszy. Brunetti nie miał czasu się im przyjrzeć, zdołał jedynie zauważyć, że starszy wygląda na

szefa, a młodszy na podwładnego.

– Commissario Brunetti, to jest dottor Paolo Mitri – oznajmił Patta bez wstępów, wdzięcznym ruchem wskazując starszego z mężczyzn. – A to jego adwokat, Giuliano Zambino. Wezwaliśmy pana, by omówić wydarzenia ostatniej nocy.

Brunetti kiwnął głową obu panom.

– Może pan komisarz do nas dołączy – zaproponował dottor Mitri, wskazując piąte, puste krzesło.

Patta skinął przyzwalająco i Brunetti usiadł.

– Zapewne domyśla się pan, dlaczego pana wezwałem – powiedział Patta.

– Chciałbym to usłyszeć – odrzekł Brunetti.

Patta dał znak porucznikowi.

– Wczoraj około północy – zaczął Scarpa – otrzymałem wiadomość od jednego z moich ludzi, że okno w biurze podróży na Campo Manin, którego właścicielem jest dottor Mitri – wskazał wymienionego głową – znowu zostało zniszczone przez wandalów. Poinformowano mnie, że podejrzanego zabrano do komendy i że tym podejrzanym jest żona komisarza Brunettiego.

– Czy to prawda? – wtrącił Patta, zwracając się do Brunettiego.

– Nie mam pojęcia, co posterunkowy Landi powiedział porucznikowi – odparł spokojnie Brunetti.

– Nie to miałem na myśli – wyjaśnił pośpiesznie Patta. – Czy to była twoja żona?

– W raporcie, który przeczytałem wczorajszej nocy – zaczął Brunetti – posterunkowy Landi wymienił jej nazwisko i adres i stwierdził, że przyznała się do zbijania szyby.

– A poprzednim razem? – spytał Scarpa.

– Co poprzednim razem?

– Czy to też była pańska żona?

– Będzie pan musiał zapytać o to moją żonę, poruczniku.

– Zapytam – odrzekł Scarpa. – Może pan być tego pewny.

Dottor Mitri chrząknął, przykrywając usta dłonią.

– Czy mógłbym, Pippo, w tym miejscu włączyć się do rozmowy? – zwrócił się do Patty.

Zastępca komendanta kiwnął głową, najwyraźniej czując się zaszczycony taką poufałością ze strony gościa.

Mitri popatrzył na Brunettiego.

– Panie komisarzu, myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy doszli w tej sprawie do porozumienia. – Brunetti zwrócił twarz w jego stronę, lecz nic nie powiedział. – Szkody poniesione przez biuro są znaczne: wymiana pierwszego okna kosztowała prawie cztery miliony lirów. Przypuszczam, że tym razem będzie podobnie. Dochodzą jeszcze straty, jakie poniosło biuro z powodu zamknięcia na czas wymiany szyby.

Umilkł, jakby czekał, co powie Brunetti, lecz komisarz milczał.

– Ponieważ nie znaleziono sprawcy pierwszego przestępstwa – ciągnął Mitri – przypuszczam, że firma ubezpieczeniowa zapłaci za wyrządzone szkody, a może nawet pokryje część poniesionych przez biuro strat. Oczywiście trochę to potrwa, ale nie wątpię, że dojdziemy do ugody. Już rozmawiałem z moim agentem, a on zapewnił, że tak właśnie będzie.

Brunetti obserwował mówiącego i słyszał zdecydowanie w jego głosie. Był to człowiek przyzwyczajony do tego, by go słuchano. Niemal czuło się emanującą z niego pewność siebie. Również wygląd za tym przemawiał; krótko ostrzyżone włosy, nawet trochę krótsze od obowiązującej mody, lekka opalenizna, zadbane dłonie i paznokcie, jasnobrązowe oczy zbliżone kolorem do bursztynu i ujmujący głos o niemal uwodzicielskim brzmieniu. Siedział, więc Brunetti nie potrafił

określić jego wzrostu, ale wyglądał na wysokiego, miał długie ręce i nogi biegacza.

Przez cały ten czas prawnik przysłuchiwał się z uwagą słowom klienta, lecz sam się nie odzywał.

– Czy pan mnie słucha, *commissario*? – spytał Mitri, czując, że jest przedmiotem obserwacji, co zapewne mu się nie podobało.

– Tak.

– Drugi przypadek jest i będzie inny. Skoro pańska żona przyznała się do rozbicia szyby, to będzie musiała za nią zapłacić. Dlatego chciałem z panem porozmawiać.

– Tak?

– Pomyślałem, że pan i ja możemy dojść w tej sprawie do ugody.

– Obawiam się, że nie rozumiem – powiedział Brunetti, zastanawiając się, jak daleko może się posunąć i co będzie, jeżeli przekroczy granicę.

– Czego pan nie rozumie, *commissario*?

– Dlaczego chciał pan ze mną porozmawiać.

W głosie Mitriego zabrzmiało napięcie, lecz nadal był swobodny.

– Pragnąłem załatwić tę sprawę po dżentelmeńsku. – Kiwnął głową w stronę Patty. – Mam zaszczyt pozostawać w przyjaźni z *vice-questore* i wolałbym nie sprawiać policji kłopotu.

To wyjaśnia milczenie prasy – pomyślał Brunetti.

– Uznałem, że moglibyśmy załatwić tę sprawę po cichu, bez niepotrzebnych komplikacji.

Brunetti spojrzał na Scarpę.

– Czy moja żona wyjaśniła wczoraj Landiemu, dlaczego to zrobiła?

Porucznik, zaskoczony, spojrzał na Mitriego.

– To nie ma teraz znaczenia – odezwał się Mitri, zanim porucznik zdążył coś powiedzieć. – Najważniejsze, że przyznała się do popełnienia przestępstwa. –

Odwrócił się do Patty. – Myślę, że załatwienie tej sprawy leży w interesie nas wszystkich. Chyba się z tym zgadzasz, Pippo.

Patta pozwolił sobie na ostre „oczywiście”.

Mitri znów zwrócił się do Brunettiego.

– Jeżeli zgadza się pan ze mną, przejdźmy do rzeczy. Jeżeli nie, obawiam się, że tracę tylko czas.

– Nadal nie bardzo wiem, z czym mam się zgodzić.

– Chcę, żeby pan się zgodził na to, by pańska żona zapłaciła za zniszczone okno i pokryła straty poniesione przez biuro w trakcie wstawiania szyby.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedział Brunetti.

– A to dlaczego? – spytał Mitri, tracąc cierpliwość.

– To nie moja sprawa. Jeżeli chce pan porozmawiać na ten temat z moją żoną, proszę bardzo. Lecz ja nie mogę podejmować za nią decyzji.

Brunetti żywił nadzieję, że jego głos brzmi równie rozsądnie jak to, co miał do powiedzenia.

– Co z pana za człowiek?! – spytał gniewnie Mitri.

Brunetti spojrzał na Pattę.

– Czy ma pan do mnie jeszcze jakąś sprawę, *comandante*?

Patta był zbyt zaskoczony lub zły, by odpowiedzieć, więc Brunetti wstał i pospiesznie wyszedł z gabinetu.

Rozdział 8

W odpowiedzi na uniesione brwi i wydęte usta signoriny Elettry komisarz pokręcił głową, dając do zrozumienia, że później wszystko wyjaśni. Wrócił do swojego pokoju i zaczął się zastanawiać nad konsekwencjami tego, co zaszło.

Mitri, który chwalił się przyjaźnią z Patta, bez wątpienia przyczynił się do tego, że tak wybuchowa historia nie trafiła do gazet. Było w niej wszystko, czego poszukiwali reporterzy: seks, przemoc i zamieszana w sprawę policja. Gdyby jeszcze odkryli, że zatuszowano pierwszy wybryk Paoli, dostarczyliby czytelnikom takich kwiatków jak korupcja w policji i nadużywanie władzy.

Żaden wydawca nie zrezygnowałby z podobnej okazji. Żadna gazeta nie odmówiłaby sobie przyjemności wydrukowania równie sensacyjnego materiału. W dodatku Paola była córką hrabiego Orazia Faliera, jednego z najbardziej znanych i najbogatszych ludzi w mieście.

To oznaczało, że wydawcy lub wydawcom należałoby jakoś zrekompensować poniesione straty. Lub też władzom, które zapobiegły przedostaniu się historii do gazet – dodał po chwili zastanowienia. Można było również przypisać jej większe znaczenie i uznać za sprawę wagi państwowej, co oznaczało zakaz publikacji. Mitri nie wyglądał na kogoś, kto miałby taką władzę, lecz to o niczym nie świadczyło. Brunetti przypomniał sobie byłego polityka, przeciw któremu toczył się właśnie proces o związki z mafią. Jego wygląd od lat był przedmiotem niezliczonych żartów. Nikt nie podejrzewał, że człowiek o równie niewinnej aparycji miał takie wpływy, lecz Brunetti nie wątpił, że jedno mrugnięcie tych jasnozielonych oczu mogło zniszczyć każdego, kto mu się sprzeciwił, nawet w mało znaczący sposób.

W oświadczeniu Brunettiego, że nie może decydować za Paolę, było tyleż

brawury co prawdy. Jednak po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że naprawdę tak uważa.

Mitri przyszedł do Patty w towarzystwie znanego adwokata. Przypominał sobie mgliście, że Zambino specjalizował się w prawie handlowym i pracował dla wielkich przedsiębiorstw na stałym lądzie. Mieszkał w Wenecji, lecz pozostało tu tak niewiele firm, że musiał szukać pracy poza obrębem miasta.

Po co Mitri ściągnął adwokata od prawa handlowego na spotkanie w komendzie policji? Przecież to wykroczenie podlegało kodeksowi karnemu. Zambino miał opinię niezwykle skutecznego obrońcy, tymczasem nie odezwał się słowem.

Brunetti połączył się z pokojem mundurowych i wezwał do siebie Vianella. Kiedy sierżant przyszedł, komisarz wskazał mu ręką krzesło.

– Co wiesz o niejakim Paolu Mitrim i adwokacie Giulianie Zambinie?

Vianello musiał ich znać, bo odpowiedź była natychmiastowa.

– Zambino mieszka w Dorsoduro, niedaleko kościoła Santa Maria della Salute. Ma spore mieszkanie, jakieś trzysta metrów. Specjalizuje się w prawie korporacyjnym i handlowym. Większość jego klientów ma swoje firmy na stałym lądzie; zakłady chemiczne i petrochemiczne, farmaceutyczne i fabryka produkująca koparki. Jedna z firm chemicznych, dla której pracuje, została przed trzema laty przyłapana na wylewaniu arszeniku do laguny. Dzięki jego interwencji skończyło się na grzywnie w wysokości trzech milionów lirów i obietnicy, że więcej tego nie zrobią.

Brunetti słuchał, zastanawiając się, czy to signorina Elettra jest źródłem tych informacji.

– A Mitri?

Brunetti wyczuł, że Vianello bardzo się stara ukryć dumę z tego, że tak szybko zebrał wszystkie te informacje.

– Po ukończeniu studiów na uniwersytecie podjął pracę w firmie

farmaceutycznej – oznajmił z ochotą sierżant. – Skończył chemię, lecz przestał pracować w swoim zawodzie, gdy przejął pierwszą fabrykę, a potem dwie następne. W ciągu ostatnich kilku lat rozszerzył zakres działania, jak również liczbę fabryk. Jest właścicielem biura podróży, dwóch agencji nieruchomości i podobno głównym udziałowcem sieci barów szybkiej obsługi otwartej w zeszłym roku.

– Czy któraś z tych firm ma jakieś kłopoty?

– Nie – odpowiedział Vianello. – Żadna.

– Czy mógłby to być wynik niedopatrzania?

– Z czyjej strony?

– Naszej.

Sierżant zastanawiał się przez chwilę.

– Możliwe. Jest ich sporo.

– Moglibyśmy trochę poszperać?

– Signorina Elettra już rozmawia z bankami.

– Rozmawia?

Vianello poruszył palcami, naśladując pisanie na komputerze.

– Od jak dawna Mitri jest właścicielem tego biura podróży? – spytał Brunetti.

– Chyba od pięciu czy sześciu lat.

– Ciekawe, od kiedy organizują te wyjazdy – powiedział Brunetti.

– Pamiętam, że kilka lat temu widziałem plakaty reklamujące takie wycieczki w biurze w Castello. Zdziwiło mnie, że tydzień w Tajlandii może tak mało kosztować. Zapytałem Nadię, a ona mi wszystko wyjaśniła. Od tego czasu mam oko na plakaty w biurach podróży.

Vianello nie wyjaśnił powodu swojej ciekawości, a Brunetti o to nie spytał.

– Jakie miejsca proponują?

– W ramach tych wycieczek?

– Tak.

– Zwykle Tajlandię, lecz także Filipiny i Kubę. Ostatnio zaczęli organizować wycieczki do Birmy i Kambodży.

– Jak oni je reklamują? – spytał Brunetti, który nigdy się tym nie interesował.

– Zwykle mówili wprost: „W samym sercu dzielnicy czerwonych latarni, miłe towarzystwo, możliwość spełnienia wszystkich marzeń”, coś w tym rodzaju. Lecz odkąd prawo się zmieniło, używają szyfru: „Obsługa hotelowa bez uprzedzeń, bliskie sąsiedztwo nocnych klubów, przyjazne hostessy”. Chodzi o to samo, tylko że dziwki są tam zbyt leniwe, by czekać na klientów na ulicy.

Brunetti nie miał pojęcia, skąd Paola zdobyła te informacje i ile wie o biurze podróży Mitriego.

– Czy agencja Mitriego podobnie się reklamuje?

Vianello wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że tak. Ci, którzy się tym zajmują, używają podobnego języka. Można się go szybko nauczyć. Lecz większość biur organizuje też legalne wycieczki na Malediwy czy Seszele, gdzie można się tanio zabawić i zażyć kąpiele słonecznych.

Przez chwilę Brunetti się obawiał, że Vianello, któremu przed kilkoma laty usunięto z pleców narośl i od tego czasu stał się wrogiem opalania, wskoczy na swojego ulubionego konika. Tymczasem sierżant powiedział:

– Pytałem o niego u siebie w pokoju. By sprawdzić, czy chłopcy coś o nim wiedzą.

– I?

Pokręcił przecząco głową.

– Nic. Jakby w ogóle nie istniał.

– W tym, co robi, nie ma niczego niezgodnego z prawem – stwierdził Brunetti.

– Wiem, że to jest legalne – odparł Vianello – lecz powinno być zabronione.

Wiem, że to nie my uchwalamy prawa i nie do nas należy ich kwestionowanie, ale nikomu nie powinno się pozwalać na organizowanie wycieczek dla dorosłych mężczyzn, którym marzy się seks z nieletnimi.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Jednak z punktu widzenia prawa biuro podróży jedynie załatwiało bilety, by ludzie mogli podróżować do różnych krajów, i rezerwowało hotele, by mieli się gdzie zatrzymać. To, co wycieczkowicze robili po przyjeździe, było wyłącznie ich sprawą. Brunetti przypomniał sobie wykłady z logiki w czasie studiów i jej matematyczną niemal prostotę. Wszyscy ludzie są śmiertelni. Giovanni jest człowiekiem, dlatego Giovanni jest śmiertelny. Pamiętał, że istniały schematy poprawnego wnioskowania; były terminy większy i średni: musiały się znajdować w określonych miejscach i tylko nieliczne mogły być przeczące.

Wszystkie te szczegóły wyparowały z pamięci, mieszając się z innymi, statystyką i pierwszymi zasadami, które poszły w zapomnienie, gdy zdał końcowe egzaminy i został doktorem prawa. Lecz nawet po tylu latach pamiętał to potężne wrażenie pewności, gdy przekonał się, że niektóre zasady prawne służą wykazaniu poprawności wnioskowania, że dzięki nim można dowieść jego prawdziwości.

Następne lata zniszczyły tę pewność. Teraz prawda zdawała się leżeć po stronie tych, którzy potrafią głośniej krzyknąć lub wynająć lepszych adwokatów. Żaden schemat wnioskowania nie był też w stanie oprzeć się argumentowi broni ani innym formom przemocy, z którymi Brunetti miał do czynienia w swoim życiu zawodowym.

Odsunął na bok te rozważania i wrócił do terażniejszości. Vianello właśnie go o coś pytał.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

– Zastanawiałem się, czy myślał pan już o wynajęciu adwokata.

Opuszczając gabinet Patty, komisarz wiedział, że nie chce odpowiadać

w imieniu żony i nie zamierza niczego planować w kwestii prawnych konsekwencji jej postępków. Znał większość adwokatów w mieście i był z nimi w stosunkowo dobrych kontaktach, jednak ograniczały się one wyłącznie do sfery zawodowej. Przebiegł w myśli listę nazwisk, usiłując przypomnieć sobie obrońcę, który przed dwoma laty wygrał sprawę o morderstwo. Natychmiast jednak odrzucił ten pomysł.

– Moja żona będzie musiała się tym zająć – odpowiedział.

Vianello kiwnął głową, wstał i wyszedł z pokoju.

Brunetti również podniósł się ze swego miejsca i zaczął chodzić tam i z powrotem między szafą a oknem. Rozmyślał o tych dwóch mężczyznach, którzy zgłosili jedynie popełnienie przestępstwa i zaproponowali ugodę korzystną dla osoby niemal szcycącej się tym, że dokonała aktu wandalizmu. Poszkodowany i jego adwokaci przyszli do komendy, żeby ratować sprawczynię przed prawnymi konsekwencjami jej czynu. Tymczasem on siedział beczynnie, godząc się na to, by signorina Elettra sprawdzała ich finanse w sposób prawdopodobnie równie nielegalny jak przestępstwo, którego jeden z nich padł ofiarą.

Nie miał bowiem żadnych wątpliwości co do nielegalności postępków Paoli. Nagle przyszło mu do głowy, że ona nigdy nie twierdziła, że to jest zgodne z prawem. Po prostu nie przejmowała się tym. Całe życie bronił prawa, a ona na nie napluła, jakby to był jakiś głupi konwenans, który w żaden sposób jej nie ograniczał. Poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. Oburzenie zmieniło się w gniew. Uległa kaprysowi, kierując się osobistą definicją właściwego postępowania, a on miał po prostu przyglądać się temu z rozdziawionymi ustami, podziwiając szlachetność jej czynu, gdy tymczasem jego kariera wisiała na włosku.

Zorientował się, że zaczyna użalać się nad sobą i zastanawiać, jak ta sprawa może się odbić na jego pozycji wśród kolegów i na poczuciu własnej godności. W tym miejscu był zmuszony powtórzyć sobie to, co powiedział Mitriemu: nie odpowiada za zachowanie żony.

Takie wyjaśnienie nie uśmierzyło jednak płonącego w nim gniewu. Znow zaczął chodzić po pokoju, lecz gdy i to nie pomogło, zszedł na dół do signoriny Elettry.

Uśmiechnęła się na jego widok.

– *Vice-questore* wyszedł na obiad – poinformowała.

Wolała się więcej nie odzywać, czekając, co on powie.

– Czy tamci poszli razem z nim?

Kiwnęła twierdząco głową.

– *Signorina...* – zaczął i urwał, jakby się zastanawiał nad doborem słów. – Nie musi pani dalej sprawdzać tych panów.

Już chciała zaprotestować, lecz nie dał jej dojść do słowa.

– Nie ciąży na nich żadne podejrzenie, dlatego uważam, że byłoby niewskazane prowadzenie przeciw nim dochodzenia. Zwłaszcza w tych okolicznościach.

Pozostawił jej wyobraźni, jakie okoliczności miał na myśli. Skinęła głową.

– Rozumiem, *commissario*.

– Nie pytałem, czy pani rozumie. Proszę tylko, żeby pani nie sprawdzała ich finansów.

– Tak, *commissario* – odrzekła, po czym odwróciła się i utkwiała wzrok w ekran monitora.

– *Signorina...* – powtórzył beznamiętnym tonem, a kiedy spojrzała na niego, powiedział: – Mówiłem poważnie. Nie chcę, by pani zadawała jakiegokolwiek pytania na ich temat.

– Więc nie będę pytać – odpowiedziała z promiennym uśmiechem na twarzy. Położyła łokcie na stole, splotła palce i oparła na nich brodę, zupełnie jak subretka z taniej komedii. – Czy to wszystko, *commissario*, czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś polecenia?

Odwrócił się bez słowa i ruszył ku schodom, lecz po chwili rozmyślił się

i wyszedł z komendy. Z nabrzeża prowadzącego do kościoła greckiego skręcił na most, po czym wstąpił do najbliższego baru.

– *Buongiorno, commissario* – powitał go barman. – *Cosa desidera?*

Brunetti spojrzał na zegarek. Zupełnie stracił poczucie czasu i ze zdziwieniem skonstatował, że jest już prawie południe.

– *Un'ombra* – powiedział.

Kiedy barman postawił przed nim kieliszek białego wina, wypił go jednym haustem. Nie pomogło. Wiedział, że drugi też by nie pomógł. Rzucił na ladę tysiąc lirów i wrócił do komendy. Nie rozmawiał z nikim, poszedł do swojego pokoju, wzięął płaszcz i udał się do domu.

Paola musiała opowiedzieć o wszystkim dzieciom, bo Chiara patrzyła na matkę z wyraźnym zakłopotaniem, natomiast Raffi z zainteresowaniem, a nawet pewną ciekawością. Nikt nie poruszył tego tematu, więc obiad upłynął stosunkowo spokojnie. Normalnie Brunetti delectowałby się makaronem tagliatelle z wieprzowiną, dziś jednak ledwo czuł smak potrawy. Nie cieszyła go też potrawka w sosie pomidorowym ani smażone bakłażany. Po obiedzie Chiara poszła na lekcję fortepianu, a Raffi do kolegi – uczyć się matematyki.

Paola i Brunetti pozostali przy stole, na którym piętrzyły się talerze i miski. Pili kawę; on – z dodatkiem grappy, ona – czarną i słodką.

– Zamierzasz wynająć adwokata? – spytał.

– Rozmawiałam dziś rano z ojcem.

– I co powiedział?

– Kiedy? Zanim na mnie nawrzeszczał czy potem?

Brunetti uśmiechnął się mimowolnie. Trudno mu było sobie wyobrazić, by teść mógł na nią nawrzeszczyć. Rozbawiła go niestosowność tego określenia.

– Raczej potem.

– Powiedział, że jestem głupia.

Brunetti przypomniał sobie, że hrabia użył tego samego określenia przed dwudziestu laty, gdy Paola oznajmiła, że zamierza wyjść za niego za mąż.

– A potem?

– Powiedział, żebym zatrudniła Senna.

Był to najlepszy w mieście adwokat specjalizujący się w sprawach karnych.

– Lekka przesada.

– Dlaczego?

– Senno jest świetny jako obrońca gwałcicieli i morderców, chłopców z zamożnych rodzin, którzy pobili swoje dziewczyny, zarabiające na narkotyki sprzedają heroiny. Nie sądzę, byś mieściła się w tej kategorii.

– Czy mam to potraktować jako komplement?

Wzruszył ramionami, Nie potrafił jej odpowiedzieć.

– Wynajmiesz go? – spytał, gdy milczenie Paoli się przedłużało.

– Nie wynajęłabym takiego człowieka.

Brunetti podsunął sobie butelkę z grappą, wlał trochę do pustej filiżanki, zamieszał i wypił jednym haustem.

– Kogo więc wynajmiesz? – zapytał, ignorując jej uwagę.

Wzruszyła ramionami.

– Zaczekam, aż mnie oskarżą. Wtedy zdecyduję.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dolać sobie jeszcze grappy, lecz doszedł do wniosku, że nie ma na nią ochoty. Wstał i odsunął krzesło, nie proponując pomocy przy zmywaniu czy choćby przy sprzątanii ze stołu. Spojrzał na zegarek, dziwiąc się, że jest tak wcześnie. Nie minęła jeszcze druga.

– Chyba położę się na chwilę.

Kiwnęła głową i zaczęła składać talerze na stos.

Poszedł do sypialni, zdjął buty i usiadł na brzegu łóżka, czując, jaki jest zmęczony. Położył się na wznak, z rękami pod głową, i zamknął oczy. Z kuchni

dobiegał szum wody, brzęk talerzy, stukanie garnków. Wyjął jedną rękę spod głowy i zasłonił ramieniem oczy. Kiedy jako uczeń wracał do domu ze złymi stopniami, chował się w swoim pokoju i kładł na łóżku, bojąc się gniewu ojca i nie chcąc rozczarować matki.

Zalała go fala wspomnień, unosząc ze sobą. W pewnym momencie poczuł jakiś ruch obok i ciepło na piersi, a potem zapach jej włosów – dobrze mu znaną mieszaninę mydła i zdrowia. Nie otwierając oczu, otoczył ją ramionami i splótł dłonie na jej plecach.

Wkrótce oboje usnęli, a gdy się obudzili, wszystko było jak przedtem.

Rozdział 9

Następny dzień minął spokojnie, jak jeden z wielu w komendzie. Patta zażądał sprowadzenia Iacovantuona do Wenecji i przesłuchania go w sprawie odmowy zeznań. Brunetti minął się z nim na schodach. Piekarz szedł eskortowany przez dwóch policjantów z karabinami. Zauważył Brunettiego, lecz nie pokazał po sobie, że go rozpoznaje. Na jego twarzy zastygł wyraz obojętności, z jaką Włosi traktują urzędników państwowych.

Spoglądając w jego smutne oczy, Brunetti zastanawiał się, czy byłoby inaczej, gdyby wiedział, co naprawdę się zdarzyło. Bez względu na to, czy mafia rzeczywiście zamordowała mu żonę, czy też on tak uważał, Iacovantuono był przekonany, że państwo i jego instytucje nie są w stanie obronić go przed znacznie potężniejszą siłą.

Wszystkie te myśli przemknęły Brunettiemu przez głowę, były jednak zbyt zagmatwane, by ubrać je w słowa, toteż zdobył się tylko na kiwniecie głową, gdy mijał piekarza, który przy dwóch rosyjskich policjantach wydawał się jeszcze niższy.

Brunetti przypomniał sobie mit o Orfeuszu i Eurydyce, o mężczyźnie, który stracił żonę, oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy za nim idzie. Złamał w ten sposób polecenie bogów i skazał żonę na pozostanie w Hadesie. Bogowie rządzący Italią zabronili Iacovantuonowi na coś patrzeć, a gdy nie posłuchał, odebrali mu żonę.

Na szczęście Vianello czekał już na szczycie schodów i Brunetti natychmiast zapomniał o swoich refleksjach.

– *Commissario*, mieliśmy telefon od kobiety z Treviso – oznajmił sierżant. – Powiedziała, że mieszka w tym samym domu co państwo Iacovantuono, lecz z tego, co mówiła, wynika, że mieszka raczej w tym samym bloku.

Brunetti minął sierżanta, dając znak głową, by poszedł za nim. Poprowadził go do swojego pokoju.

– Co powiedziała? – spytał, wieszając płaszcz na wieszaku.

– Że się kłócili.

– Mnóstwo ludzi się kłóci – odparł, myśląc o swoim małżeństwie.

– On ją bił.

– Skąd ta kobieta o tym wie? – spytał Brunetti z nagłym zaciekawieniem.

– Powiedziała, że jego żona przychodziła do niej się wypłakiwać.

– Czy kiedykolwiek wezwała policję?

– Kto?

– Żona. Signora Iacovantuono.

– Nie wiem. Właśnie skończyłem rozmawiać z tą kobietą – wyjaśnił Vianello, spoglądając na kartkę, którą trzymał w ręku. – Odłożyłem słuchawkę tuż przed pana przyjściem. Nazywa się Grassi. Powiedziała, że on był znany w tym bloku.

– Z czego?

– Z dręczenia sąsiadów. Wciąż krzyczał na ich dzieci.

– A ta sprawa z żoną? – spytał Brunetti, siadając za biurkiem. Przysunął sobie stosik papierów i listów, lecz nie zaczął ich przeglądać.

– Nie wiem. Nie było czasu z nikim porozmawiać.

– To nie nasz rejon.

– Owszem, ale Pucetti mówił, że dziś rano go tu przywieźli. Ma rozmawiać z wicekomendantem o napadzie na bank.

– Tak. Widziałem go.

Brunetti popatrzył z roztargnieniem na leżącą przed nim kopertę z przyklejonym znaczkiem. Początkowo jego wzrok zarejestrował jedynie jasnozielony prostokąt, dopiero później wyłonił się obrazek: galijski żołnierz z mieczem tkwiącym w ciele, a u jego stóp umierająca żona. Z jednej strony

widniał napis: „Roma Museo Nazionale Romano”, z drugiej: „Galatea Suicida”, a w dole liczba „750”.

– Czy była ubezpieczona? – spytał.

– Nie wiem. Dopiero co odebrałem ten telefon.

Brunetti wstał zza biurka.

– Pójdę go zapytać – oznajmił, po czym wyszedł z pokoju.

W sekretariacie nie było nikogo, a przez ekran monitora przepływały malutkie wizerunki tosterów. Brunetti zapukał do drzwi gabinetu Patty i usłyszał, że może wejść.

Wewnątrz ujrzał dobrze mu znaną scenę: Patta siedział za pustym biurkiem, które onieśmiało swoim wyglądem, a Iacovantuono na wprost Patty, z rękami zaciśniętymi na podłokietnikach.

Zastępca komendanta spojrzał na komisarza z kamiennym wyrazem twarzy.

– Tak? – zapytał. – O co chodzi?

– Chciałbym o coś spytać signora Iacovantuona – odpowiedział Brunetti.

– Straci pan tylko czas – stwierdził Patta. – Tak jak ja teraz tracę – dodał podniesionym tonem. – Signor Iacovantuono najwyraźniej zapomniał, co się stało przed bankiem. – Patta pochylił się, a właściwie rzucił na biurko, uderzając w nie pięścią na tyle mocno, by rozprostować palce i wycelować nimi w Iacovantuona.

Piekarz milczał, a Patta popatrzył na Brunettiego.

– O co pan chce go zapytać, *commissario*? Czy widział Stefana Gentilego w banku? Czy pamięta, jak nam go opisał i jak rozpoznał na zdjęciu? – Patta odchylił się na oparcie fotela, z ręką wycelowaną w Iacovantuona. – Nie, nie sędzę, by coś z tego pamiętał. Dlatego nie ma sensu tracić czasu na pytania.

– Nie o to chciałem go zapytać – odparł Brunetti łagodnym tonem, który zabrzmiał jak dysonans przy teatralnym gniewie Patty.

Iacovantuono zwrócił ku niemu twarz.

– A o co? – spytał Patta.

– Chciałem się dowiedzieć – zaczął Brunetti, kierując pytanie do piekarza – czy pańska żona była ubezpieczona.

Oczy Iacovantuona rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ubezpieczona? – powtórzył.

– Czy miała ubezpieczenie na życie – wyjaśnił Brunetti. Iacovantuono przeniósł wzrok na Pattę, lecz nie znalazłszy w nim pomocy, znów popatrzył na Brunettiego.

– Nie wiem – odpowiedział.

– Dziękuję – odrzekł Brunetti i odwrócił się, zamierzając wyjść.

– To wszystko? – spytał gniewnym tonem Patta.

– Tak, *comandante* – powiedział Brunetti, odwracając się w stronę szefa, lecz patrząc na piekarza. Ten wciąż siedział na brzegu krzesła, ręce trzymał splecione na kolanach. Głowę miał spuszczoną, jakby przyglądał się swoim dłoniom.

Brunetti odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Tostery kontynuowały swoją wędrówkę i ginęły z prawej strony ekranu.

W pokoju czekał na niego Vianello. Stał przy oknie, patrząc na ogród po drugiej stronie kanału i na fasadę kościoła San Lorenzo. Odwrócił się, gdy usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi.

– No i? – zapytał, gdy Brunetti wszedł do pokoju.

– Zagadnąłem go o ubezpieczenie.

– I? – powtórzył Vianello.

– Nie wiedział. Czy Nadia ma polisę ubezpieczeniową? – spytał Brunetti, gdy Vianello milczał.

– Nie. Przynajmniej tak mi się wydaje – odparł sierżant po krótkim wahaniu. – Co pan zrobi? – dodał po chwili.

– Jedyne, co mogę zrobić, to powiedzieć ludziom z Treviso. – Nagle coś mu przyszło do głowy. – Dlaczego ona do nas zatelefonowała? – spytał, odwracając się

w stronę Vianella.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego sąsiadka miałaby telefonować na policję w Wenecji? Przecież ta kobieta zmarła w Treviso.

Brunetti poczuł, że się czerwieni. No, naturalnie! Chodziło o to, by zepsuć piekarzowi reputację w Wenecji. Gdyby zdecydował się zeznawać, to właśnie tu. Czyżby tak wytrwale go obserwowali, że zauważyli, jak policja po niego przyjechała? A może wiedzieli, kiedy ma przyjechać.

– *Gesu bambino!* – wyszeptał. – Jakie podała nazwisko?

– Grassi – odpowiedział Vianello.

Brunetti podniósł słuchawkę. Kiedy uzyskał połączenie z policją w Treviso, przedstawił się i poprosił do telefonu osobę, która prowadzi śledztwo w sprawie śmierci pani Iacovantuono. Dopiero po kilku minutach poinformowano go, że zdarzenie uznano za nieszczęśliwy wypadek.

– Czy macie nazwisko człowieka, który znalazł ciało?

Funkcjonariusz odłożył na chwilę słuchawkę.

– Zanetti – poinformował. – Walter Zanetti.

– Kto jeszcze mieszka w tym bloku? – spytał Brunetti.

– Tylko dwie rodziny. Państwo Iacovantuono na górze, a rodzina Zanettich na dole.

– Czy mieszka tam ktoś o nazwisku Grassi?

– Nie. Tylko te dwie rodziny. Dlaczego pan pyta?

– To nic takiego. Mieliśmy małe zamieszanie w raportach i nie mogliśmy znaleźć nazwiska Zanettiego. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co, *commissario* – odparł policjant i odłożył słuchawkę.

– Ona nie istnieje? – spytał Vianello, zanim Brunetti zdążył wyjaśnić.

– Jeżeli nawet, to nie mieszka w tym domu.

Vianello milczał przez chwilę.

– Co z tym zrobimy, *commissario*? – spytał.

– Poinformujemy Treviso.

– Myśli pan, że to u nich?

– Przecież? – spytał Brunetti, chociaż wiedział, że Vianello właśnie to miał na myśli.

Sierżant skinął głową.

– Tam lub tu. Nie ma znaczenia gdzie. Dość, że był.

– To wcale nie znaczy, że oni wiedzieli, że Iacovantuono ma dziś przyjechać.

– W takim razie po co by dzwonili?

– Tak na wszelki wypadek.

Brunetti pokręcił głową.

– Zbieżność w czasie jest zbyt dokładna. Przecież on właśnie wchodził do komendy, gdy odebrałeś ten telefon. – Zawahał się, po czym spytał: – Kogo poprosili?

– Telefonista powiedział, że chcieli rozmawiać z osobą, która pojechała do Treviso. Pewnie przełączył do pana pokoju, a skoro pana nie zastał, przełączył do nas. Pucetti przekazał sprawę mnie, bo tylko ja byłem z panem w Treviso.

– Jaki miała głos?

Vianello wrócił myślami do rozmowy.

– Zmartwiony, jakby nie chciała sprawić mu kłopotu. Powiedziała raz czy dwa, że dość się już wycierpiał, ale ona musi nas o tym poinformować.

– Cóż za obywatelska postawa!

– Tak.

Brunetti podszedł do okna, popatrzył na kanał i na łodzie policyjne, zacumowane przed komendą. Przypomniawszy sobie wyraz twarzy Iacovantuona, gdy zapytał go o ubezpieczenie, i poczuł, że znowu się czerwieni. Zareagował jak

dziecko na widok nowej zabawki, zamiast chwilę pomyśleć lub sprawdzić otrzymaną informację. Wiedział, że w wypadku nagłej śmierci żony podejrzenie pada najpierw na małżonka, lecz powinien zaufać instynktowi i przypomnieć sobie urywany głos piekarza, jego paniczny strach o dzieci. Powinien temu zaufać, zamiast oskarżać go przy pierwszej sposobności.

Nie mógł przeprosić piekarza, bo każde wyjaśnienie wzmogłoby tylko własne poczucie winy i zakłopotanie.

– Czy można jakoś sprawdzić, skąd dzwoniło? – spytał.

– W tle słychać było jakiś hałas, chyba dochodzący z ulicy. Podejrzewam, że dzwoniło z budki – odparł Vianello.

Skoro byli na tyle sprytni, by zatelefonować na komendę – albo dobrze poinformowani, podpowiedział Brunettiemu wewnętrzny głos – to byli również na tyle ostrożni, żeby zrobić to z budki.

– W takim razie to chyba wszystko.

Opadł na krzesło, czując się nagle bardzo zmęczony. Vianello wyszedł z pokoju, a Brunetti zajął się papierami leżącymi na biurku.

Przeczytał faks od kolegi z Amsterdamu, który prosił, żeby przyspieszył załatwienie prośby holenderskiej policji o informacje na temat Włocha aresztowanego przez nich za zabicie prostytutki. Ponieważ mężczyzna miał wpisaną w paszporcie Wenecję jako miejsce stałego zameldowania, władze holenderskie wysłały list do władz miasta z pytaniem, czy ten człowiek był już karany. Prośba o informacje została przekazana ponad miesiąc temu i dotąd nie było żadnej odpowiedzi.

Brunetti sięgał właśnie po słuchawkę, by sprawdzić, czy ten człowiek jest u nich notowany, gdy zadzwonił telefon i... zaczęło się.

Wiedział, że do tego dojdzie, starał się nawet obmyślić jakąś strategię postępowania z prasą, lecz i tak nie uniknął zaskoczenia.

Najpierw zadzwonił znany mu dziennikarz z „Gazzettino”, pytając, czy to prawda, że komisarz Brunetti rezygnuje z pracy w policji. Kiedy odpowiedział, że nic mu o tym nie wiadomo, że nigdy nie myślał o rezygnacji, dziennikarz, Piero Lembo, zapytał, jak w takim razie zapatruje się na aresztowanie żony i konflikty, które mogą z tego wyniknąć z racji jego pozycji zawodowej.

Brunetti odpowiedział, że nie jest w żaden sposób zamieszany w tę sprawę, nie widzi więc powodu do jakiegokolwiek konfliktu.

– Ale przecież ma pan przyjaciół w komendzie – zauważył Lembo, chociaż ton jego głosu świadczył, że raczej w to wątpi. – Przyjaciół w sądownictwie. Czy to nie wpłynie na ich opinię lub decyzje, jakie podejmą?

– To mało prawdopodobne – odrzekł Brunetti. – Poza tym nie będzie żadnego procesu.

– Dlaczego? – spytał Lembo.

– Proces zazwyczaj orzeka o czyjejś winie lub niewinności. W tym przypadku nie wchodzi to w grę. Sądzę, że skończy się na grzywnie.

– A co potem?

– Nie bardzo rozumiem pańskie pytanie, signor Lembo – odparł Brunetti, patrząc na gołębia, który właśnie wylądował na dachu domu po drugiej stronie kanału.

– Co będzie, kiedy zostanie wyznaczona grzywna?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Dlaczego?

– Bo ta grzywna zostanie nałożona na moją żonę, nie na mnie. – Ciekawe, ile razy będzie to musiał powtarzać.

– A jaka jest pańska opinia na temat postępków pańskiej żony?

– Nie mam żadnej opinii. – W każdym razie takiej, która nadawałaby się dla prasy.

– Uważam to za dziwne – stwierdził Lembo i dodał *commissario*, jakby to jedno słowo miało rozwiązać Brunettiemu język.

– Pańska wola – odrzekł Brunetti. – Jeżeli nie ma pan dalszych pytań, życzę miłego popołudnia. – I odłożył słuchawkę. Zaczekał, aż połączenie zostanie przerwane, i wykręcił numer centrali. – Proszę mnie dziś już z nikim nie łączyć – powiedział i odłożył słuchawkę.

Potem zadzwonił do działu archiwów, podał nazwisko Włocha z Amsterdamu i poprosił o sprawdzenie, czy jest notowany, a jeżeli tak, to żeby natychmiast przefaksowali jego akta holenderskiej policji. Oczekiwał, że usłyszy, ile to mają roboty, lecz nic takiego się nie stało. Powiedzieli, że wyślą je po południu, oczywiście jeżeli ten człowiek figuruje w ich kartotece.

Przez resztę przedpołudnia Brunetti odpowiadał na listy i pisał raporty z dwóch dochodzeń, które prowadził.

Kilka minut po pierwszej wstał zza biurka i przygotował się do wyjścia. Zszedł po schodach. Przy drzwiach nie było strażnika, lecz to go nie zdziwiło, bo w czasie przerwy obiadowej zamykano wszystkie biura i nie wpuszczano nikogo do budynku. Brunetti wcisnął przycisk zwalniający wielkie oszklone drzwi i pchnął jedno ze skrzydeł. Do hallu wdarło się chłodne powietrze, podniósł więc kołnierz płaszcza, wsunął głębiej brodę i ze spuszczoną głową wyszedł na zewnątrz.

Najpierw oślepił go błysk światła, potem kolejny i jeszcze jeden. Spuścił wzrok i zobaczył zbliżające się szybko stopy, które zablokowały mu drogę. Musiał się zatrzymać i podnieść głowę.

Otaczało go pięciu mężczyzn z mikrofonami w dłoniach. Z tyłu za nimi tańczyło kolejnych trzech, celując w niego obiektywami kamer.

– *Commissario*, czy to prawda, że musiał pan aresztować żonę?

– Czy będzie proces? Czy pańska żona wynajęła adwokata?

– A co z rozwodem? Czy to prawda, że się rozwodzicie?

Mikrofony przesunęły mu się przed nosem. Najchętniej by je odepchnął. Wobec wyraźnego zaskoczenia malującego się na jego twarzy głosy reporterów wzbiły się w górę z zachłanną gwałtownością, wyrzucając pytania jedno za drugim. Słyszał tylko ich fragmenty: „teść”, „Mitri”, „wolna inicjatywa”, „utrudnianie pracy sądom”.

Wsunął dłonie do kieszeni płaszcza, spuścił głowę i ruszył przed siebie. Napotkał opór ludzkiego ciała, lecz szedł dalej, dwa razy nadeptując komuś na stopę. „Nie może pan tak odejść”, „obowiązek”, „mamy prawo wiedzieć...”

Znowu ktoś zastąpił mu drogę, lecz Brunetti parł naprzód ze wzrokiem wbitym w ziemię, unikając tym razem kontaktu z obcymi stopami. Kiedy doszedł do rogu, skręcił w lewo, w stronę Santa Maria Formosa, cały czas idąc w tym samym tempie. Czyjaś ręka chwyciła go za ramie, lecz ją strzasnął. Z trudem się opanował, by nie wyrwać jej z ciała i nie pchnąć reportera na ścianę.

Szli za nim przez kilka minut, lecz on ani nie przyspieszył, ani się nie obejrzał. Nagle skręcił w prawo w wąską uliczkę.

Musieli się wystraszyć panującej w zaułku ciemności, bo wreszcie go zostawili. Doszedł do końca uliczki, skręcił w lewo i ruszył wzdłuż kanału, już wolny od reporterów.

Z Campo Santa Marina zatelefonował do domu i dowiedział się od Paoli, że przed ich domem stoją kamerzyści, a trzech reporterów bezskutecznie usiłowało ją zatrzymać i zadać kilka pytań.

– W takim razie zjem obiad w mieście – zdecydował.

– Przepraszam, Guido – odpowiedziała. – Ja nie... – urwała, lecz on milczał.

Rzeczywiście, nie pomyślała o konsekwencjach swojego czynu, co przy jej inteligencji wydało mu się dziwne.

– Co będziesz robił? – spytała.

– Wrócę po południu. A ty?

- Dopiero pojutrze mam wykłady.
- Paolo, nie możesz zamykać się w domu.
- Boże, to tak jak w więzieniu, prawda?
- W więzieniu jest gorzej.
- Wrócisz do domu po pracy?
- Oczywiście.
- Naprawdę?

Zamierzał powiedzieć, że nie ma dokąd pójść, lecz pomyślał, że mogłaby to źle zrozumieć.

- Nie chcę iść gdzie indziej – odrzekł zamiast tego.
- Och, Guido – usłyszał. – *Ciao, amore* – dodała i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 10

Te sentymenty niewiele jednak znaczyły wobec tłumu, który czekał na niego przed komendą. Niczym stado kruków, sępów i harpii – pomyślał, kiedy zszedł z Ponte dei Greci i ruszył ku grupie reporterów. Brakowało jedynie padliny, by dopełnić obrazu.

Jeden z nich – zapewne zdrajca – zobaczył Brunettiego wcześniej i nic nikomu nie mówiąc, podszedł do niego z mikrofonem, który ścisnął w dłoni niczym kij do poganiania bydła.

– *Commissario* – zaczął już z odległości jednego metra – czy dottor Mitri postanowił wnieść oskarżenie przeciw pańskiej żonie?

Brunetti zatrzymał się z uśmiechem na twarzy.

– Musi pan o to zapytać dottora Mitriego.

W tym momencie zobaczył, że grupa reporterów wyczuła brak kolegi i zwróciła się w stronę dochodzących ją głosów. W jednej chwili wszyscy rzucili się w jego kierunku z wyciągniętymi mikrofonami, jakby chcieli pochwycić chociaż jedno słowo, unoszące się jeszcze w powietrzu. W powstałym zamieszaniu któryś z kamerzystów potknął się o kabel i upadł na ziemię, rozbijając kamerę. Z jej wnętrza wypadły soczewki i potoczyły się po chodniku w stronę kanału. Tłum zatrzymał się zaskoczony, patrząc, jak szkiełka toczą się ku schodom, zsuwają z nich i z cichym pluskiem znikają w zielonych wodach kanału.

Brunetti skorzystał z chwili zamętu i ruszył ku drzwiom komendy, lecz reporterzy oprzytomnieli równie szybko i rzucili się ku niemu.

– Czyłoży pan rezygnację?

– Czy to prawda, że pańska żona ma poprzedni protokół zatrzymania?

– ...zataiła przed sądem?

Szedł dalej z uśmiechem przyklejonym do twarzy Nie odpychał natrętów, lecz jednocześnie nie pozwalał, by go zatrzymali. Kiedy dotarł do celu, drzwi się otworzyły i stanęli w nich Vianello i Pucetti, powstrzymując reporterów przed wtargnięciem do środka.

Brunetti wszedł, a za nim Vianello i Pucetti.

– Banda dzikusów – stwierdził Vianello, stojąc tyłem do drzwi.

Brunetti nie odwrócił się tak jak Orfeusz, tylko ruszył schodami do swojego pokoju. Kiedy usłyszał za sobą kroki, obejrzał się i zobaczył Vianella, przeskakującego po dwa stopnie naraz.

– Chce pana widzieć.

Nie zdejmując płaszcza, Brunetti skierował się do gabinetu Patty. Signorina Elettra siedziała przy biurku i przeglądała „Gazzettino”. Zerknął na pierwszą stronę i zobaczył swoje zdjęcie sprzed kilku lat i zdjęcie Paoli z dowodu osobistego.

– Jeżeli stanie się pan jeszcze sławniejszy, będę musiała błagać o autograf – stwierdziła signorina Elettra.

– Czy tego właśnie chce szef? – spytał z uśmiechem.

– Nie, raczej pańskiej głowy.

– Tak myślałem – rzekł i zapukał do drzwi gabinetu.

Odpowiedział mu głos Patty, w którym pobrzmiwały złowieszcze tony. O ile byłoby łatwiej, gdyby skończył wreszcie z tym melodramatem – pomyślał Brunetti. Nagle przyszła mu do głowy fraza z opery Donizettiego *Anna Bolena*: „Jeżeli ci, którzy mnie sądzą, już wydali na mnie wyrok, to nie mam szans”. Dobry Boże, i kto to mówi o melodramacie?

– Chciał pan się ze mną widzieć? – spytał po wejściu do gabinetu.

Patta siedział za biurkiem. Miał kamienny wyraz twarzy. Brakowało mu tylko czarnego beretu, jaki angielscy sędziowie wkładali na peruki, gdy skazywali więźnia na śmierć.

– Tak, Brunetti. Nie, nie siadaj. To, co mam do powiedzenia, nie zabierze dużo czasu. Rozmawiałem z komendantem i uznaliśmy, że powinieneś pójść na urlop administracyjny, póki sprawa nie zostanie wyjaśniona.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że dopóki ta sprawa się nie wyjaśni, nie musisz przychodzić do pracy.

– Wyjaśni?

– Dopóki sąd nie wyda wyroku, a twoja żona nie zapłaci grzywny lub nie wynagrodzi strat, na jakie naraziła dottora Mitriego.

– Zakładając, że zostanie oskarżona i skazana – powiedział Brunetti, wiedząc, że to możliwe. – Ale to może potrwać wiele lat – dodał.

– Wątpię – stwierdził Patta.

– *Comandante*, mam w aktach sprawy, które od pięciu lat czekają na wyznaczenie daty procesu. Powtarzam: to może potrwać wiele lat.

– To zależy od decyzji twojej żony. Dottor Mitri wykazał daleko idącą uprzejmość, proponując rozwiązanie problemu. Lecz twoja żona najwidoczniej postanowiła nie przyjmować jego propozycji. Będzie więc musiała ponieść wszelkie konsekwencje.

– Z całym szacunkiem, *comandante*, ale to nie do końca prawda – powiedział Brunetti i zanim Patta zdążył zaprotestować, dodał: – Dottor Mitri przekazał swoją propozycję mnie, nie mojej żonie. Wyjaśniłem już, że nie mogę podejmować za nią decyzji. Gdyby to jej złożył tę propozycję i gdyby odmówiła, wówczas byłaby to prawda.

– Nie powiedziałaś jej? – spytał, nie kryjąc zaskoczenia, Patta.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to, jak sądzę, sprawa dottora Mitriego.

Patta zastanawiał się przez chwilę.

– Wspomnę mu o tym – oznajmił.

Brunetti kiwnął głową, lecz trudno powiedzieć, czy była to forma podziękowania, czy jedynie przyjął to do wiadomości.

– To wszystko, *comandante*? – spytał.

– Tak. Lecz nie zapominaj, że jesteś na urlopie administracyjnym.

– Tak jest – odparł Brunetti, chociaż nie miał pojęcia, co ten termin oznacza. Jasne było tylko, że przestał być policjantem i stracił pracę. Odwrócił się bez słowa i wyszedł z gabinetu.

Signorina Elettra nadal siedziała za biurkiem, lecz skończyła już czytać „Gazzettino” i przeglądała teraz jakieś czasopismo. Na widok Brunettiego uniosła głowę.

– Kto poinformował prasę?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Pewnie porucznik. – Spojrzała na drzwi gabinetu Patty.

– Urlop administracyjny.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – stwierdziła. – Pewnie wymyślono go na taką okazję. Co pan robi, *commissario*?

– Wrócę do domu i będę czytał – odpowiedział i nagle zapragnął zrealizować ten pomysł. Musiał jedynie przedrzeć się przez kordon reporterów stojących przed komendą, uciec przed ich kamerami i pytaniami. Wtedy będzie mógł wrócić do domu i czytać, dopóki Paola nie podejmie decyzji lub sprawa nie zostanie załatwiona. Dzięki książkom znajdzie się daleko od komendy, od Wenecji, od tego nędznego stulecia, w którym królowały tani sentymentalizm i żądza krwi – w świecie, gdzie zazna ukojenia.

Signorina Elettra uśmiechnęła się, traktując jego odpowiedź jako żart, i wróciła do lektury pisma.

Nie wstąpił już do swojego pokoju, lecz poszedł prosto do wyjścia. Stwierdził ze zdziwieniem, że dziennikarze zniknęli, pozostały po nich jedynie kawałki plastiku i ułamana rączka od kamery.

Rozdział 11

Pod swoim domem zastał niedobitki reporterów, w tym trójkę tych, którzy usiłowali wyciągnąć coś z niego przed komendą. Nie zareagował na wykrzykiwane pytania, przepchnął się do szerokiej bramy i wyjął klucz. Nagle ktoś chwycił go za ramię i pociągnął do tyłu.

Brunetti obrócił się z wielkim pękiem kluczy w dłoni. Reporter cofnął się na widok wyrazu twarzy komisarza i uniósł rękę w pojednawczym geście.

– Przepraszam, *commissario* – powiedział, uśmiechając się fałszywie.

Pozostali usłyszeli w jego głosie strach i znieruchomieli. Brunetti powiódł wzrokiem po ich obliczach. Nie błysnął żaden flesz, nikt nie podniósł kamery.

Komisarz wsunął klucz do zamka, przekręcił, wszedł do hallu, zamknął bramę i oparł się o nią plecami. Był cały zlany potem, trząsł się z wściekłości, a serce waliło mu jak oszalałe. Rozpiął płaszcz, by orzeźwiło go chłodne powietrze, odepchnął się plecami od bramy i ruszył schodami na górę.

Paola musiała słyszeć, jak wchodzi, bo otworzyła drzwi, gdy dotarł na górny podest. Zaczekała, aż wejdzie, po czym wzięła od niego płaszcz i powiesiła na wieszaku. Pocałował ją w policzek, chłonąc w nozdrza jej zapach.

– No i? – spytała.

– Urlop administracyjny. Wynaleziono go pewnie specjalnie na tę okazję.

– Co to znaczy? – spytała, idąc za nim do salonu.

Kłapnął na sofę, wyciągnął przed siebie nogi.

– To znaczy, że mam zostać w domu i zająć się czytaniem, dopóki ty i Mitri nie dojdziecie do porozumienia.

– Porozumienia? – powtórzyła, siadając obok niego na brzegu sofy.

– Patta zdaje się uważa, że powinnaś zapłacić Mitriemu za rozbite okno

i przeprosić. Albo tylko zapłacić za okno – poprawił się.

– Za jedno czy za dwa? – spytała.

– A co za różnica?

Spuściła wzrok i wygładziła stopą brzeg dywanu biegnący wzdłuż kanapy.

– Właściwie to żadna, bo i tak nie zapłacę mu nawet lira.

– Nie zapłacisz czy nie chcesz zapłacić?

– Nie chcę.

– W takim razie będę mógł wreszcie przeczytać Gibbona.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że posiedzę w domu, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, na drodze porozumienia lub urzędowo.

– Jeżeli zasądzą grzywnę, zapłacę – powiedziała jak cnotliwa obywatelka, wywołując tym uśmiech na twarzy Brunettiego.

– Zdaje się, że to Wolter powiedział: „Nie podobają mi się twoje poglądy, lecz do śmierci będę bronił prawa do ich wyrażania” – zacytował z pamięci, nie przestając się uśmiechać.

– Powiedział wiele ładnie brzmiących zdań. Miał do nich talent.

– Czyżbyś miała wątpliwości?

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze podejrzliwie podchodzę do takich szlachetnych mądrości.

- Zwłaszcza jeśli wyszły z ust mężczyzny.

Pochyliła się ku niemu i przykryła dłonią jego dłoń.

– Ty to powiedziałeś, nie ja.

– Niemniej to prawda.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Naprawdę zamierzasz czytać Gibbona?

– Zawsze chciałem go przeczytać. Ale w tłumaczeniu. Jego styl jest dla mnie

zbyt wyszukany.

– W tym cały urok.

– Mam dość wyszukanego słownictwa w gazetach. Nie potrzebuję go w książce historycznej.

– Gazety będą miały niezłą zabawę – zauważyła Paola.

– Nikt nie chce aresztować Andreottiego, muszą więc o czymś pisać.

– Chyba tak. – Wstała. – Przynieść ci coś?

– Kanapkę i kieliszek dolcetta – powiedział, jako że niezbyt smakował mu obiad. Pochylił się, by rozwiązać sznurowadła. – I pierwszy tom Gibbona – dodał, gdy Paola ruszyła do drzwi.

Wróciła po dziesięciu minutach, a on bezwstydnie wyciągnął się na kanapie, postawił kieliszek wina na stoliku obok, talerzyk z kanapką na piersi, otworzył książkę i zaczął czytać. Kanapka była z boczkiem, pomidorem i grubymi kawałkami sera owczego. Po kilku minutach przysła Paola i podłożyła mu serwetkę pod brodę, w chwili gdy z kanapki zsunął się kawałek pomidora. Brunetti odłożył bułkę na talerzyk, sięgnął po kieliszek i upił łyk wina. Wziął książkę i przeczytał napuszony rozdział wprowadzający, który był niepoprawnym politycznie hymnem na cześć Imperium Romanum.

Kiedy Gibbon wyjaśniał zasady tolerancji, z jaką politeista patrzy na wszystkie religie, weszła Paola, dołała wina do kieliszka, zabrała pusty talerzyk, serwetkę i wróciła do kuchni. Gibbon miał zapewne coś do powiedzenia na temat uległości dobrej rzymskiej żony i Brunetti już się cieszył na ten fragment.

Następnego dnia dzielił lekturę Gibbona z krajową i lokalną prasą, którą przyniosły do domu dzieci. „Gazzettino”, której reporter złapał go za rękę, grzmiała o nadużywaniu siły przez władze, o odmowie współpracy z prasą i łamaniu prawa do informacji, o arogancji i skłonności do przemocy. Dowiedzieli

się jakimś sposobem o motywach działania Paoli i z całą zawziętością potępili ten szkodliwy w swej obywatelskiej wymowie czyn, przedstawiając ją jako kobietę szukającą poklasku, co nie licowało z pozycją nauczyciela akademickiego. Nie wspomnieli jednak o tym, że nikt nie zwrócił się do niej z prośbą o udzielenie wywiadu.

Większe gazety były mniej wybuchowe, chociaż i one przedstawiały całe wydarzenie jako przykład groźnego precedensu, potępiając obywatela, który pomija organy państwowe w poszukiwaniu źle pojmowanej „sprawiedliwości”, pisanej w cudzysłowie, co nadawało jej pogardliwy wydźwięk.

Po przeczytaniu gazet Brunetti powrócił do lektury książki i nie wychodził z domu. Paola większość dnia spędziła w gabinecie, czytając pracę doktorską studenta, który pod jej kierunkiem przygotowywał się do obrony. Dzieci, chociaż uprzedzone o wszystkim przez rodziców, wychodziły z domu i wracały przez nikogo nienagabywane, robiły sprawunki, kupowały gazety i zachowywały się na ogół bardzo dobrze w nowej dla nich sytuacji.

Drugiego dnia Brunetti uciął sobie długą drzemkę po obiedzie. Nawet położył się do łóżka, zamiast po prostu przespać się na kanapie. Po południu kilka razy słyszał, że dzwoni telefon, lecz zostawił to Paoli. Jeżeli chciał się z nim skontaktować Mitri lub jego adwokat, i tak mu o tym powie. A może nie?

Telefon odezwał się tuż po śniadaniu trzeciego dnia, gdy Brunetti zaczynał traktować pobyt w domu jak odosobnienie. Po kilku minutach do salonu weszła Paola z informacją, że to do niego. Sięgnął po słuchawkę, nie spuszczając nawet nóg z kanapy.

– Tak?

– Tu Vianello, *commissario*. Czy dzwonił już do pana?

– Kto?

– Ci, co mieli wczoraj dyżur.

– Nie. Dlaczego?

Vianello coś powiedział, lecz jego słowa utonęły w hałasie głośnych rozmów.

– Gdzie jesteś, Vianello?

– W barze przy moście.

– Co się stało?

– Mitri został zamordowany wczoraj w nocy.

Brunetti usiadł i spuścił nogi na podłogę.

– Jak? Gdzie?

– W swoim domu. Uduşony, w każdym razie na to wygląda. Ktoś musiał zejść go od tyłu i zarzucić mu coś na szyję. Cokolwiek to było, zabrał ze sobą. Ale... – urwał i odczekał, aż gwar się zmniejszy.

– Co? – spytał Brunetti, gdy mogli już rozmawiać.

– Przy zwłokach znaleźli list. Nie widziałem go, ale Pucetti mówił, że jest w nim coś o pedofilach i ludziach, którzy im pomagają. I coś o sprawiedliwości.

– *Gesu bambino!* – wyszeptał Brunetti. – Kto go znalazł?

– Corvi i Alvise.

– A kto do nich zadzwonił?

– Jego żona. Wróciła z kolacji u przyjaciół i znalazła go leżącego na podłodze w kuchni.

– Z kim jadła kolację?

– Nie wiem, *commissario*. Wiem tyle, ile mógł mi powiedzieć Pucetti, a on dowiedział się dziś rano od Corwiego, który kończył właśnie dyżur.

– Komu przydzielono tę sprawę?

– Porucznik Scarpa poszedł obejrzeć ciało, gdy Corvi go zawiadomił.

Brunetti nic nie powiedział, chociaż zastanawiał się, dlaczego asystent Patty miałby dostać tę sprawę,

– Czy *vice-questore* już jest?

– Nie było go, gdy wychodziłem, ale Scarpa dzwonił do niego do domu i opowiedział o wszystkim.

– Zaraz tam będę – powiedział Brunetti, szukając butów.

– Tak. Lepiej, żeby pan przyszedł – stwierdził Vianello po chwili zastanowienia.

– Za dwadzieścia minut – dodał Brunetti i odłożył słuchawkę.

Zawiązał buty i poszedł do gabinetu Paoli. Drzwi były otwarte, jakby na niego czekała.

– Dzwonił Vianello – poinformował.

Uniosła wzrok, po czym odsunęła stronę, którą czytała, zakręciła pióro i położyła je na biurku.

– Co powiedział?

– Mitri został zamordowany tej nocy.

Cofnęła się na oparcie fotela, jakby usuwała się przed ciosem.

– Nie.

– Pucetti powiedział, że znaleziono przy nim kartkę, na której było coś o pedofilach i sprawiedliwości.

Twarz jej stężała, a dłoń powędrowała do ust.

– Och, *Madonna Santa*! Jak?

– Uduszony.

Pokręciła głową i zamknęła oczy.

– O mój Boże!

Brunetti wiedział, że teraz jest czas na to pytanie.

– Paolo, czy zanim to zrobiłaś, z kimś o tym rozmawiałaś? Czy może ktoś cię do tego zachęcał?

– Co masz na myśli?

– Czy działałaś sama?

Patrzył, jak jej tęczyówki gwałtownie się kurczą.

– Pytasz, czy ktoś, kogo znam, jakiś fanatyk, wiedział, że zamierzam rozbić szybę? A potem poszedł i go zabił?

– Paolo – zaczął, starając się nie podnosić głosu. – Spytałem cię, by wykluczyć taką ewentualność, zanim ktoś inny połączy te sprawy i zapyta o to samo.

– Tu nie ma czego łączyć – odparła bez chwili wahania. Ostatnie słowo wymówiła z wyraźnym sarkazmem.

– A więc nie było nikogo innego?

– Nie. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam. To była wyłącznie moja decyzja. Wcale niełatwa.

Skinął głową. Jeżeli działała sama, w takim razie to prasa musiała kogoś do tego skłonić lub zachęcić. Boże, zaczynamy się zachowywać jak Amerykanie. Tam wystarczy wzmianka o zbrodni, by natychmiast znaleźli się naśladowcy.

– Zajmę się tym – powiedział. – Nie wiem, kiedy wrócę.

Skinęła głowę, lecz nie wstała zza biurka.

Brunetti wziął płaszcz i wyszedł z domu. Nikt nie czekał na zewnątrz, wiedział jednak, że to krótkotrwałe zawieszenie broni.

Rozdział 12

Skończyło się przed komendą, której drzwi blokowały trzy rzędy dziennikarzy. W pierwszym stali sprawozdawcy z notatnikami w rękach, za nimi ci z mikrofonami, a najbliżej drzwi ustawili się kamerzyści. Były nawet dwie kamery na statywach i reflektory.

Jeden z operatorów zobaczył Brunettiego i skierował na niego obiektyw. Komisarz jednak zignorował cały otaczający go tłum, a żaden z reporterów nie zwrócił się do niego z pytaniem. Wyciągnęli tylko mikrofony w jego kierunku i patrzyli w milczeniu, jak niczym Mojżesz idzie wśród rozstępujących się wód ich ciekawości w stronę wejścia do komendy.

Wewnątrz powitali go, salutując, Alvisie i Riverre. Alvisie nie potrafił ukryć zdziwienia.

– *Buon di, commissario* – powiedział Riverre a kolega zawtórował mu jak echo.

Brunetti tylko im się uklonił, wiedząc, że straciłby czas, wypytujac Alvisiego, i poszedł prosto do gabinetu Patty.

Signorina Elettra siedziała przy biurku i rozmawiała przez telefon. Kiwnęła Brunettiemu głową, nie okazując na jego widok najmniejszego nawet zdziwienia, i uniosła rękę na znak, by zaczekał.

– Chciałabym to mieć do południa – powiedziała. Słuchała jeszcze chwilę rozmówcy, po czym pożegnała się i odłożyła słuchawkę. – Witam z powrotem, *commissario*.

– Czy rzeczywiście?

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Jestem mile widziany – wyjaśnił.

– Przeze mnie z całą pewnością. Nie wiem, co na to *vice-questore*, ale pytał już

o pana.

– Co mu pani powiedziała?

– Że wkrótce się pana spodziewam.

– I?

– Przyjął to z wyraźną ulgą.

– To dobrze. – Brunetti również wyglądał, jakby mu ulżyło. – A co z porucznikiem Scarpą?

– Jest u *vice-questore*, odkąd wrócił z miejsca zbrodni.

– Która to była godzina?

– Telefon od signory Mitri przyjęto o dwudziestej drugiej dwadzieścia siedem. Corvi dzwonił o dwudziestej trzeciej zero trzy. – Spojrzała na kartkę leżącą na biurku. – Porucznik Scarpa zadzwonił kwadrans po dwudziestej trzeciej i natychmiast pojechał do domu Mitriego, Wrócił dopiero o pierwszej.

– I jest tam? – spytał Brunetti, wskazując brodą na drzwi gabinetu.

– Od ósmej trzydzieści.

– Nie ma na co czekać – rzekł Brunetti bardziej do siebie niż do sekretarki i zapukał.

Odpowiedział mu głos Patty.

Brunetti otworzył drzwi i wszedł do środka. Patta jak zwykle siedział za biurkiem. Strumień światła zza pleców *vice-questore* odbijał się w gładkiej powierzchni i w oczach każdego, kto usiadł na wprost niego.

Przy szefie stał porucznik Scarpa, wyprostowany niczym struna i w mundurze wyprasowanym tak idealnie, że wyglądał jak Maximilian Schell w popisowej roli niemieckiego oficera.

Patta powitał komisarza skinieniem głowy i wskazał stojące przed biurkiem krzesło. Brunetti przesunął je w bok, tak żeby cień rzucony przez Scarpę złagodził nieco blask politory. Porucznik przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą

i postąpił krok w prawo. Brunetti w odpowiedzi przesunął się w lewo i zwrócił lekko w tę stronę.

– Dzień dobry, *vice-questore* – powiedział Brunetti, po czym kiwnął głową Scarpie.

– A więc już wiesz – odrzekł Patta.

– Wiem tylko, że go zamordowano. Poza tym nic.

Patta spojrzał na Scarpę.

– Proszę mu opowiedzieć, poruczniku.

Scarpa zerknął na Brunettiego, następnie przeniósł wzrok na Pattę i nieznacznie skinął głową.

– Z całym szacunkiem, *comandante* – powiedział – ale myślałem, że pan komisarz jest na urlopie administracyjnym. – Patta milczał. – Nie wiedziałem, że zostanie przydzielony do tej sprawy – ciągnął. – Jeśli mógłbym coś zasugerować, to prasa może zacząć się dziwić, że ją dostał.

Brunettiego zaciekało, że Scarpa łączy ze sobą obie te sprawy. Czyżby uważał, że Paola jest w jakiś sposób zamieszana w morderstwo?

– Ja decyduję, co komu przydzielić, poruczniku – odparł Patta beznamiętnym tonem. – Proszę opowiedzieć o wszystkim komisarzowi. To teraz jego problem.

– Tak jest. – Scarpa wyprostował się i zaczął mówić. – Corvi zadzwonił do mnie kilka minut po dwudziestej trzeciej. Natychmiast udałem się do domu Mitriego. Znalazłem go leżącego na podłodze w kuchni. Znaki na szyi wskazywały, że został uduszony, lecz narzędzia zbrodni nie było. – Umilkł i spojrzał na Brunettiego. Komisarz milczał. – Dokonałem oględzin ciała – mówił dalej Scarpa – potem zadzwoniłem po doktora Rizzardiego, który przybył pół godziny później. Potwierdził moją opinię na temat przyczyny śmierci.

– Czy przedstawił może jakieś hipotezy dotyczące tego, czym ofiara została uduszona? – spytał Brunetti.

– Nie.

Komisarz zauważył, że Scarpa pominął jego stanowisko służbowe, lecz dał spokój. Nie musiał się nawet domyślać, jak porucznik potraktował Rizzardiego, nie zdziwiło go więc, że ten nie miał ochoty dzielić się z nim swoimi przypuszczeniami na temat ewentualnego narzędzia zbrodni.

– A sekcja zwłok? – spytał Brunetti.

– Dziś, jeśli to będzie możliwe.

Brunetti postanowił zadzwonić do Rizzardiego. To na pewno będzie możliwe.

– Czy mogę mówić dalej, *comandante*? – zwrócił się Scarpa do Patty.

Patta popatrzył wymownie na Brunettiego, jakby chciał zapytać, czy ma jeszcze jakieś pytania, komisarz jednak zignorował jego spojrzenie, zwrócił się więc do Scarpy.

– Oczywiście.

– Tego wieczoru był w domu sam. Żona jadła kolację z przyjaciółmi.

– Dlaczego Mitri z nią nie poszedł?

Scarpa zerknął na Pate, jakby pytał, czy ma udzielić komisarzowi odpowiedzi. Patta skinął głową.

– Żona powiedziała, że to byli jej starzy przyjaciele, jeszcze z czasów przedmałżeńskich, i Mitri rzadko bywał u nich na kolacjach – wyjaśnił porucznik.

– Dzieci? – spytał Brunetti.

– Córka, mieszka w Rzymie.

– Służący?

– Wszystko jest w raporcie – odparł z rozdrażnieniem Scarpa, patrząc na Pate, nie na komisarza.

– Służący? – powtórzył Brunetti.

Scarpa się zawahał.

– Nie ma – odpowiedział. – W każdym razie takich, którzy mieszkają tam na

stała. Dwa razy w tygodniu przychodzi kobieta do sprzątan.

Brunetti wstał z krzesła.

– Gdzie jest teraz żona? – spytał Scarpę.

– Kiedy wychodziłem, była w domu.

– Dziękuję, poruczniku – odpowiedział Brunetti. – Chciałbym dostać kopię pańskiego raportu.

Scarpa skinął w milczeniu głową.

– Muszę porozmawiać z żoną denata – oznajmił Brunetti Patcie. – Będę bardzo ostrożny – dodał, zanim *vice-questore* zdążył coś powiedzieć.

– A twoja żona? – spytał Patta.

To pytanie mogło mieć wiele znaczeń, lecz Brunetti wybrał najbardziej oczywiste.

– Przez cały wieczór była ze mną i dziećmi. Żadne z nas nie wychodziło z domu po dwudziestej trzydzięci, kiedy syn wrócił od kolegi, z którym razem się uczyli.

Zatrzymał się, czekając na następne pytanie Patty, a gdy ten milczał – wyszedł z gabinetu.

Signorina Elettra uniosła głowę znad leżących na biurku papierów.

– No i? – spytała, nie kryjąc ciekawości.

– Jest moja – odparł Brunetti.

– Ale to szaleństwo! – wyrwało się jej, zanim zdążyła pomyśleć, więc pospiesznie dodała: – Prasa oszaleje, kiedy się dowie.

Brunetti wzruszył ramionami. Niewiele mógł zrobić, by powściągnąć entuzjazm dziennikarzy.

– Czy zdobyła pani te dokumenty, którymi miała się pani nie zajmować? – spytał.

Obserwował, jak się zastanawia, do czego to pytanie może prowadzić: do zarzutu nieposłuszeństwa, niesubordynacji, niewykonania polecenia przełożonego, do zwolnienia, do zniszczenia jej kariery.

– Oczywiście, *commissario* – odpowiedziała.

– Mogę dostać ich kopię?

– To potrwa kilka minut. Mam je ukryte tutaj. – Wskazała ręką w stronę monitora.

– To znaczy gdzie?

– W pliku, do którego nikt prócz mnie nie ma dostępu.

– Nikt?

– Och, musiałby być tak dobry jak ja – odparła z dumą.

– Czy to możliwe?

– Nie tutaj.

– Dobrze. Zechce je pani przynieść na górę?

– Oczywiście, *commissario*.

Machnął ręką na pożegnanie i poszedł do swojego pokoju.

Natychmiast zadzwonił do Rizzardiego. Zastał patologa w jego gabinecie w szpitalu.

– Mówi Brunetti. Masz już wyniki?

– Nie. Zacznę dopiero za jakąś godzinę. Najpierw mam samobójstwo. Młoda dziewczyna, zaledwie szesnastoletnia. Chłopak ją rzucił, połknęła wszystkie tabletki nasenne matki.

Rizzardi późno się ożenił i miał dwie dorastające córki.

– Biedna dziewczyna – powiedział Brunetti.

– Tak. – Rizzardi milczał chwilę. – Nie sądzę, bym miał tu jakieś wątpliwości – rzekł w końcu. – To mógł być cienki przewód, prawdopodobnie w izolacji.

– Na przykład kabel elektryczny?

– Bardzo możliwe. Będę wiedział, jak się bliżej przyjrzę. To mógł też być taki podwójny przewód, jakiego się używa do łączenia głośników stereofonicznych. Jest drugi ślad, biegnący równolegle do pierwszego. Lecz równie dobrze mogło być tak, że morderca rozluźnił na chwilę uchwyt, by mocniej ścisnąć. Będę więcej wiedział po oględzinach pod mikroskopem.

– Mężczyzna czy kobieta? – spytał Brunetti.

– Powiedziałbym, że albo on, albo ona. Każdy mógł to zrobić. Jeżeli podejdziesz do kogoś od tyłu ze sznurem, to ofiara nie ma szans. Nie trzeba nawet dużej siły. Ale zazwyczaj duszą mężczyźni. Kobiety nie mają pewności, czy starczy im sił.

– Dzięki Bogu przynajmniej za to – powiedział Brunetti.

– I może coś być pod paznokciami lewej ręki.

– Coś?

– Jeżeli będziemy mieli szczęście, to naskórek. Albo materiał z ubrania mordercy. Dowiem się po dokładniejszym zbadaniu.

– Czy to wystarczy do zidentyfikowania mordercy?

– Jeżeli znajdziesz to coś, to tak.

Brunetti zastanawiał się chwilę.

– Godzina? – spytał.

– Będę wiedział dopiero po sekcji. Ale żona widziała go o dziewiętnastej trzydzieści, kiedy wychodziła, a znalazła tuż po dwudziestej drugiej po powrocie do domu. Niewiele pozostaje miejsca na wątpliwości i nie znajdę niczego, co określiłoby czas jeszcze dokładniej. – Rizzardi przerwał, przykrył słuchawkę dłonią i przez chwilę z kimś rozmawiał. – Muszę iść. Mają już ją na stole. Prześlę ci wyniki jutro. – Rozłączył się, zanim Brunetti zdążył mu podziękować.

Komisarz chciał jak najszybciej porozmawiać z żoną Mitriego, lecz zmusił się,

by zaczekać, aż signorina Elettra przyniesie informacje o Mitrim i Zambinie.

Zjawiała się po pięciu minutach. Weszła, zapukawszy, i położyła mu na biurku dwie teczki.

– Ile z tego jest powszechnie znane? – spytał Brunetti.

– Większość to informacje z gazet – odpowiedziała. – Ale część z nich to wyciągi bankowe i kopie dokumentów rejestracyjnych różnych firm.

– Jak pani to zdobyła? – Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadać tego pytania.

Słyszając w jego głosie jedynie ciekawość, nie podziw, nie uśmiechnęła się do niego.

– Mam znajomych, którzy pracują w urzędzie miejskim i w bankach. Mogę ich od czasu do czasu poprosić o zdobycie informacji.

– A jak im się pani rewanzuje? – wypowiedział na głos pytanie, które od lat go prześladowało.

– Większość tych informacji prędzej czy później będzie powszechnie dostępna, panie komisarzu.

– To nie jest odpowiedź, *signorina*.

– Nigdy nie przekazałam informacji policyjnych nikomu, kto nie miałby do nich prawa.

– Ustawowego czy moralnego?

Przez dłuższy czas nie spuszczała z niego wzroku.

– Ustawowego – odpowiedziała.

Brunetti nie wątpił, że jedyną ceną za informacje są inne informacje, dlatego drążył dalej.

– Więc jak pani to wszystko zdobyła?

Zawahała się.

– Doradzam znajomym, jak skutecznie pozyskiwać informacje.

– A w normalnym języku?

– Uczę ich, jak myszkować i gdzie zaglądać. Lecz nigdy, ale to nigdy nie przekazałam poufnych informacji ani moim przyjaciołom, ani tym, którzy nie są moimi przyjaciółmi, lecz z którymi wymieniam informacje. Chciałabym, żeby pan w to uwierzył, *commissario*.

Kiwnął głową na znak, że wierzy, chociaż miał wielką ochotę zapytać, czy nigdy nikomu nie zdradziła, jak zdobyć informacje policyjne. Zamiast tego postukał palcem w teczki.

– Czy będzie ich więcej?

– Może dłuższa lista klientów Zambina, nie sądzę jednak, by było coś więcej na temat Mitriego.

Oczywiście, że jest – pomyślał Brunetti. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego ktoś zarzucił mu kabel na szyję i ścisnął dotąd, aż Mitri przestał oddychać.

– W takim razie przejrzę to, co mamy – powiedział.

– Myślę, że wszystko jest jasne. Proszę jednak pytać, gdyby były jakieś problemy.

– Czy ktoś wie, że pani mi to dała?

– Ależ skąd! – odparła i wyszła z pokoju.

Zdecydował się przejrzeć najpierw cieńszą teczkę, dotyczącą adwokata. Zambino urodził się w Modenie, studiował w Ca Foscari, a zaczął praktykować w Wenecji jakieś dwadzieścia lat temu. Specjalizował się w prawie korporacyjnym i wyrobił sobie dobrą markę w mieście. Signorina Elettra dołączyła listę jego ważniejszych klientów. Nie dobierał ich według jakiegoś konkretnego wzoru, a już na pewno nie pracował wyłącznie dla pieniędzy. Na liście było tyle samo kelnerów i sprzedawców, co lekarzy i bankierów. Chociaż miał na koncie kilka spraw karnych, jego głównym źródłem dochodu – zgodnie z tym, co mówił Vianello –

była praca dla firm. Żonaty od dwudziestu pięciu lat z nauczycielką, czworo dzieci. Żadne z nich nie weszło nigdy w konflikt z prawem. Nie był też bogatym człowiekiem. Jeżeli miał jakiś majątek, to na pewno nie we Włoszech.

Nieszczęsne biuro podróży na Campo Manin było własnością Mitriego od sześciu lat, chociaż on sam nie miał nic wspólnego z bieżącą działalnością firmy. Wszystkimi sprawami zajmował się człowiek, który wydzierżawił od niego prawo do prowadzenia biura, i zapewne to on organizował wycieczki, które sprowokowały reakcję Paoli, a co za tym idzie – doprowadziły do śmierci Mitriego. Brunetti zanotował sobie nazwisko kierownika i czytał dalej.

Żona Mitriego również była wenecką, młodszą od niego o dwa lata. Chociaż mieli tylko jedno dziecko, to nigdy nie pracowała zawodowo ani nie udzielała się w instytucjach charytatywnych. Mitri miał jeszcze brata, siostrę i kuzyna. Brat, także chemik z wykształcenia, mieszkał niedaleko Padwy, siostra w Weronie, a kuzyn w Argentynie.

Następne dokumenty zawierały numery trzech kont w różnych bankach w Wenecji oraz listę obligacji państwowych i akcji na sumę ponad miliarda lirów. I to było wszystko. Mitriego nigdy o nic nie oskarżono, nigdy też nie interesowała się nim policja.

Za to stał się obiektem zainteresowania osoby, która – Brunetti bardzo starał się odrzucić tę ewentualność, jednak bez powodzenia – myślała tak jak Paola i tak jak ona postanowiła zastosować środki przemocy, by wyrazić sprzeciw wobec wycieczek organizowanych przez biuro. W historii niejednokrotnie usuwano ludzi, którzy komuś zawadzali. Syn cesarza Wilhelma, Fryderyk, przeżył ojca zaledwie o kilka miesięcy, pozostawiając sukcesję swojemu synowi, Wilhelmowi II, co otworzyło drogę do pierwszej wojny światowej. Śmierć Germanika również wystawiła sukcesję na niebezpieczeństwo i w efekcie doprowadziła do rządów Nerona. Na te przypadki miały jednak wpływ los lub historia, podczas gdy Mitri

stał się ofiarą rozmyślnej selekcji, której narzędziem był morderca z kablem,

Brunetti zadzwonił do Vianella. Sierżant podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Czy laboratorium uporało się już z tym listem? – zapytał bez wstępów komisarz.

– Pewnie tak. Mam do nich zejść i spytać?

– Tak. I przynieś wyniki na górę, jeśli łaska.

Czekając na Vianella, Brunetti jeszcze raz przejrzał krótką listę klientów Zambina oskarżonych w sprawach karnych. Jedna z nich dotyczyła zabójstwa. Sprawcę uznano za winnego, lecz skazano jedynie na siedem lat, bo Zambino sprowadził kilka kobiet, które mieszkały w tym samym domu i zeznały, że ofiara od lat znieważała je w windzie i na klatce schodowej. Zambino przekonał sąd, że w czasie kłótni w barze jego klient bronił honoru żony. Dwie podejrzane o kradzież osoby zwolniono z braku dowodów: Zambino utrzymywał, że aresztowano je tylko dlatego, że były Albańczykami.

Lekturę przerwało mu pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Vianello. W ręku trzymał dużą plastikową kopertę.

– Właśnie skończyli – oznajmił. – Ani śladu. *Lavata con Perlana* – dodał, nawiązując do najpopularniejszego sloganu ostatniego dziesięciolecia. To, co wyprane w Perlanie, jest idealnie czyste.

Z wyjątkiem kartki pozostawionej na miejscu morderstwa, znalezionej i zbadanej przez policję – pomyślał Brunetti.

Vianello położył kopertę na biurku przed komisarzem, oparł ręce na blacie i razem przyjrzeni się kartce.

Słowa, jak przypuszczał Brunetti, wycięto z „La Nuova”, najbardziej sensacyjnego i najohydniejszego brukowca w mieście. Technicy to potwierdzili. Naklejono je na kartkę liniowanego papieru. „Brudni pederaci i pedofile. Wszyscy

tak skończycie”.

Brunetti ujął kopertę za róg i przewrócił na drugą stronę. Były na niej te same linie i plamy kleju, które zabarwiły papier na szaro. Jeszcze raz przeczytał kartkę.

– Coś mi tu nie pasuje – stwierdził.

– Oględnie mówiąc – przyznał Vianello.

Co prawda Paola wyjaśniła policjantom, którzy ją aresztowali, dlaczego rozbiła szybę, lecz nigdy nie mówiła nic dziennikarzom, z wyjątkiem może kilku słów wypowiedzianych pod przymusem, wszelkie więc opisywane przez nich motywy jej postępowania musiały pochodzić od kogoś innego. Prawdopodobnie od porucznika Scarpy. Artykuły, które czytał Brunetti, dawały do zrozumienia, że zrobiła to z pobudek feministycznych. Wspominano również o wycieczkach organizowanych przez biuro, lecz jego szef w obszernym wywiadzie opublikowanym w „Gazzettino” kategorycznie zaprzeczył, jakoby była to seksturystyka. Stwierdził, że większość panów, którzy kupili bilety do Bangkoku, zabrała ze sobą żony. Zwrócił też uwagę na to, że seksturystyka jest we Włoszech zabroniona, dlatego żadne legalnie działające biuro podróży nie może brać udziału w organizowaniu podobnych wyjazdów.

Sympatia prasy była więc nie po stronie Paoli, historycznej „feministki”, lecz po stronie szanującego prawo kierownika i zamordowanego Mitriego. Dlatego ten, kto wpadł na pomysł z „pedofilem”, popełnił wielki błąd.

– Myślę, że czas porozmawiać z kilkoma osobami – stwierdził Brunetti, wstając z miejsca. – Zaczniemy od kierownika biura. Chciałbym usłyszeć, co ma do powiedzenia o tych żonach, które jeżdżą do Bangkoku. – Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. – Czy signorina Elettra jest jeszcze u siebie?

– Tak, *commissario* – odparł Vianello. – Gdy szedłem na górę, jeszcze była.

– To dobrze. Chciałbym zamienić z nią słówko, a potem skoczylibyśmy coś zjeść.

Vianello skinął głową i poszedł za swoim zwierzchnikiem do pokoiku signoriny Elettry. Stojąc w drzwiach, patrzył, jak Brunetti pochyła się i coś do niej mówi, na co sekretarka odpowiada śmiechem, kiwa głową i odwraca się do komputera. Brunetti dołączył do sierżanta i obaj poszli do baru przy Ponte dei Greci. Prowadząc luźną konwersację, zamówili wino i *tramezzini*. Brunetti najwyraźniej się nie spieszył, wzięli więc następne kanapki i po kieliszku wina.

Pół godziny później do baru weszła signorina Elettra, powitana uśmiechem przez barmana i propozycją wypicia kawy ze strony dwóch mężczyzn stojących przy barze. Mimo że do komendy było stąd niedaleko, miała na sobie ocieplany płaszcz z czarnego jedwabiu, sięgający kostek. Pokręciła uprzejmie głową, odmawiając kawy, podeszła do policjantów i wyjęła z kieszeni kilka arkuszy papieru.

– Dziecinnie proste – powiedziała z udaną irytacją. – To było zbyt łatwe.

– Oczywiście. – Brunetti się uśmiechnął i zapłacił za lunch.

Rozdział 13

Brunetti i Vianello zjawili się w biurze podróży tuż po jego ponownym otwarciu o piętnastej trzydzieści i poprosili o spotkanie z szefem. Komisarz spojrział na okno wychodzące na plac i zauważył, że szyba jest tak przejrzysta, jakby była niewidzialna. Siedząca przy biurku blondynka spytała ich o nazwiska, wcisnęła przycisk w telefonie i chwilę później drzwi z lewej strony biurka otworzyły się i stanął w nich signor Dorandi.

Był trochę niższy od Brunettiego i zaczynał siwieć, chociaż nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Kiedy zobaczył mundur Vianella, podszedł z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Ach, policja. Miło mi, że panowie przyszli.

Brunetti powiedział tylko dzień dobry, uznając, że mundur Vianella wystarczy za prezentację. Zapytał, czy nie mogliby porozmawiać w biurze kierownika. Dorandi odwrócił się, przytrzymał im drzwi i zaproponował kawę. Obaj odmówili.

Ściany gabinetu, obwieszane plakatami przedstawiającymi plaże, świątynie i pałace, dowodziły, że zła sytuacja ekonomiczna i niekończąca się gadanina o kryzysie finansowym nie powstrzymały Włochów przed podróżowaniem.

Dorandi usadowił się za biurkiem, odsunął na bok jakieś papiery i popatrzył na Brunettiego, który powiesił płaszcz na oparciu krzesła, po czym usiadł. Vianello zajął drugie krzesło.

Dorandi miał na sobie garnitur, lecz coś z nim było nie tak. Brunetti usiłował dojść co: może nieodpowiedni rozmiar, ale uznał, że nie w tym rzecz. Dwurzędową marynarkę uszyto z jakiegoś grubego niebieskiego materiału, wyglądającego na wełnę, lecz równie dobrze mogła to być tapeta, ze względu na idealną gładkość. Z twarzą Dorandiego też było coś nie tak, komisarz nie wiedział jednak co. Wtedy

zauważył wąsy. Dorandi zgolił ich górną połowę. Powstały w ten sposób wąski pasek tworzył prostą linię pod nosem i znikał w gęstej brodzie. Chociaż zrobiony z niezwykłą starannością, zakłócał proporcje i w rezultacie wyglądał jak przyklejony, sprawiając nienaturalne wrażenie.

– Czym mogę panom służyć? – zapytał z uśmiechem gospodarz, splatając przed sobą dłonie.

– Chciałbym, żeby powiedział pan kilka słów na temat pana Mitriego i biura, jeśli łaska – zwrócił się do niego Brunetti.

– A tak, z ochotą. – Dorandi wahał się przez chwilę, jakby się zastanawiał, od czego zacząć. – Znam go od lat, odkąd zacząłem tu pracować.

– Kiedy to było? – spytał Brunetti.

Vianello wyjął z kieszeni notes.

Dorandi popatrzył na plakat, jakby szukał odpowiedzi w Rio. Potem spojrzał na Brunettiego.

– W styczniu minie dokładnie sześć lat – odparł.

– A jakie stanowisko piastował pan na początku? – spytał Brunetti.

– To samo co teraz: kierownika.

– Ale nie jest pan właścicielem biura?

Dorandi uśmiechnął się.

– Niby jestem, choć firma nie jest moja. Prowadzę ten interes, lecz to dottor Mitri ma licencję.

– Co to dokładnie znaczy?

Dorandi ponownie zwrócił się o pomoc do wiszącego na ścianie plakatu, po czym skierował wzrok ku Brunettiemu.

– To znaczy, że ja decyduję, kogo przyjmując, a kogo zwolnić, jak się reklamować, jakie przedstawić oferty. Mam też znaczny udział w zyskach.

– To znaczy jaki?

– Siedemdziesiąt pięć procent.

– A resztę otrzymuje dottor Mitri?

– Tak. Jak również opłatę za dzierżawę.

– Ile wynosi?

– Dzierżawa? – spytał Dorandi.

– Tak.

– Trzy miliony lirów miesięcznie.

– A zyski?

– Po co chce pan to wiedzieć? – zdziwił się Dorandi.

– W tej chwili, *signore*, nie wiem jeszcze, co powinienem wiedzieć, a czego nie. Po prostu staram się zebrać tyle informacji na temat pana Mitriego i jego spraw, ile zdołam.

– W jakim celu?

– By lepiej zrozumieć, dlaczego go zamordowano,

– Myślałem, że wyjaśnił to list, który przy nim znaleźliście – odpowiedział bez chwili wahania Dorandi.

Brunetti uniósł dłoń, jakby przyznawał mu rację.

– Mimo wszystko uważam, że powinniśmy zebrać o nim jak najwięcej informacji.

– Ale znaleźliście list, prawda? – upewnił się Dorandi.

– Skąd pan o nim wie, signor Dorandi?

– Czytałem w gazetach, chyba w dwóch.

Brunetti skinął głową.

– Tak, znaleźliśmy list.

– Czy było w nim to, co podała prasa?

Brunetti czytał gazety, skinął więc głową.

– Ależ to absurd! – stwierdził Dorandi, podnosząc głos, jakby to Brunetti

napisał ten list. – Przecież nie ma tu żadnych pedofilów, my nie świadczymy usług pederastom. To wszystko jest niedorzeczne.

– Czy domyśla się pan, dlaczego ktoś to napisał?

– Pewnie z powodu tej wariatki – odparł Dorandi, nie kryjąc gniewu i niechęci.

– O jakiej wariatce pan mówi? – spytał Brunetti.

Dorandi przyglądał się przez chwilę komisarzowi, jakby szukał w jego pytaniu jakiegoś podstępu, w końcu jednak odpowiedział.

– O tej kobiecie, która rzuciła kamieniem. To wszystko przez nią. Gdyby nie wyskoczyła z tymi szalonymi oskarżeniami, zresztą bezpodstawnymi, nic by się nie stało.

– Czy rzeczywiście były bezpodstawne, signor Dorandi?

– Jak pan śmie o to pytać?! – rozgniewał się kierownik, podnosząc głos. – Oczywiście, że to kłamstwa. Nie mamy nic wspólnego z pedofilami ani z pederastami.

– Mówi pan o tym, co było w liście, signor Dorandi.

– A co to za różnica?

– Chodzi o dwa różne oskarżenia, *signore*. Staram się zrozumieć, dlaczego ktoś, kto to napisał, mógł przypuszczać, że biuro ma coś wspólnego z pederastią i pedofilią.

– Powiedziałem już dlaczego – odparł z irytacją Dorandi. – Przez tę kobietę. Poszła do wszystkich gazet, zniesławiała mnie, zniesławiała biuro, twierdząc, że zajmujemy się seksturystyką.

– Lecz nie powiedziała nic o pederastii i pedofilii – wtrącił Brunetti.

– A cóż to dla niej za różnica? Ważne, że kojarzy się z seksem.

– Więc wycieczki organizowane przez biuro mają coś wspólnego z seksem?

– Tego nie powiedziałem! – krzyknął Dorandi. Gdy zorientował się, że podniósł głos, zamknął na chwilę oczy, rozplótł i splótł palce i już normalnym głosem

powtórzył: – Tego nie powiedziałem.

– Musiałem źle zrozumieć. – Brunetti wzruszył ramionami. – Ale dlaczego ta wariatka, jak ją pan nazywa, mówi takie rzeczy? Dlaczego w ogóle ktoś miałby o tym mówić?

– To nieporozumienie. – Dorandi znów się uśmiechał. – Wie pan, jak to jest z ludźmi: widzą to, co chcą widzieć, przedstawiają rzeczy w złym świetle po to, by je zniszczyć.

– A dokładnie? – spytał uprzejmie Brunetti.

– Mam na myśli to, co zrobiła ta kobieta. Zobaczyła nasze plakaty reklamujące wycieczki do egzotycznych miejsc: do Tajlandii, na Kubę, do Sri Lanki, a potem przeczytała w jednym z pism kobiecych jakiś historyczny artykuł o dziecięcej prostytucji w tych krajach i o biurach podróży, które organizują tam wyjazdy w wiadomych celach. Połączyła te dwie rzeczy ze sobą, a potem przysłała w nocy i rozbiła mi szybę.

– Czy to nie wydaje się przesadną reakcją, w dodatku nieopartą żadnym dowodem? – spytał Brunetti pełnym słodczy głosem.

– Dlatego nazywa się takich ludzi szaleńcami – odpowiedział z sarkazmem w głosie Dorandi. – Bo popełniają szaleństwa. Oczywiście, że jest to przesadna reakcja. I zupełnie bezpodstawna.

Brunetti milczał przez jakiś czas.

– W wywiadzie dla „Gazzettino” powiedział pan, że do Bangkoku jeździ tyle samo kobiet co mężczyzn. To znaczy, że panowie, którzy kupują bilety do Bangkoku, zabierają ze sobą żony.

Dorandi utkwiał wzrok w splecionych dłoniach. Brunetti sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej wydruki, które przekazała mu signorina Elettra.

– Czy mógłby pan coś więcej na ten temat powiedzieć, signor Dorandi? – spytał, patrząc na kartki.

– Na temat czego?

– Liczby mężczyzn, którzy pojechali do Bangkoku z żonami. Powiedzmy, w zeszłym roku.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Brunetti nawet się nie uśmiechnął.

– Signor Dorandi, przypominam panu, że jest to śledztwo w sprawie o morderstwo, a to znaczy, że mamy prawo prosić lub żądać, jeżeli będziemy do tego zmuszeni, pewnych informacji od ludzi w to zamieszanych.

– Co to znaczy „zamieszanych”? – zachnął się Dorandi.

– To powinno być dla pana jasne – odpowiedział spokojnie Brunetti. – Pańskie biuro podróży sprzedaje bilety i organizuje wyjazdy do, jak pan to nazwał, „egzotycznych miejsc”. Krążą pogłoski, że ich celem jest seksturystyka, która, jak pan zapewne wie, została u nas zabroniona. Zamordowano właściciela biura podróży, a znaleziony przy nim list sugeruje, że motywem zbrodni mogą być te wycieczki. Sam pan stwierdził, że istnieje tu jakiś związek. Dlatego biuro podróży jest w tę sprawę zamieszane i pan jako jego szef również. Czy jasno się wyraziłem?

– Tak – odparł ponurym tonem Dorandi.

– W takim razie czy zechciałby pan powiedzieć, jak dokładne jest pańskie twierdzenie... lub jeżeli mogę mówić otwarcie: w jakim stopniu prawdziwe jest pańskie twierdzenie, że większość mężczyzn, którzy wyjechali do Bangkoku, zabrała ze sobą żony?

– Oczywiście, że jest prawdziwe – powtórzył z uporem Dorandi, przesuając się na lewą stronę krzesła i pozostawiając jedną rękę na biurku.

– Lecz niezgodne z danymi o sprzedanych biletach, signor Dorandi.

– Z czym?

– Z danymi, które, o czym pan musi wiedzieć, figurują w centralnej ewidencji komputerowej. – Brunetti spojrzał na rejestr. – Większość biletów, sprzedanych

przez pańskie biuro w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, kupili samotni mężczyźni.

– Żony przyjechały później – odparował Dorandi, zanim zdążył pomyśleć. – Były to podróże w interesach, a żony dołączyły później.

– Czy kupiły bilety w pańskim biurze?

– A skąd mam wiedzieć?

Brunetti położył wydruki na biurku – tak by Dorandi mógł się im przyjrzeć, gdyby zechciał – i zaczerpnął głęboko powietrza.

– Signor Dorandi, czy mamy zaczynać od początku? Powtórzę pytanie, lecz tym razem proszę pomyśleć, zanim pan odpowie. Czy mężczyźni, którzy kupili bilety do Bangkoku w pańskim biurze, podróżowali z kobietami czy nie?

Dorandi długo się zastanawiał.

– Nie – odpowiedział zwięźle.

– A czy te wyjazdy, z pobytami w hotelach o dogodnej lokalizacji i tolerancyjnej obsłudze – głos Brunettiego był neutralny, pozbawiony wszelkich emocji – miały na celu seks?

– Nie wtem, co oni robili po przyjeździe na miejsce – upierał się przy swoim Dorandi. -To nie moja sprawa. – Zgarbił się i spuścił głowę jak zółw broniący się przed atakiem.

– Czy wie pan, w jakiego rodzaju hotelach ci turyści się zatrzymywali?

Brunetti położył łokcie na biurku, oparł brodę na dłoni i popatrzył na listę.

– Z tolerancyjną obsługą – odpowiedział Dorandi.

– Czy to znaczy, że pozwalają pracować tam prostytutkom, a może nawet je sprowadzają?

– Niewykluczone – odparł Dorandi ze wzruszeniem ramion.

– Dziewczęta. Nie kobiety.

Dorandi popatrzył na komisarza.

– Nic nie wiem o tych hotelach. Znam tylko ceny. Co nasi klienci tam robią, to

już nie moja sprawa.

– Dziewczęta? – powtórzył Brunetti.

Dorandi machnął gniewnie ręką.

– Już mówiłem, to nie moja sprawa.

– Ale to teraz nasza sprawa, signor Dorandi, wolałbym więc, żeby pan odpowiedział.

Dorandi spojrział na ścianę, lecz nie znalazł tam rozwiązania.

– Tak – odparł.

– Czy dlatego pan je wybrał?

– Wybrałem je, bo proponowały najkorzystniejszą cenę. Jeżeli mężczyźni, którzy tam przyjeżdżają, sprowadzają prostytutki do pokoi, to ich sprawa. – Nie był w stanie ukryć gniewu. – Sprzedaję wycieczki. Nie głoszę kazań o moralności. Sprawdziłem z moim prawnikiem każde słowo w reklamach i nie ma w nich nic, co byłoby niezgodne z prawem. Nie łamię prawa.

– Jestem tego pewny. – Brunetti nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć. Nagle zapragnął wyjść stąd jak najszybciej. Wstał. – Obawiam się, że zajęliśmy panu zbyt dużo czasu, signor Dorandi. Teraz to wszystko, ale możliwe, że będziemy chcieli ponownie z panem porozmawiać.

Dorandi nie raczył nawet odpowiedzieć i nie podniósł się z krzesła, gdy Brunetti i Vianello wyszli z pokoju.

Rozdział 14

Idąc przez Campo Manin, wiedzieli, że zanim wrócą do komendy, pójdą jeszcze porozmawiać z wdową. Państwo Mitri mieszkali na Campo del Ghetto Nuovo, Vianello i Brunetti wrócili więc do mostu Rialto i wsiedli do tramwaju wodnego numer jeden.

Postanowili nie schodzić do kabiny pasażerskiej, gdzie panował wilgotny zaduch, tylko zostać na pokładzie w chłodnym powietrzu. Brunetti czekał, aż przepłyną pod mostem Rialto.

– No i? – spytał.

– Sprzedałby własną matkę za sto lirów – odparł z nieukrywaną pogardą Vianello. Milczał przez dłuższy czas, po czym zapytał: – Czy myśli pan, że to telewizja?

– Że co telewizja? – nie zrozumiał Brunetti.

– Sprawia, że jesteśmy obojętni na zło. – Spozrzegł, że Brunetti go słucha, mówił więc dalej: – Gdy widzimy je na ekranie, wydaje się prawdziwe, ale tak naprawdę nie jest. Oglądamy tylu ludzi zastrzelonych i pobitych i patrzymy na nas. – Tu przerwał i uśmiechnął się. – To znaczy na policję – wyjaśnił. – Patrzymy, jak odkrywamy te wszystkie straszne rzeczy. Ale gliny nie są prawdziwe i te rzeczy też. Jeżeli więc tyle się ich naoglądamy, to prawdziwe potworności też będą się wydawały nieprawdziwe.

Brunetti poczuł w głowie lekki zamęt, lecz miał wrażenie, że rozumie sens wypowiedzi Vianella, i przyznawał mu rację.

– Jak daleko są te dziewczęta, o których on nic nie wie? – zapytał. – Piętnaście tysięcy kilometrów stąd? Dwadzieścia? Przypuszczam, że najłatwiej jest mu uznać to, co się z nimi dzieje, za nierealne – a jeżeli już, to i tak nie ma to dla niego

znaczenia.

Vianello skinął głową.

– Myśli pan, że świat idzie ku gorszemu?

Brunetti wzruszył ramionami.

– Są dni, kiedy myślę, że jest coraz gorzej, i takie, kiedy wiem, że tak jest. Lecz potem wychodzi słońce i zmieniam zdanie.

Vianello kiwnął głową i mruknął: „Mhm”.

– A ty? – spytał Brunetti.

– Myślę, że idzie ku gorszemu – odparł bez wahania. – Jednak tak jak pan mam dni, kiedy wszystko się układa: dzieci skaczą koło mnie, gdy wracam do domu, albo Nadia jest szczęśliwa, co i mnie się udziela. Lecz ogólnie biorąc, świat idzie ku gorszemu.

– Ale nie mamy wyboru, co? – spytał Brunetti, chcąc poprawić dziwny nastrój sierżanta.

Vianello miał na tyle przyzwoitości, by się roześmiać.

– Nie, chyba nie. Musimy tu żyć, czy chcemy tego, czy nie. – Urwał i patrzył przez chwilę na pałac, w którym mieściło się kasyno. – Może my widzimy to inaczej, bo mamy dzieci.

– Dlaczego? – spytał Brunetti.

– Bo możemy przewidzieć, w jakim świecie będą żyć, i porównać go z tym, w którym my dorastaliśmy.

Brunetti, miłośnik historii, pamiętał, jak starożytni Rzymianie grzmieli, twierdząc, że czasy ich młodości lub młodości rodziców były pod każdym względem lepsze od tych, w których przyszło im obecnie żyć. Przypomniawszy sobie namiętne tyrady o obojętności młodych, ich lenistwie, ignorancji, braku szacunku dla starszych i bardzo go to rozbawiło. Jeżeli w każdym stuleciu ludzie myślą podobnie, to może wszyscy się mylą i wcale nie jest tak źle, jak się wydaje. Nie

wiedział, jak to wytłumaczyć sierżantowi, a nie chciał cytować Pliniusza, obawiając się, że Vianello go nie zna i pewnie poczułby się zakłopotany, gdyby musiał się do tego przyznać. Dlatego poklepał tylko sierżanta po ramieniu.

Tramwaj przybił do przystanku San Marcuola. Wysiedli i ruszyli gęsiego wąską uliczką, ustępując miejsca ludziom spieszącym na *embarcadero*.

– Nic na to nie poradzimy – podsumował Vianello, gdy znaleźli się na szerszej ulicy za kościołem i mogli już iść obok siebie.

– Wątpię, by można było coś na to poradzić – stwierdził Brunetti, zdając sobie sprawę, jak mglista jest ta odpowiedź i jak mało satysfakcjonująca, nawet dla jego własnych uszu.

– Czy mogę o coś zapytać, *commissario*? – odezwał się Vianello. – Chodzi o pańską żonę.

Z tonu jego głosu Brunetti się domyślił, czego pytanie będzie dotyczyć.

– Tak?

– Czy powiedziała panu, czemu to zrobiła? – Vianello patrzył przed siebie, chociaż nikt już nie utrudniał im marszu.

Brunetti dotrzymywał sierżantowi kroku.

– To jest w raporcie z zatrzymania – odparł, patrząc na Vianella.

– Ach – odparł sierżant. – Nie wiedziałem.

– Nie czytałeś go?

Vianello przystanął i spojrzał na Brunettiego.

– To dotyczyło pańskiej żony, dlatego uznałem, że nie powinienem go czytać.

Vianello był znany z lojalności wobec Brunettiego, więc Landi, człowiek Scarpy, pewnie nie zdradził mu żadnych szczegółów, a to on aresztował Paolę i spisał jej zeznanie.

Ruszyli dalej.

– Powiedziała, że organizowanie takich wycieczek jest złe i ktoś musi ich

powstrzymać – wyjaśnił Brunetti. Spodziewał się, że Vianello zada mu kolejne pytanie, kiedy jednak sierżant milczał, dodał: – Oświadczyła, że skoro prawo nic z tym nie może zrobić, to ona zrobi.

Umilkł, czekając na reakcję Vianella.

– Czy za pierwszym, razem to też była pańska żona?

– Tak – odpowiedział Brunetti bez wahania.

Szli chwilę w milczeniu, stawiając stopy w równej linii.

– Bardzo dobrze – odezwał się w końcu Vianello.

Brunetti popatrzył na sierżanta, lecz zobaczył tylko jego profil i długi nos.

– Numer sześćset siedem powinien być zaraz za rogiem – powiedział Vianello, zanim Brunetti zdążył o coś zapytać.

Po chwili stanęli przed domem Mitriego.

Brunetti wcisnął górny z trzech przycisków przy bramie, zaczekał, po czym powtórzył czynność.

W głośniku rozległ się grobowo brzmiący głos, lecz nie wiadomo, czy z powodu smutku, czy też zniekształcenia.

– Kto tam?

– Komisarz Brunetti. Chciałbym porozmawiać z signorą Mitri.

Długo nie było odpowiedzi, aż w końcu głos rzekł: „Chwileczkę”, i zaległa cisza.

Po minucie drzwi zostały odblokowane. Brunetti pchnął je i weszli na obszerne podwórze z dwiema wielkimi palmami rosnącymi po bokach okrągłej fontanny, oświetlonej promieniami słońca. Ruszyli korytarzem ku schodom na tyłach budynku. Tak jak w domu Brunettiego, i tu ze ścian odpadała farba, co było skutkiem działania soli przenikającej z kanału. Kawałki tynku wielkości stulirowych monet leżały na schodach, odsłaniając ceglany mur. Kiedy weszli na

pierwszy podest, zobaczyli linię znaczącą poziom wilgoci. Wyżej farba już nie odłaziła, a ściany były gładkie i białe.

Brunetti przypomniał sobie o kosztorysie osuszenia budynku, przedstawionym siedmiu właścicielom mieszkań w jego domu, i ogromnej sumie, na jaką opiewał.

Na szczycie schodów, za uchylonymi drzwiami, stała dziewczynka mniej więcej w wieku Chiary.

– Komisarz Brunetti, a to jest sierżant Vianello – powiedział Brunetti. – Chcielibyśmy porozmawiać z signorą Mitri.

Dziewczynka nie poruszyła się.

– Babcia nie czuje się dobrze – oznajmiła beznamiętnym tonem.

– Przykro mi to słyszeć – odparł Brunetti. – I przykro mi z powodu twojego dziadka. Właśnie dlatego tu jestem. Chcielibyśmy coś zrobić w tej sprawie.

– Babcia mówi, że nic już nie można zrobić.

– Może udałoby się nam znaleźć tego, kto popełnił zbrodnię.

Dziewczynka zastanawiała się przez chwile. Była wzrostu Chiary, miała sięgające ramion kasztanowe włosy z przedziałkiem pośrodku. Nie wyrosła na piękność – pomyślał Brunetti, choć zauważył regularne rysy, wielkie oczy i kształtne usta. Jej twarz, spokojna i obojętna, wyglądała jednak niczym pozbawiona uczuć maska. Jakby dziewczynka nie przejmowała się tym, co mówi, i w pewnym sensie w ogóle nie uczestniczyła w rozmowie.

– Możemy wejść? – spytał Brunetti, robiąc krok w przód, by w ten sposób ułatwić jej podjęcie decyzji.

Nie odpowiedziała, lecz cofnęła się i otworzyła szerzej drzwi. Mężczyźni weszli za nią do mieszkania.

Długi korytarz prowadził do czterech gotyckich okien. Zmysł orientacji podpowiedział Brunettiemu, że muszą wychodzić na Rio di San Girolamo, zwłaszcza że widoczne przez nie budynki były bardzo odległe. Tak szeroki mógł

być jedynie kanał.

Dziewczynka wprowadziła ich do pierwszego pokoju po prawej stronie – obszernego salonu z kominkiem między dwoma oknami, które miały ponad dwa metry wysokości. Wskazała ręką na stojącą przed kominkiem kanapę, lecz żaden z mężczyzn nie usiadł.

– Czy zechciałabyś powiedzieć babci, że przyszliśmy? – spytał Brunetti.

Skinęła głową.

– Nie sądzę, by chciała z kimkolwiek rozmawiać – oznajmiła.

– Proszę jej powiedzieć, że to bardzo ważne – nalegał Brunetti.

Pragnąc jakoś zasygnalizować, że zamierza zostać, zdjął płaszcz, przewiesił go przez oparcie fotela, po czym usiadł na brzegu kanapy. Dał znak sierżantowi, by zrobił to samo. Vianello położył płaszcz na okryciu Brunettiego, po czym usiadł na drugim końcu kanapy. Z kieszeni wyjął notes, wsuwając długopis za pierwszą stronę.

Dziewczynka wyszła, a komisarz z sierżantem skorzystali z okazji, by się rozejrzeć po salonie. Nad stołem wisiało wielkie pozłacane lustro, w którym odbijały się olbrzymie czerwone mieczyki, stojące na blacie. Wydawało się, że wypełniają cały pokój. Przed kominkiem leżał jedwabny dywan, zapewne nain, i każdy, kto usiadł na kanapie, musiał postawić na nim nogi. Pod przeciwległą ścianą stała dębowa skrzynia, a na niej mosiężna taca, zszarzała ze starości. Wnętrze tchnęło zamożnością i dobrobytem, jednak w dyskretnym stylu.

Zanim zdążyli coś powiedzieć, do salonu weszła kobieta po pięćdziesiątce, o tęgiej sylwetce, ubrana w szarą wełnianą sukienkę, zakrywającą kolana. Miała grube kostki i małe stopy, wciśnięte w bardzo wąskie buty. Fryzura i makijaż sprawiały wrażenie niezwykle starannych, wymagających wiele czasu i wysiłku. Oczy miała jaśniejsze od oczu wnuczki, a rysy twarzy grubsze. Trudno było doszukać się między nimi podobieństwa, z wyjątkiem może tego dziwnego spokoju

w zachowaniu.

Obaj panowie natychmiast wstali, a Brunetti zrobił krok w jej kierunku.

– Signora Mitri? – spytał.

Bez słowa skinęła głową.

– Komisarz Brunetti, a to jest sierżant Vianello. Chcielibyśmy porozmawiać chwilę o pani mężu i o tej strasznej rzeczy, która go spotkała.

W odpowiedzi zamknęła oczy, lecz nadal się nie odzywała. Jej twarz, podobnie jak twarz wnuczki, była zupełnie pozbawiona życia. Brunetti zaczął się zastanawiać, czy mieszkająca w Rzymie córka ma równie nieruchome oblicze.

– Co pan chce wiedzieć? – spytała signora Mitri.

Jej głos brzmiał piskliwie, jak u wielu kobiet po menopauzie. Brunetti wiedział, że jest wenecką, lecz zdecydowała się mówić po włosku, tak jak on. Odsunął się od kanapy i wskazał na miejsce, gdzie wcześniej siedział. Usiadła automatycznie. Dopiero wówczas panowie poszli w jej ślady: Vianello usadowił się na kanapie, a Brunetti w obitym pluszem fotelu, stojącym na wprost okna.

– Signora, chciałbym wiedzieć, czy mąż mówił kiedykolwiek o wrogach lub kimś, kto chciałby zrobić mu krzywdę.

Zaczęła kręcić głową, jeszcze zanim Brunetti skończył mówić, lecz nie odpowiedziała, pozwalając, by ten gest wystarczył za słowa.

– Nigdy nie wspominał o nieporozumieniach z ludźmi, z którymi łączyły go interesy? Może miał jakieś kłopoty z umową lub kontraktem.

– Nie – odpowiedziała.

– Może w takim razie na gruncie prywatnym. Czy miał jakieś kłopoty z sąsiadami lub z przyjacielem?

Ponownie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Signora, proszę wybaczyć, lecz prawie nic nie wiem o pani mężu. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie pracował?

Wyglądała na zdziwioną, jakby Brunetti sugerował, że jej mąż pracował osiem godzin w fabryce.

– Chodzi mi o to, w której ze swoich fabryk miał biuro lub gdzie spędzał większość czasu – wyjaśnił.

– Biuro ma w fabryce leków w Margherze.

Brunetti kiwnął głową, lecz nie zapytał o adres. Łatwo będzie to ustalić.

– Czy wie pani, jak bardzo był zaangażowany w kierowanie fabrykami i innymi firmami, których był właścicielem?

– Zaangażowany?

– Bezpośrednio nimi kierując, dzień po dniu.

– Będzie pan musiał spytać jego sekretarkę – odparła.

– W Margherze?

Kiwnęła głową.

Słuchając tych krótkich odpowiedzi, Brunetti szukał oznak zdenerwowania i żaloby, lecz nic nie mógł wyczytać z pozbawionej wyrazu twarzy. Wydało mu się jednak, że dostrzega ślady smutku, ale nie w tonie głosu ani w słowach, tylko w tym, że stale patrzyła na swoje splecione dłonie.

– Jak długo byliście państwo małżeństwem?

– Trzydzieści pięć lat – odparła bez wahania.

– Czy to pani wnuczka otworzyła nam drzwi?

– Tak. – Na nieruchomej twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Giovanna. Moja córka mieszka w Rzymie, ale Giovanna powiedziała, że chce przyjechać i zamieszkać ze mną. Na jakiś czas.

Brunetti kiwnął ze zrozumieniem głową, lecz wobec chłodnego zachowania kobiety troska wnuczki jeszcze bardziej go zdziwiła.

– To dla pani wielka pociecha, że może ją pani mieć przy sobie.

– Tak – przyznała i tym razem jej twarz rozjaśnił prawdziwy uśmiech. –

Samotność byłaby straszna.

Brunetti skłonił głowę i milczał przez parę sekund.

– Jeszcze tylko kilka pytań, signora – powiedział, podnosząc wzrok – i będzie pani mogła wrócić do wnuczki. Czy pani jest spadkobierczynią męża?

W jej oczach pojawiło się wyraźne zaskoczenie. Po raz pierwszy coś ją poruszyło.

– Tak, chyba tak – odparła bez wahania.

– Czy mąż ma jakąś rodzinę?

– Brata, siostrę i kuzyna, lecz on wyemigrował przed laty do Argentyny.

– Nikogo więcej?

– Nie, nikogo z bliższej rodziny.

– Czy signor Zambino jest przyjacielem pani męża?

– Kto?

– Avvocato Giuliano Zambino.

– Z tego, co wiem, to nie.

– Zdaje się, że był adwokatem pani męża.

– Obawiam się, że niewiele wiem o interesach męża – odpowiedziała.

Od ilu kobiet to już słyszał? Tylko nieliczne mówiły prawdę, nigdy więc nie dawał wiary takim oświadczeniom. Czasami czuł się nieswojo, mając świadomość, że Paola tyle wie o jego pracy, zna dane osobowe gwałcicieli, wyniki makabrycznych autopsji i nazwiska podejrzanych, którzy pojawiali się w gazetach jako „Giovanni S., lat 39, kierowca autobusu z Mestre” albo „Federico G., lat 59, murarz z San Dona di Piave”. W małżeńskim łóżu niewiele dawało się ukryć, dlatego Brunetti wątpił, by signora Mitri nic nie wiedziała o interesach męża. Mimo to nie zakwestionował jej słów.

Mieli już nazwiska osób, z którymi jadła kolację tej nocy, gdy dokonano morderstwa, nie było więc potrzeby teraz się tym zajmować.

– Czy dostrzegła pani jakieś zmiany w zachowaniu męża w ciągu ostatnich tygodni lub dni? – zapytał.

Pokręciła energicznie głową.

– Nie, był taki jak zawsze.

Brunetti miał ochotę zapytać: „To znaczy jaki?”, lecz powstrzymał się i wstał z fotela.

– Dziękuję, signora, za poświęcony nam czas i okazaną pomoc. Obawiam się, że będę musiał znowu z panią porozmawiać, kiedy zbierzemy więcej informacji.

Wcale jej to nie ucieszyło, lecz nie zaprotestowała.

– Mam nadzieję, że ta rozmowa nie była dla pani bolesna i znajdzie pani dość siły, by to znieść – dodał Brunetti.

Uśmiechnęła się, słysząc serdeczność w jego głosie, i jeszcze raz miał okazję zobaczyć, jaki miły ma uśmiech.

Wstali, włożyli płaszcze i skierowali się do drzwi. Signora Mitri odprowadziła ich do wyjścia. Tu ją zostawili i zeszli po schodach na wewnętrzne podwórze, gdzie nadal kwitły palmy.

Rozdział 15

Szli przez jakiś czas, milcząc, w kierunku nabrzeża. Do przystani przybił właśnie tramwaj wodny numer osiemdziesiąt dwa, weszli więc na pokład, wiedząc, że płynie Canale Grande do przystanku San Zaccaria, skąd już niedaleko do komendy.

Ochłodziło się, toteż zajęli miejsca w przedniej części kabiny. Przed nimi siedziały dwie starsze kobiety, które rozmawiały w weneckim dialekcie o nagłej zmianie pogody.

– Zambino? – spytał Vianello.

Brunetti skinął głową.

– Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego Mitri wziął ze sobą adwokata, kiedy przyszedł do Patty.

– I to takiego, który czasami bierze sprawy karne – dodał niepotrzebnie Vianello. – Chyba nie dlatego, że miał coś na sumieniu?

– Może chciał się poradzić, jakiego rodzaju pozew cywilny ma wnieść przeciw mojej żonie, gdyby po raz drugi udało mi się zapobiec oskarżeniu jej przez policję.

– Nie było na to szans, prawda? – spytał z żalem w głosie Vianello.

– Nie, skoro Landi i Scarpa w tym uczestniczyli.

Sierżant mruknął coś niezrozumiale pod nosem, lecz Brunetti nie poprosił go, by powtórzył.

– Nie wiem, co teraz będzie.

– Z czym?

– Ze sprawą. Mitri nie żyje, więc mało prawdopodobne, by jego spadkobierca wniósł oskarżenie przeciw Paoli. Ale ten kierownik może.

– A co... – Vianello urwał, jakby się zastanawiał, jak nazwać policję – ...z

naszymi kolegami? – zdecydował w końcu.

– To zależy od sędziego.

– Kto prowadzi tę sprawę? Wie pan?

– Chyba Pagano.

Vianello przebiegł w myślach lata przepracowane dla tego sędziego, starszego mężczyzny, który kończył już swoją karierę zawodową.

– On chyba nie wniesie oskarżenia, prawda?

– Też tak sędzę. Nigdy nie żył dobrze z *vice-questore*, więc mało prawdopodobne, by dał się przekonać lub uległ pochlebstwom.

– No, to co będzie? Grzywna? – Brunetti wzruszył ramionami, więc Vianello zmienił temat. – Co teraz? – spytał.

– Sprawdzę, czy nie wypłynęło coś nowego, a potem porozmawiam z Zambinem.

Sierżant spojrział na zegarek.

– Czy aby zdążymy?

Brunetti jak zwykle stracił poczucie czasu i ze zdziwieniem stwierdził, że jest już po szóstej.

– Nie, chyba nie. Właściwie to nie ma sensu wracać do komendy, prawda?

Vianello uśmiechnął się, zwłaszcza że tramwaj nadal stał przycumowany przy moście Rialto. Wstali i ruszyli do wyjścia. W tej samej chwili usłyszeli warkot silników i zobaczyli, że pomocnik zdejmuje cumę ze słupa i mocuje ją do łodzi.

– Chwileczkę! – zawołał Vianello.

Pomocnik nawet na niego nie spojrział, a silniki zaczęły pracować jeszcze głośniejsze.

– Chwileczkę! – krzyknął znowu, lecz bez rezultatu. Przepchnął się między ludźmi na pokładzie i położył dłoń na ramieniu pomocnika.

– To ja, Marco – powiedział normalnym głosem.

Mężczyzna podniósł wzrok, zobaczył mundur, rozpoznał twarz i dał znak kapitanowi, który patrzył na nich przez szklane okno kabiny.

Pomocnik ponownie machnął ręką i tramwaj gwałtownie się cofnął. Kilkoro pasażerów na pokładzie zachwiało się, usiłując utrzymać równowagę. Jakaś kobieta wpadła na Brunettiego, który objął ją ramieniem i podtrzymał. Nie miał ochoty odpowiadać później za brutalność policji, gdyby coś się stało, lecz złapał ją, jeszcze zanim o tym pomyślał, i kiedy ją puścił, z zadowoleniem stwierdził, że uśmiecha się do niego z wdzięcznością.

Tramwaj cofnął się wolno do nabrzeża. Pomocnik otworzył bramkę i Vianello z Brunettim weszli na drewniany podest. Sierżant machnął ręką w podzięcie i łódź odpłynęła.

– Dlaczego wysiadłeś? – spytał Brunetti.

To był jego przystanek, a Vianello miał płynąć dalej i wysiąść dopiero na przystanku Castello.

– Zaczekam na następny. Co z Zambinem?

– Jutro rano – odpowiedział Brunetti. – Najpierw jednak chciałbym, żeby signorina Elettra sprawdziła, czy może dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Vianello z aprobatą kiwnął głową.

– Ona jest prawdziwym skarbem. Gdybym dobrze znał porucznika Scarpę, powiedziałbym, że się jej boi.

– Ja znam go dobrze i on się jej boi – odparł Brunetti. – Bo ona się go nie boi, i to jako jedna z nielicznych w komendzie. – On i Vianello również do nich należeli, więc mógł to powiedzieć. – Ale to czyni Scarpę bardzo niebezpiecznym. Usiłowałem ją ostrzec, lecz ona go lekceważy.

– Nie powinna – stwierdził Vianello.

Do przystani przybił następny tramwaj. Kiedy wszyscy pasażerowie wysiedli, sierżant wszedł na pokład.

– *A domani, capo* – powiedział.

Brunetti machnął ręką i odszedł, zanim inni pasażerowie zdążyli wsiąść do łodzi. Zatrzymał się przy najbliższej budce telefonicznej i wykręcił numer gabinetu Rizzardiego w szpitalu. Patolog już wyszedł, lecz zostawił wiadomość asystentowi, na wypadek gdyby zadzwonił komisarz Brunetti. Wszystko było tak, jak przewidywał. Morderstwo popełniono kablem w izolacji, grubości około sześciu milimetrów. Nic więcej. Brunetti podziękował asystentowi i ruszył do domu.

Odchodzący dzień zabrał ze sobą całe ciepło. Brunetti żałował, że nie włożył rano szalika. Podniósł kołnierz płaszcza i wcisnął szyję w ramiona. Przeszedł szybko przez most i skręcił w lewo, decydując się iść nad wodą, zwabiony światłami przenikającymi z licznych restauracji usytuowanych wzdłuż wybrzeża. Skręcił w prawo i przejściem podziemnym wyszedł na Campo San Silvestro, potem w lewo i już prosto do domu. W kwaciarni przy Biancat zobaczył irysy, lecz przypomniał sobie, że pokłócił się z Paolą, i poszedł dalej. Po chwili jednak wrócił, wszedł do kwaciarni i kupił tuzin fioletowych kwiatów.

Paola wystawiła głowę z kuchni, by sprawdzić, kto przyszedł, mąż czy któreś z dzieci. Zobaczyła pakunek w jego rękach i z mokrą ścierką w dłoni wyszła na korytarz.

– Co jest w tym papierze, Guido? – spytała zaciekawiona.

– Odwiń i zobacz – powiedział, wręczając jej kwiaty.

Zarzuciła ścierkę na ramię i przyjęła prezent. Brunetti odwrócił się, zdjął płaszcz i powiesił go do szafy, słysząc szelest rozwijanego papieru. Nagle zapadła cisza, spojrzał więc w stronę Paoli, zaniepokojony, że zrobił coś złego.

– Co się stało? – spytał, widząc jej zaskoczony wzrok.

Przytuliła bukiet do piersi i coś powiedziała, lecz słowa zagłuszył szelest gnieczonego papieru.

– Słucham? – Pochylił się ku niej, ponieważ spuściła głowę, kryjąc twarz w kwiatach.

– Nie mogę znieść myśli, że swoim postępkami doprowadziłam do śmierci człowieka. – Głos jej się załamał. – Przepraszam, Guido. Przepraszam za to całe zamieszanie, które wywołałam. Narobiłam ci kłopotów, a ty przynosisz mi kwiaty.

Rozpląkała się z twarzą w płatkach irysów.

Wziął od niej kwiaty i rozejrzał się, gdzie je odłożyć. W końcu położył je na podłodze i objął żonę. Łkała z głową wtuloną w jego pierś, z gwałtownością, jakiej nie widział nawet u córki, gdy była malutka. Trzymał ją mocno, jakby się obawiał, że rozpadnie się od szlochu. Pocałował w czubek głowy, chłonąc jej zapach i patrząc, jak włosy rozdzielają się na dwa pasma u podstawy czaszki. Tulił ją do siebie, kołysząc lekko na boki i raz po raz wypowiadając jej imię. Nigdy nie kochał żony bardziej niż w tym momencie. Odczuł satysfakcję, lecz nagle zaczerwienił się ze wstydu.

Siłą woli stłumił w sobie głos rozsądku i dumy ze zwycięstwa, pozostawiając jedynie miejsce na rozpacz z powodu bólu, jakiego doświadczała Paola. Ponownie zanurzył usta w jej włosach i zorientował się, że płacz powoli słabnie. Odsunął żonę od siebie, lecz nadal trzymał ją w ramionach.

– Już ci lepiej? – spytał.

Kiwnęła głową, kryjąc przed nim twarz.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął chusteczkę. Nie była pierwszej czystości, lecz nie miało to znaczenia. Osuszył Paoli miejsca pod oczami i pod nosem, po czym włożył jej chustkę do ręki. Wytarła nią resztę twarzy, głośno wydmuchwała nos i przycisnęła ją do oczu, nadal nie podnosząc głowy.

– Paolo – powiedział w miarę normalnym głosem – to, co zrobiłaś, jest godne szacunku. Nie podoba mi się to, lecz postąpiłaś honorowo.

Przez chwilę myślał, że znowu się rozplacze, lecz odsunęła chusteczkę od

twarży i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczyma.

– Gdybym wiedziała... – zaczęła, lecz on przerwał jej, unosząc dłoń.

– Nie teraz, Paolo. Może później, gdy będziemy w stanie o tym mówić. Teraz chodźmy do kuchni i poszukajmy czegoś do picia.

– I do jedzenia – dodała bez wahania, uśmiechając się z ulgą.

Rozdział 16

Następnego dnia Brunetti zjawił się w komendzie o zwykłej porze, kupując po drodze trzy gazety. „Gazzettino” nadal poświęcała całe strony morderstwu Mitriego, oplakując poniesioną przez miasto stratę, tylko nie wyjaśniając jaką, lecz ogólnokrajowe dzienniki najwyraźniej straciły zainteresowanie, bo tylko jeden zamieścił krótki artykuł na ten temat.

Na biurku leżał protokół Rizzardiego. Podwójny znak na szyi Mitriego, co do tego patolog nie miał wątpliwości, był „oznaką wahania” ze strony mordercy, który prawdopodobnie rozluźnił kabel, by natychmiast zacisnąć mocniej. Przesunął go przy tym nieznacznie, co pozostawiło drugi ślad na szyi ofiary. Materiał pod paznokciami Mitriego rzeczywiście okazał się ludzką skórą, a kilka ciemnobrązowych nitek pochodziło prawdopodobnie z marynarki lub płaszcza napastnika. Ślady te świadczyły o desperackiej, lecz bezskutecznej obronie ofiary przed atakiem. „Znajdź mi podejrzanego, a dostarczę ci dowodów” – napisał Rizzardi na marginesie.

O dziewiątej Brunetti uznał, że może już zadzwonić do teścia, hrabiego Orazia Faliera. Wystukał numer do jego biura, podał swoje nazwisko i natychmiast uzyskał połączenie.

– *Buon di*, Guido – powiedział hrabia. – *Che pasticcio, eh?*

– Rzeczywiście, niezły pasztet. Właśnie w tej sprawie dzwonię. – Brunetti urwał, lecz nie doczekawszy się komentarza hrabiego, spytał: – Czy wiesz już coś, a może twój adwokat coś wie? Nie mam nawet pojęcia, czy twój adwokat jest w to zaangażowany – dodał po chwili.

– Nie, jeszcze nie – odparł hrabia. – Czekam na postanowienie sądu. Poza tym nie wiem, co Paola zamierza zrobić. Wiesz coś na ten temat?

– Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem – zaczął Brunetti i usłyszał, jak teść szepcze: „To dobrze”. – Powiedziała, że zapłaci grzywnę i pokryje koszty wymiany szyby.

– A co z innymi oskarżeniami?

– Nie pytałem jej o to. Uznałem, że wystarczy, jeśli zdołam ją przekonać, by zgodziła się przynajmniej zapłacić grzywnę i pokryć szkody. Tym sposobem, gdyby chodziło o coś więcej niż okno, mogłaby również zapłacić i za to.

– Bardzo dobrze. To może się udać.

Brunettiego zirytowało przypuszczenie hrabiego, że uczestniczą w jakimś spisku, mającym na celu przechytrzenie lub podejście Paoli. Bez względu na to, jak uczciwe były ich motywy i jak bardzo wierzyli w to, że pragną tylko jej dobra, nie zamierzał ciągnąć tego wątku.

– Dzwonię z innego powodu. Chciałbym, żebyś mi powiedział, co wiesz o Mitrim lub o adwokacie Zambinie.

– Giulianie?

– Tak.

– Zambino jest czysty jak łąza.

– Reprezentował Manola – odparował Brunetti, mając na myśli zabójcę mafijnego, którego Zambino wybronił przed trzema laty.

– Manola porwano we Francji i sprowadzono niezgodnie z prawem na proces.

Była również inna wersja: Manolo mieszkał we francuskim miasteczku tuż przy włoskiej granicy i każdego wieczoru jeździł do Monako grać w kasynie. Kobieta, którą poznał przy bakaracie, zaproponowała, żeby pojechali do niej do Włoch na drinka. Manola aresztowano, gdy przekroczył granicę. Zrobiła to ta właśnie kobieta, będąca funkcjonariuszką policji w randze pułkownika. Zambino przekonał sąd, że jego klient był ofiarą zasadzki zorganizowanej przez policję i porwania.

Brunetti dał jednak temu spokój.

– Czy on dla ciebie pracował? – spytał hrabiego.

– Raz czy dwa. Stąd go znam. Znają go również moi znajomi, którym prowadził sprawy. Jest dobry. Wywęszy wszystko, żeby obronić klienta. Ale jest uczciwy. – Hrabia milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy może powierzyć Brunettiemu tę informację. – W zeszłym roku krążyła plotka, że nie oszukuje w zeznaniach podatkowych. Słyszałem od kogoś, że zadeklarował dochód w wysokości pięciuset milionów lirów czy coś koło tego.

– Myślisz, że tyle właśnie zarobił?

– Tak – odpowiedział hrabia tonem, jakim zwykle mówi się o cudzie.

– A co o tym myślą inni prawnicy?

– Możesz się tego domyślić, Gnido. Mają kłopot, gdy ktoś deklaruje taki dochód, a oni podają, że zarobili dwieście milionów czy nawet mniej. To tylko wzbudza podejrzenia co do prawdziwości ich oświadczeń.

– To rzeczywiście musi być dla nich kłopotliwe.

– Tak. On... – zaczął hrabia, lecz urwał, bo dotarły do niego ton głosu i słowa zięcia. – Jeśli chodzi o Mitriego – powiedział bez wstępów – to myślę, że mógłbyś mu się bliżej przyjrzeć. Coś tam może być.

– Z czym, z biurami podróży?

– Właściwie to nic o nim nie wiem, z wyjątkiem tego, co usłyszałem od kilku osób po jego śmierci. No wiesz, takie tam rzeczy, które się mówi, gdy ktoś pada ofiarą zbrodni.

Brunetti wiedział. Słyszał tego rodzaju plotki o ludziach zastrzelonych w czasie napadu na bank i o ofiarach porwań. Zwykle zadawano sobie pytanie, dlaczego znaleźli się tam dokładnie w tym momencie, dlaczego to oni zginęli, a nie ktoś inny, i co ich łączyło z przestępcami. We Włoszech nic nie mogło być proste. Zawsze, bez względu na to, jak niewinne wydawały się okoliczności, znalazł się ktoś, kto stwierdził, że w tym musi być jakieś drugie dno, że każdy ma swoją cenę

i swój udział i nic nie jest takie, na jakie wygląda.

– Co słyszałeś? – spytał.

– Nic konkretnego. Wszyscy oczywiście wyrażali zaskoczenie z powodu tego, co się stało, lecz gdzieś w podtekście sugerowali, że myślą co innego.

– Kto taki?

– Guido – w głosie hrabiego zabrzmiał chłód – nawet gdybym wiedział, i tak bym nie powiedział. Lecz tak się składa, że nie pamiętam. To nie było nic szczególnego, jedynie sugestia, że to, co się stało, nie jest niespodzianką. Nie mogę wyrazić się już jaśniej.

– Znalaziono przy nim list – powiedział Brunetti. To wystarczało za usprawiedliwienie domysłów, że Mitri nie bez powodu zginął gwałtowną śmiercią.

– Tak, wiem. To może wszystko wyjaśniać – odrzekł hrabia. – Co o tym myślisz?

– Dlaczego pytasz?

– Bo nie chcę, by moja córka do końca swoich dni żyła w przekonaniu, że przyczyniła się do śmierci człowieka.

Brunetti też miał taką nadzieję.

– Co ona o tym mówi? – spytał hrabia.

– Wczoraj wieczorem powiedziała, że jej przykro, że zaczęła to wszystko.

– Myślisz, że ona to zaczęła?

– Nie wiem – odparł Brunetti. – Mnóstwo szaleńców kręci się dziś po świecie.

– Trzeba być szalonym, żeby zabić kogoś tylko dlatego, że jest właścicielem biura turystycznego i organizuje wycieczki.

– Seksturystykę – sprecyzował Brunetti.

– Seksturystykę, wycieczki do piramid – odparował hrabia. – Przecież nie morduje się ludzi z tego powodu.

Brunetti miał ochotę powiedzieć, że zwykle ludzie nie rzucają kamieniami

w okna, lecz ugryzł się w język.

– Ludzie robią różne dziwne rzeczy z najróżniejszych powodów – powiedział. – Nie sądzę więc, by można było wykluczyć i taką ewentualność.

– Ale ty w to nie wierzysz? – spytał hrabia.

Z tonu jego głosu Brunetti domyślił się, ile musiało go kosztować to pytanie.

– Mówiłem już, że nie chcę w to wierzyć – powtórzył Brunetti. – Nie mam pewności, czy to to samo, ale nie jestem jeszcze przygotowany, by w to uwierzyć, chyba że znaleźlibyśmy jakieś solidne dowody.

– Na przykład jakie?

– Podejrzanego.

Na razie jedyną podejrzaną w sprawie była jego własna żona, która w chwili morderstwa siedziała w domu przy stole. W grę wchodził więc ktoś, kto zabił z powodu organizowanych przez biuro wycieczek lub też z innego powodu. Trzeba znaleźć i powód, i osobę.

– Dasz mi znać, jeżeli dowiesz się czegoś konkretnego? – spytał Brunetti. – Nie musisz mówić, kto ci to powiedział – dodał, zanim teść zdążył postawić warunki.

– Dobrze – zgodził się hrabia. – A ty dasz mi znać, jak się czuje Paola?

– Powinieneś do niej zadzwonić. Zabierz ją na obiad, zrób coś, co ją uszczęśliwi.

– Dzięki, Guido, tak zrobię.

Brunetti sądził, że teść odłożył słuchawkę, bo zaległa długa cisza, lecz znowu posłyszał jego głos.

– Mam nadzieję, że znajdziesz tego, kto to zrobił. Pomogę ci w miarę swoich możliwości.

– Dziękuję – powiedział Brunetti.

Tym razem hrabia się rozłączył.

Brunetti otworzył szufladę i wyjął fotokopię listu, który znaleziono przy Mitrim. Skąd to oskarżenie o pedofilię? I kogo oskarżano, Mitriego osobiście czy Mitriego jako właściciela biura turystycznego, które ją tolerowało? Jeżeli morderca był szaleńcem i zabił z powodów podanych w liście, czy Mitri wpuściłby go do mieszkania? Brunetti miał świadomość, że jest to archaiczny przesąd, lecz uważał, a szaleńcy zwykle dają dowody tego, że są szaleni. Jak na przykład ci, których widywał wczesnym rankiem w okolicy Palazzo Boldu.

Tymczasem ten człowiek wszedł do mieszkania Mitriego. Poza tym udało mu się – lub jej, pomyślał, lecz tak naprawdę w to nie wierzył, co było jeszcze jednym przesądem – na tyle uspokoić ofiarę, że pozwoliła zająć się od tyłu i zarzucić sobie na szyję sznur czy kabel, czy cokolwiek to było. I wyszedł, tak jak przyszedł, całkiem niezauważony. Nikt w domu – a wszystkich przesłuchano – nie spostrzegł owego wieczoru niczego dziwnego. Większość lokatorów była w swoich mieszkaniach i zorientowała się, że coś się dzieje, dopiero wówczas, gdy signora Mitri wybiegła z krzykiem na korytarz.

Nie, to nie wyglądało na działanie szaleńca ani kogoś, kto napisałby coś równie bezsensownego. Zupełnym paradoksem wydała mu się także sytuacja, w której ktoś, kto występuje przeciw niesprawiedliwości – i tu jako przykład stanęła mu przed oczami Paola – popełnia zbrodnię, by te niesprawiedliwość naprawić.

Poszedł dalej tym torem, odrzucając wszelkiej maści szaleńców i fanatyków. W ten sposób dotarł do pytania, które stawiano podczas każdego śledztwa: *Cui bono?* To jeszcze bardziej oddalało możliwość, że śmierć Mitriego ma związek z działalnością biura podróży, ponieważ ta zbrodnia niczego nie zmieniała. Ludzie wkrótce przestaną się nią interesować, a signor Dorandi może nawet na tym zyskać, bo nazwa jego biura utrwali się w pamięci potencjalnych klientów. Skorzystał już z zamieszania wywołanego morderstwem właściciela, by zareklamować się w prasie, udając szok i oburzenie na samą myśl o seksturystyce.

W takim razie chodziło o coś innego. Brunetti ponownie przyjrzał się leżącej przed nim kopii tekstu, sporządzonego z powycinanych liter.

– Seks albo pieniądze – powiedział na głos i usłyszał, jak signorina Elettra gwałtownie wciąga powietrze w płuca.

Weszła do pokoju niepostrzeżenie i stała przed jego biurkiem, z teczką w ręku. Popatrzył na sekretarkę z uśmiechem.

– Z tego powodu zginął, signorina. Seks lub pieniądze.

W lot pojęła jego myśl.

– Niezwykle gustowne połączenie – stwierdziła i położyła przed nim teczkę. – To dotyczy właśnie pieniędzy.

– Czyich?

– Obu. – Przez jej twarz przemknęło niezadowolenie. – Nie znajduję w tych cyfrach żadnego sensu.

– Pod jakim względem? – spytał Brunetti, wiedząc, że jeżeli signorina Elettra tego nie rozumie, to on tym bardziej.

– Mitri był bardzo bogaty.

Brunetti kiwnął głową.

– Lecz fabryki i inne firmy, których jest właścicielem, nie przynoszą wielkiego dochodu.

To było dość powszechne zjawisko. Jeżeli wziąć pod uwagę wysokość płaconych podatków, to nikomu we Włoszech nie starczało na życie. Byli narodem biedaków, którzy oszczędzali, wywracając kołnierzyki na lewą stronę, nosząc buty aż do zdarcia i żywiąc się odpadkami i pokrzywami. Mimo to restauracje pełne były dobrze ubranych ludzi, każdy miał nowy samochód, a lotniska wciąż odprawiały samoloty wypełnione szczęśliwymi turystami. Dobrze, co? – jak zwykł mawiać jego amerykański przyjaciel.

– I panią to dziwi? – spytał Brunetti.

– Nie. Wszyscy oszukujemy w podatkach. Ale przestudiowałam raporty z jego firm i wygląda, że są w porządku. Żadna nie przynosi mu więcej niż dwadzieścia milionów rocznie.

– A w sumie?

– Około dwustu milionów rocznie.

– Dochodu?

– Tyle zadeklarował. Po odliczeniu podatków zostaje mu niespełna połowa.

To było znacznie więcej, niż Brunetti zarabiał w ciągu roku, a nie uważał się za ubogiego.

– A skąd pani wątpliwości? – spytał.

– Bo sprawdziłam również wyciągi z jego kart kredytowych. – Wskazała głową na teczkę. – To nie są wydatki kogoś, kto tak mało zarabia.

– A ile on wydaje? – spytał Brunetti, nie bardzo wiedząc, jak ma rozumieć to „mało”, i dał znak, by usiadła.

Zebrała materiał długiej spódnicy i przysiadła na brzegu krzesła, nie dotykając plecami oparcia.

– Nie pamiętam dokładnej sumy, ale to było gdzieś ponad pięćdziesiąt milionów. Jeżeli więc doda pan do tego koszty prowadzenia domu i wydatki na życie, to nie sposób wytłumaczyć, skąd się wzięło prawie miliard lirów na koncie i w akcjach.

– Może wygrał na loterii – podsunął z uśmiechem Brunetti.

– Nikt nie wygrywa na loterii – odparła z powagą.

– Po co miałby trzymać tyle pieniędzy w banku? – spytał komisarz.

– Zapewne nie spodziewał się, że umrze. Ale obracał tymi pieniędzmi. Przez ostatni rok sporo ich zniknęło.

– Gdzie?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie tam, gdzie zwykle znikają pieniądze: w Szwajcarii, w Luksemburgu, na Wyspach Normandzkich.

– Ile?

– Około pół miliarda.

Brunetti popatrzył na teczkę, lecz jej nie otworzył.

– Czy może to pani sprawdzić? – spytał, podnosząc wzrok.

– Jeszcze nie zaczęłam szukać, panie komisarzu. To znaczy zaczęłam się dopiero rozglądać, lecz nie otworzyłam jeszcze szuflad i nie przejrzałam jego prywatnych dokumentów.

– Czy znalazłaby pani czas, by to zrobić?

Brunetti nie pamiętał, kiedy ostatni raz dał dziecku cukierka, lecz pamiętał mgliście uśmiech podobny do tego, jakim obdarzyła go signorina Elettra.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności – oznajmiła, zaskakując go jedynie retoryką, nie odpowiedzią.

Wstała z krzesła, zamierzając wyjść.

– A Zambino?

– Nic. Nigdy nie widziałam, by ktoś miał równie czyste i... – urwała, szukając właściwego określenia – ...równie uczciwe akta – dokończyła, nie kryjąc zdumienia. – Nigdy.

– Czy wie pani coś na jego temat?

– Osobiście?

Brunetti kiwnął głową.

– Czemu pan chce wiedzieć?

– Bez powodu – odparł, zaciekawiony jej niechęcią. – Wie pani coś?

– Jest pacjentem Barbary.

Brunetti znał signorinę Elettrę na tyle, by wiedzieć, że nigdy nie ujawniłaby czegoś, co uznałaby za sekret rodzinny. A jej siostra związana była przecież

tajemnicą lekarską. Dał więc spokój.

- A zawodowo?
- Moi przyjaciele korzystali z jego pomocy.
- Jako adwokata?
- Tak.
- W jakiej sprawie?
- Pamięta pan, jak napadnięto Lily?

Pamiętał uczucie bezsilnej wściekłości, do jakiej doprowadziła go ta sprawa. Trzy lata temu Lily Vitale, architektka, została napadnięta w drodze z opery do domu. Z początku wyglądało to na napad rabunkowy, lecz skończyło się na dotkliwym pobiciu twarzy i złamaniu nosa. Ludzie, którzy wybiegli z domu, słysząc jej krzyki, znaleźli leżącą obok torebkę, nietkniętą. Napastnika aresztowano jeszcze tej nocy. Okazało się, że to ten sam mężczyzna, który próbował zgwałcić co najmniej trzy inne kobiety w mieście. Nigdy jednak niczego nie ukradł, w dodatku nie był zdolny do gwałtu, dostał więc tylko trzy miesiące domowego aresztu, bo matka i dziewczyna zaświadczyły w sądzie o jego prawości, wierności i uczciwości.

– Lily wniosła przeciw niemu skargę z powództwa cywilnego o doznane szkody i właśnie Zambino reprezentował ją w sądzie.

Brunetti nic o tym nie wiedział.

- I?
- Przegrała.
- Dlaczego?

– Bo tamten nie próbował jej okraść. Złamał tylko nos, a sędzia uznał, że to nie jest równie poważne wykroczenie jak kradzież torebki. Nie wyznaczył nawet odszkodowania za doznane krzywdy. Orzekł, że areszt domowy jest wystarczającą karą.

– A Lily?

Signorina Elettra wzruszyła ramionami.

– Nie wychodzi już z domu sama, więc rzadziej gdzieś bywa.

Młody człowiek siedział obecnie w więzieniu za zaatakowanie nożem swojej dziewczyny, lecz Brunetti nie sądził, by miało to jakieś znaczenie dla Lily lub cokolwiek zmieniło.

– Jak Zambino zareagował na przegraną?

– Nie wiem. Lily nigdy o tym nie mówiła. – Wstała z krzesła. – Pójdę poszperać w komputerze – oznajmiła, przypominając, że zajmują się Mitrim, a nie kobietą, która straciła odwagę.

– Tak, dziękuje pani. Chyba złożę teraz wizytę mecenasowi.

– Jak pan sobie życzy, *commissario*. – Odwróciła się w stronę drzwi. – Ale jeżeli ktoś jest czysty, to właśnie on.

Brunetti postanowił jednak zająć się teraz adwokatem, zamiast myśleć o szaleńcach sprzed Palazzo Boldu.

Rozdział 17

Chcąc nadać wizycie u adwokata mniej oficjalny charakter, postanowił nie brać ze sobą Vianella, chociaż wątpił, by na tak doświadczonego prawniku jak Zambino widok munduru zrobił jakiegokolwiek wrażenie. Przypomnił sobie cytat często powtarzany przez Paolę, a opisujący Prawnika, jednego z pielgrzymów Chaucera: „Wydaje się bardziej zajęty, niż jest”. Dlatego uznał, że postąpi mądrzej, jeśli najpierw zadzwoni i zapowie swoją wizytę, zamiast czekać, aż zostanie przyjęty. Kobieta, która odebrała telefon, zapewne sekretarka, powiedziała, że mecenas będzie wolny za pół godziny i porozmawia z komisarzem.

Biuro mieściło się na Campo San Polo, niedaleko domu komisarza, zatelefonował więc do Paoli, że wróci wcześniej na obiad. Potem zszedł do pokoju mundurowych. Vianello siedział przy biurku i czytał. Kiedy usłyszał kroki, podniósł wzrok i złożył poranną gazetę.

– Jest coś dzisiaj? – spytał Brunetti. – Nie miałem czasu przejrzeć prasy.

– Nie. Coraz mniej o tym piszą, pewnie dlatego, że nie mają o czym. Dopóki kogoś nie aresztujemy.

Vianello już podnosił się z miejsca, lecz Brunetti go powstrzymał.

– Nie wstawaj. Sam pójde do Zambina. Signorina Elettra powiedziała, że zamierza przyjrzeć się finansom Mitriego – dodał. – Pomyślałem, że może chciałbyś zobaczyć, jak ona to robi.

Vianello wykazywał ostatnio wielkie zainteresowanie metodami pozyskiwania informacji za pomocą komputera. Żadne granice, państwowe czy językowe, nie krępowały dostępu do danych, cennych również dla policji. Brunetti nie zdołał zgłębić tajników tego systemu, dlatego cieszył go entuzjazm Vianella. Chciał, żeby ktoś jeszcze umiał robić to, co signorina Elettra, a przynajmniej rozumiał, jak ona

to robi, w razie gdyby kiedyś musieli się obejść bez jej pomocy. Na wszelki wypadek wypowiedział w myślach zaklęcie chroniące przed taką ewentualnością.

Vianello odłożył gazetę na biurko.

– Bardzo chętnie. Signorina Elettra sporo już mi pokazała, lecz zawsze znajdzie się jakiś inny sposób, jeżeli tradycyjne zawodzą. Dzieciaki są zabawne – dodał. – Kiedyś oszukiwały mnie, wykorzystując to, że nie rozumiałem, o czym mówią, a teraz przychodzą i pytają mnie, gdy mają kłopoty z dostępem.

Nieświadomie użył fachowego określenia, którym on i signorina Elettra posługiwali się przy pozyskiwaniu informacji.

Po tej rozmowie, wychodząc z komendy, komisarz czuł się dziwnie niepewnie. Na zewnątrz stał jeden kamerzysta, lecz akurat się odwrócił i zapalał papierosa, toteż Brunetti wymknął się niezauważony. Kiedy dotarł nad Canale Grande, ze względu na silny wiatr zrezygnował z przejażdżki promem i przeszedł przez most Rialto. Idąc, nie zwracał uwagi na otaczające go piękno, myśląc o tym, o co zapyta mecenasa Zambina. Raz tylko zapomniał o celu podróży, gdy na jednym ze straganów zobaczył borowiki. Miał nadzieję, że Paola też je zauważy i może poda z polentą na obiad.

Przeszedł szybko uliczką Rughetta, minął zaułek, przy którym mieszkał, i przejściem podziemnym dotarł na plac. Drzewa straciły już liście i szeroki plac wydawał się dziwnie nagi i odsłonięty.

Biuro adwokata mieściło się na pierwszym piętrze Palazzo Soranzo. Ku zaskoczeniu Brunettiego drzwi otworzył mu sam Zambino.

– Ach, komisarz Brunetti, bardzo mi miło – powiedział adwokat, wyciągając rękę na powitanie i energicznie nią potrząsając. – Nie mogę powiedzieć, że miło mi pana poznać, bo już się poznaliśmy, lecz miło mi, że przyszedł pan ze mną porozmawiać.

Podczas ich pierwszego spotkania Brunetti patrzył głównie na Mitriego i nie zwracał uwagi na adwokata. Zambino był niski i krępy, o sylwetce wskazującej na to, że lubi sobie dogodzić, lecz mało ćwiczy. Brunettiemu wydało się, że ma na sobie ten sam garnitur co poprzednio, ale nie był tego pewny. Rzednące włosy pokrywały zaskakująco krągłą głowę, taka również była twarz i policzki. Miał typowo kobiece oczy – o migdałowym kształcie, ciemnoniebieskiej barwie i gęstych rzęsach.

– Dziękuję – odpowiedział Brunetti, rozglądając się po biurze.

Było bardzo skromne i przypominało poczekalnię u lekarza, który dopiero co skończył studia i rozpoczął swą pierwszą praktykę. Krzesła były metalowe, z siedzeniami i oparciami z formiki imitującej drewno. Pośrodku pokoju stał niski stół z kilkoma starymi pismami.

Adwokat poprowadził gościa w stronę otwartych drzwi do pomieszczenia, które zapewne było jego gabinetem. Wzdłuż ścian stały tam półki z książkami prawniczymi, relacjami sądowymi i kodeksami cywilnym i karnym. Sięgały od podłogi aż do sufitu. Cztery czy pięć tomów leżało otwartych na biurku Zambina.

Kiedy Brunetti usiadł na jednym z trzech krzeseł przed biurkiem, Zambino zajął miejsce w fotelu i zamknął książki, wsuwając w nie karteczki i układając w mały stos.

– Nie będę tracił czasu i powiem, że pewnie przyszedł pan tu z powodu pana Mitriego – odezwał się Zambino, a Brunetti przytaknął. – Dobrze. Jeżeli powie mi pan, co chciałby wiedzieć, postaram się pomóc, o ile będę mógł.

– To niezwykle uprzejmie z pańskiej strony – zaczął Brunetti od zwyczajowej formułki.

– To nie jest żadna uprzejmość, *commissario*, to mój obowiązek jako obywatela i moje pragnienie przyczynienia się do schwytania mordercy dottora Mitriego.

– Nie nazywa go pan po imieniu, mecenasie?

– Kogo, Mitriego? – spytał Zambino.

Brunetti kiwnął głową.

– Nie – odpowiedział prawnik. – Dottor Mitri był moim klientem, nie przyjacielem.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie był pańskim przyjacielem?

Zambino miał zbyt duże doświadczenie, dlatego nie zdziwiło go to pytanie.

– Nie, nie ma żadnego – odpowiedział spokojnie. – Poznaliśmy się dopiero, gdy zadzwonił do mnie po radę w sprawie tego incydentu w biurze podróży.

– Czy sądzi pan, że moglibyście zostać przyjaciółmi? – spytał Brunetti.

– Nie potrafię na to odpowiedzieć, *commissario*. Rozmawiałem z nim przez telefon, był raz w moim biurze, a potem towarzyszyłem mu u *vice-questore*. Na tym nasze kontakty się skończyły, nie mogę więc powiedzieć, czy zostałem jego przyjacielem, czy nie.

– Rozumiem – odrzekł Brunetti. – Czy mógłby mi pan zdradzić, co zdecydował w sprawie tego, jak pan to nazwał, incydentu w biurze podróży?

– Chodzi panu o wniesienie skargi?

– Tak.

– Po rozmowie z panem, a potem z *vice-questore*, zasugerowałem, by zażądał odszkodowania za okno i straty poniesione przez biuro. Miał udział w zyskach, lecz za okno odpowiadał jako właściciel lokalu zajmowanego przez agencję.

– Czy trudno było go do tego przekonać, mecenasie?

– Nie, wcale nie – odpowiedział Zambino, jakby spodziewał się tego pytania. – Właściwie to podjął decyzję jeszcze przed rozmową ze mną i chciał tylko zasięgnąć rady prawnika.

– Czy wie pan, dlaczego wybrał właśnie pana? – spytał Brunetti.

Znacznie mniej ceniony adwokat zapewne okazałby zdziwienie, że w ogóle można o to pytać.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Zambino. – Nie było powodu, by przychodził do kogoś takiego jak ja.

– Czy to oznacza kogoś, kto zajmuje się głównie prawem handlowym, czy też kogoś, kto ma pozycję tak wysoką jak pańska?

Zambino uśmiechnął się i Brunetti natychmiast poczuł do niego sympatię.

– Bardzo zręcznie powiedziane, *commissario*. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko śpiewać pochwały na własną cześć. – Brunetti uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie mam pojęcia – ciągnął Zambino. – Może poradził się jakiegoś znajomego albo wybrał moje nazwisko na chybił trafił z książki telefonicznej. Chociaż nie sądzę, by dottor Mitri należał do tego typu ludzi – dodał, zanim Brunetti zdążył coś powiedzieć.

– Czy spędził pan z nim dość czasu, by wyrobić sobie opinię, jakim był człowiekiem, mecenasie?

Zambino zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

– Odniosłem wrażenie, że był bardzo bystrym biznesmenem, nastawionym na sukces.

– Nie zdziwiło pana, że tak łatwo zrezygnował z wniesienia skargi do sądu przeciw mojej żonie? – spytał komisarz. Zambino nie odpowiedział, mówił więc dalej: – Przecież wyrok byłby na jego korzyść. Przyznała się, że jest za to odpowiedzialna. – Brunetti celowo nie użył słowa „winna”, co nie uszło uwagi Zambina. – Powiedziała to funkcjonariuszowi, który ją aresztował. Dottor Mitri mógł więc się domagać każdej sumy za oszczerstwo, cierpienie, czy co tam by podał w pozwie, i prawdopodobnie wygrałby sprawę.

– A mimo to zdecydował inaczej – powiedział Zambino.

– Jak pan sądzi, dlaczego?

– Może nie chciał się mścić.

– Czy tak pan pomyślał?

Zambino zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, myślę, że jednak chciał się zemścić. Był bardzo zły z powodu tego, co się stało. I był zły nie tylko na pańską żonę, lecz również na kierownika biura, któremu przekazał ściśle instrukcje, by za wszelką cenę unikał tego rodzaju turystyki.

– To znaczy seksturystyki?

– Tak. Pokazał mi kopię listu i kontrakt, który przed trzema laty wysłał do signora Dorandiego, dając mu jasno do zrozumienia, że ma się nie mieszać w tego typu sprawy. W przeciwnym razie cofnie mu pozwolenie na dzierżawę i pozbawi kierownictwa. Nie wiem, jak to wyglądało od strony prawnej, bo nie czytałem tego kontraktu, ale myślę, że Mitri nie żartował.

– Sądzi pan, że zrobił to z pobudek moralnych?

Zambino długo nie odpowiadał, jakby zastanawiał się, czy zobowiązania wobec zmarłego klienta na to pozwalają.

– Nie. Chyba po prostu uznał, że zaszkodzi to jego interesom. W takim mieście jak Wenecja opinia publiczna może zniszczyć biuro podróży. Nie, nie sądzę, żeby brał pod uwagę moralny aspekt sprawy. W grę wchodził wyłącznie interes.

– A czy pan, mecenasie, bierze pod uwagę moralny aspekt sprawy?

– Tak – odpowiedział adwokat bez wahania.

– Czy wie pan, jak zamierzał postąpić z Dorandim? – spytał Brunetti, przechodząc do kolejnego wątku.

– Wiem, że napisał list, przypominając mu o kontrakcie i prosząc o wyjaśnienie w sprawie wycieczek, przeciw którym zaprotestowała pańska żona.

– Czy wysłał ten list?

– Przesłał go faksem, a kopię poleconym.

Brunetti pomyślał, że jeżeli poglądy Paoli można było uznać za motyw morderstwa, to utrata dzierżawy lukratywnego interesu była powodem równie

ważnym.

– Jednak nadal mnie dziwi, że Mitri zwrócił się właśnie do pana, mecenasie.

– Ludzie robią różne dziwne rzeczy, *commissario*. – Adwokat uśmiechnął się. – Zwłaszcza gdy mają do czynienia z prawem.

– Proszę wybaczyć, jeżeli jestem zbyt obcesowy, ale biznesmeni rzadko wydają pieniądze na kosztowne rzeczy – powiedział Brunetti i zanim Zambino zdążył zaprotestować, dodał: – W tej sprawie adwokat w ogóle był niepotrzebny. Wystarczyło telefonicznie lub listownie skontaktować się z *vice-questore* i przedstawić mu swoje warunki, których, nawiasem mówiąc, nikt nie zakwestionował. A jednak Mitri wynajął adwokata.

– I to za znaczną sumę – wtrącił Zambino.

– Właśnie. Rozumie pan to?

Prawnik odchylił się na oparcie fotela i założył ręce za głowę, odsłaniając wydatny brzuch.

– Myślę, że to jest to, co Amerykanie nazywają przesadą – odpowiedział i patrząc w sufit, kontynuował: – Może chciał mieć pewność, że jego żądania dotrą do adresata, że pańska żona zaakceptuje warunki i że sprawa zostanie zakończona.

– Zakończona?

– Tak. – Adwokat pochylił się w przód i oparł ręce na biurku. – Jestem przekonany, że za wszelką cenę pragnął uniknąć rozgłosu. W pewnym momencie zapytałem go, co zrobi, jeżeli pańska żona, której postępowanie było raczej niekonwencjonalne, odmówi zapłacenia za szkody, czy wtedy wniesie przeciw niej pozew z powództwa cywilnego? Powiedział, że nie, i twardo przy tym obstawał. Zapewniłem go, że nie przegrałby tej sprawy, ale on powtórzył, że nie zrobi tego i nawet nie będzie się nad tym zastanawiał.

– Gdyby więc moja żona nie zgodziła się zapłacić, nie wszcząłby przeciw niej żadnych kroków prawnych.

– Właśnie.

– I pan mi to mówi, wiedząc, że może jeszcze zmienić zdanie i odmówić zapłacenia za wyrządzone szkody?

Zambino po raz pierwszy okazał zdziwienie.

– Oczywiście.

– Wiedząc, że mogę przekazać jej postanowienie Mitriego i w ten sposób wpłynąć na decyzję?

Zambino ponownie się uśmiechnął.

– *Commissario*, zakładam, że zanim pan do mnie przyszedł, sporo czasu poświęcił pan na zebranie informacji o mnie i mojej pozycji w mieście. Zrobiłem to samo – dodał, zanim Brunetti zdążył przytaknąć lub zaprzeczyć. – I z tego, czego się dowiedziałem, wynika, że mogę czuć się zupełnie bezpieczny, bo nie powie pan o tym żonie ani nie będzie próbował wpłynąć na jej decyzję.

Zakłopotanie nie pozwoliło Brunettiemu przyznać, że to prawda. Skinął jedynie głową i powrócił do pytań.

– Czy nie ciekawiło pana, dlaczego tak bardzo zależy mu na uniknięciu rozgłosu?

Zambino pokręcił głową.

– Owszem, lecz nie miałem obowiązku go wypytywać. Na nic by mi się to nie przydało jako jego prawnikowi. Z tego właśnie powodu mnie wynajął.

– Ale zastanawiał się pan nad tym? – spytał Brunetti.

Adwokat ponownie się uśmiechnął.

– Oczywiście, że się zastanawiałem, *commissario*. To zupełnie nie pasowało do człowieka, jakim był: bogatego, ustosunkowanego, wpływowego. Tacy ludzie potrafią zazwyczaj wszystko zatuszować, nawet najgorsze zło. A to nie była przecież jego wina, prawda?

Brunetti pokiwał głową i czekał na dalszy ciąg.

– Oznacza to, że mógł być człowiekiem wrażliwym czy kierującym się zasadami etyki, według których działalność biura podróży należało uznać za niewłaściwą, lecz to już wykluczyłem. Wobec tego istniał jakiś inny powód, osobisty lub zawodowy, dla którego dottor Mitri chciał lub musiał unikać złej opinii czy ewentualnego śledztwa.

Brunetti doszedł do takich samych wniosków, toteż ucieszyło go, że potwierdził je ktoś, kto znał Mitriego.

– A czy zastanawiał się pan nad tym, co to był za powód? – zapytał.

Tym razem Zambino roześmiał się głośno. Wyraźnie bawiła go ta gra.

– Gdybyśmy żyli w innym wieku, powiedziałbym, że bał się utraty dobrego imienia, skoro jednak i ono stało się towarem, który można kupić na wolnym rynku, myślę, że obawiał się śledztwa, które mogło wydobyć na światło dzienne coś, czego nie chciał ujawniać.

To też przyszło Brunettiemu do głowy.

– Na przykład co?

Zambino długo się wahał, zanim odpowiedział.

– Stawia mnie pan, *commissario*, w kłopotliwej sytuacji. Chociaż ten człowiek nie żyje, nadal obowiązuje mnie tajemnica zawodowa, nie mogę więc ujawnić policji niczego, co wiem lub jedynie podejrzewam.

To wzbudziło ciekawość Brunettiego. Natychmiast zaczął się zastanawiać, co adwokat może wiedzieć i jak to z niego wydobyć. Zanim jednak zdążył zadać pytanie, Zambino go uprzedził.

– Jeżeli to zaoszczędzi panu czas, to powiem, lecz całkiem nieoficjalnie, że nie mam pojęcia, o co mu mogło chodzić. Nie rozwodził się na temat swoich interesów, toteż nie przychodzą mi do głowy żadne powody, chociaż powtarzam: gdybym je znał, i tak bym ich panu nie zdradził.

Brunetti uśmiechnął się, rozmyślając, ile z tego, co usłyszał, jest prawdą.

– Poświęcił mi pan dużo czasu, mecenasie, dlatego nie będę dłużej panu przeszkadzał. – Powiedziawszy to, wstał i ruszył do drzwi.

Zambino poszedł za nim.

– Mam nadzieje, że rozwiąże pan tę zagadkę, *commissario* – rzekł, wychodząc z gabinetu.

Podał mu na pożegnanie rękę, a Brunetti odpowiedział ciepłym uściskiem, zastanawiając się jednocześnie, czy Zambino jest uczciwym człowiekiem, czy bardzo zręcznym kłamcą.

– Ja również, mecenasie – odpowiedział, po czym ruszył w drogę powrotną do domu i do żony.

Rozdział 18

Przez cały dzień gdzieś w zakamarkach pamięci kołatała się mu myśl, że dziś wieczorem wychodzą na proszoną kolację. Od czasu owej pamiętnej nocy, gdy doszło do zdarzenia, którego Brunetti nie chciał nazywać aresztowaniem żony, nie przyjmowali z Paolą żadnych zaproszeń i nigdzie nie bywali. O kolacji z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu najlepszego przyjaciela i sojusznika Paoli na uniwersytecie wiedzieli od miesięcy i nie było sposobu, by się od tego wykręcić. Giovanni Morosini dwa razy uratował karierę zawodową Paoli: raz – niszcząc list do jego magnificencji rektora, w którym napisała, że jest niekompetentny i żądny władzy, a drugi raz – przekonując ją, by nie składała rezygnacji na ręce tegoż rektora.

Giovanni wykładał na uniwersytecie literaturę włoską, a jego żona historię sztuki w Akademii Sztuk Pięknych. Ponieważ większość swojego życia zawodowego spędzali wśród książek, Brunetti czasami czuł się w ich towarzystwie niepewnie, przekonany, że sztuka jest dla nich bardziej realna niż codzienne życie. Darzyli jednak Paolę szczerą przyjaźnią, dlatego zgodził się przyjąć zaproszenie, zwłaszcza że Clara dała im jasno do zrozumienia, że nie pójdą do restauracji, lecz zjedzą w domu. Brunetti nie chciał się pokazywać w miejscach publicznych, przynajmniej dopóki nie wyjaśni się sytuacja prawna Paoli.

Paola nie widziała powodu, dla którego miałyby przestać prowadzić zajęcia na uniwersytecie, wróciła więc do domu o piątej. Dzięki temu zdążyła przygotować dzieciom kolację, wziąć kąpiel i ubrać się, zanim przyszedł Brunetti.

– Już jesteś gotowa? – zapytał, wchodząc do mieszkania.

Miała na sobie krótką sukienkę, która wyglądała jak zrobiona z najcieńszego złota.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałem – dodał, odwieszając płaszcz.

– I? – spytała.

– I podoba mi się, zwłaszcza fartuch.

Spojrzała w dół, zaskoczona. Zanim jednak okazała niezadowolenie z tego, że dała się nabrać, Brunetti zniknął w sypialni. Paola wróciła do kuchni, gdzie dopiero teraz włożyła fartuch, on zaś przebrał się w ciemnoniebieski garnitur. Wsuwając kołnierzyk koszuli pod marynarkę, przeszedł do kuchni.

– O której mamy tam być?

– O ósmej.

Odsunął rękaw i spojrzał na zegarek.

– Wychodzimy za dziesięć minut?

Mruknęła coś w odpowiedzi, pochylona nad garnkiem. Żałował, że czasu starczy mu jedynie na wypicie kieliszka wina.

– Wiesz, kto jeszcze tam będzie? – spytał.

– Nie.

Otworzył lodówkę i wyjął butelkę pinot grigio. Napełnił kieliszek, pociągnął łyk.

Paola nakryła garnek przykrywką i wyłączyła gaz.

– Gotowe – oznajmiła. – Nie umrą z głodu. Martwisz się tym? – spytała.

– Tym, że nie wiemy, kto został zaproszony?

– Pamiętasz tamtych Amerykanów? – spytała w odpowiedzi.

Westchnął i wstawił kieliszek do zlewu. Popatrzył na Paolę i oboje wybuchnęli śmiechem. Chodziło o parę profesorów Harvardu, których państwo Morosini zaprosili na kolację dwa lata temu. Byli asyriologami i przez cały wieczór rozmawiali wyłącznie ze sobą, a potem upili się i trzeba ich było odwozić taksówką, za którą następnego dnia rano przyszedł do Morosinich rachunek.

– Pytałaś? – chciał wiedzieć Brunetti.

– Kto będzie?

– Tak.

– Nie mogłam – odparła Paola. – Ty też byś nie mógł, Guido – dodała, widząc jego minę. – Bo co niby miałabym zrobić, gdyby się okazało, że to ktoś okropny? Powiedzieć, że jestem chora?

Wzruszył ramionami, wspominając wieczory spędzone z katolickimi poglądami Morosinich i ich różnobarwnymi przyjaciółmi.

Paola włożyła płaszcz, zanim zdążył jej pomóc. Wyszli z bramy i ruszyli w kierunku San Polo. Minęli plac, przeszli przez most i skręcili w prawo w wąską *calle*. Na jej końcu, po prawej stronie, wcisnęli dzwonek do mieszkania Morosinich. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Weszli na *piano nobile*, gdzie czekał już na nich Giovanni. Za jego plecami słychać było gwar rozmów.

Gospodarz, potężnie zbudowany mężczyzna, nadal nosił brodę, którą zapuścił jeszcze jako student podczas gwałtownych demonstracji w sześćdziesiątym ósmym roku. Posiwiała z upływem lat, a on często żartował, że to samo stało się z jego ideałami i zasadami. Nieco wyższy i grubszy od Brunettiego, sprawiał wrażenie, jakby wypełniał sobą cały otwór drzwiowy. Przywitał Paolę dubeltowym pocałunkiem, a Brunettiego gorącym uściskiem dłoni.

– Witamy, witamy. Wchodźcie i napijcie się czegoś – powiedział, wziął od nich płaszcze i powiesił je w szafie przy drzwiach. – Clara jest w kuchni, ale ja chciałbym poznać was z paroma osobami.

Brunettiego jak zwykle zaskoczył kontrast między potężną sylwetką a cichym głosem gospodarza, zbliżonym niemal do szeptu, jakby jego właściciel bał się, że ktoś go podsłucha.

Morosini cofnął się, by ich przepuścić, i poprowadził korytarzem do obszernego salonu, z którego wchodziło się do innych pokoi. W rogu salonu stały cztery osoby. Dwie z nich wyglądały na parę, lecz pozostała dwójka w ogóle do siebie nie

pasowała.

Kiedy goście odwrócili się w ich stronę, Brunetti zauważył, że oczy jednej z kobiet rozbliły na widok Paoli, lecz nie był to przyjazny błysk.

Morosini dokonał prezentacji.

– Paola i Guido Brunetti – oznajmił. – Chciałbym wam przedstawić Klause Rotgeigera, naszego przyjaciela, który mieszka po drugiej stronie placu, i jego żonę Bettinę.

Pierwsza z par odstawiała kieliszki na stół i wyciągnęła ręce na powitanie. Uściski były serdeczne i mocne jak uściski Morosiniego. Nastąpiła zwyczajowa wymiana komplementów, wypowiedzianych z lekkim obcym akcentem. Brunettiego zaskoczyła smukłość sylwetek Niemców i jasna barwa oczu.

– A to – ciągnął Morosini – dottoressa Filomena Santa Lucia i jej mąż, Luigi Bernardi.

Druga para odstawiała kieliszki i podała ręce. Padły te same słowa. Tym razem spostrzegawcze oko Brunettiego zarejestrowało coś na kształt oporu przed dłuższym kontaktem z dłońmi nieznanymi. Zauważył również, że kobieta i mężczyzna patrzą głównie na Paolę, chociaż słowa kierują do nich obojga. Kobieta miała ciemne oczy i zachowywała się tak, jakby była przekonana, że jest znacznie ładniejsza, niż na to wygląda. Mężczyzna mówił z tylnojęzykowym „r”, charakterystycznym dla mieszkańców okolic Mediolanu.

– *A tavola, a tavola, ragazzi* – rozległ się za ich plecami głos Clary i Giovanni poprowadził ich do następnego pokoju, gdzie wzdłuż wysokich okien z widokiem na drugą stronę placu stał długi owalny stół.

Z kuchni wyszła pani domu, niosąc niczym dar wotywny aromatyczną wazę. Brunetti poczuł brokuły z anchois i uświadomił sobie, jaki jest głodny.

Początkowo rozmawiali na tematy ogólne, jak zwykle, gdy zebrani przy stole goście nie znają swoich poglądów i starają się ustalić, co kogo interesuje.

Brunettiego zaskoczyło – co często mu się zdarzało w ciągu ostatnich lat – że nikt nie rozmawia o polityce. Zastanawiał się, czy wynika to z braku zainteresowania tematem, czy też po prostu stał się on zbyt zapalny, by omawiać go z obcymi. Bez względu na przyczynę polityka wraz z religią znalazły się w czymś w rodzaju obozu odosobnienia, do którego nikt nie ma odwagi wejść.

Dottor Rotgeiger opowiadał w języku włoskim, który Brunetti uznał za całkiem poprawny, o kłopotach w Ufficio Stranieri z pozwoleniem na przedłużenie pobytu w Wenecji na następny rok. Za każdym razem, gdy tam przychodził, obskakiwali go ludzie, nazywający siebie agentami, którzy zaczepiali stojących w kolejce interesantów, przekonując, że mogą przyspieszyć załatwienie sprawy.

Brunetti przyjął dokładkę pasty i nic nie powiedział.

Kiedy na stole pojawiła się ryba – olbrzymich rozmiarów *branzino*, chyba półmetrowej długości – rozmowa skoncentrowała się wokół dottoressy Santa Lucii, antropologa badającego kulturę różnych narodów. Powróciła właśnie z wyprawy naukowej do Indonezji, gdzie spędziła rok, badając tamtejsze struktury rodzinne. Brunetti zauważył, że chociaż mówiła do wszystkich siedzących przy stole, często zatrzymywała wzrok na Paoli.

– Muszą państwo wiedzieć – oznajmiła z miną osoby, która zgłębiła tajniki obcej kultury – że podstawowym celem rodziny jest jej utrzymanie. Należy zrobić wszystko, by się nie rozpadła, nawet kosztem najmniej ważnych członków.

– A kto decyduje, kto jest ważniejszy, a kto mniej ważny? – spytała Paola, wyjmując z ust ość i odkładając ją ostrożnie na brzeg talerza.

– To bardzo interesujące pytanie – stwierdziła dottoressa Santa Lucia tonem, jakim zapewne zwracała się do swoich studentów. – Sądzę, że jest to jeden z niewielu punktów, w których oceny społeczne tej złożonej i wyrafinowanej kultury pokrywają się z naszymi.

Urwała, czekając, by ktoś poprosił o sprecyzowanie tego stwierdzenia.

– To znaczy w jakim punkcie? – spytała Bettina Rotgeiger.

– Kto jest najmniej ważnym członkiem społeczeństwa?

Tu dottoressa umilkła i widząc, że wszyscy czekają na odpowiedź, pociągnęła łyk wina.

– Niech zgadnę – wtrąciła z uśmiechem Paola, opierając brodę na otwartej dłoni i zapominając o rybie. – Dziewczęta?

– Oczywiście – odparła dottoressa po krótkiej przerwie, niezrażona tym, że pozbawiono ją efektu zaskoczenia. – Uważa to pani za dziwne?

– Bynajmniej – odparła Paola, uśmiechając się, i wróciła do jedzenia ryby.

– Tak – ciągnęła pani antropolog. – W pewnym sensie są one zbędne, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że przychodzi ich na świat więcej, niż większość rodzin jest w stanie utrzymać, i to, że chłopców bardziej się ceni. – Rozejrzała się wokół, by sprawdzić, jak słuchacze to przyjęli, po czym dodała pospiesznie, najwyraźniej obawiając się, że uraziła ich uczucia. – Oczywiście według tamtejszych norm. W końcu ktoś musi też się opiekować starymi rodzicami.

Brunetti wziął butelkę chardonnay i pochylił się nad stołem. Napełnił kieliszek żony, potem swój, wymienili spojrzenia; Paola uśmiechnęła się lekko i skinęła nieznacznie głową.

– Uważam, że powinniśmy spojrzeć na tę sprawę z ich punktu widzenia, spróbować postawić się na ich miejscu, przynajmniej na tyle, na ile pozwalają nam własne kulturowe uprzedzenia – oświadczyła dottoressa Santa Lucia i przez kilka minut rozwodziła się nad koniecznością poszerzenia naszych horyzontów w celu zrozumienia różnic kulturowych i okazania im szacunku, na jaki zasługują. W ciągu stuleci bowiem rozwinęły się zasady odpowiadające specyficznemu zapotrzebowaniu tamtejszych społeczności.

Po jakimś czasie, potrzebnym Brunettiemu do opróżnienia kieliszka i zjedzenia gotowanych ziemniaków, zakończyła wykład, wzięła do ręki kieliszek

i uśmiechnęła się, jakby czekała, aż zachwyceni słuchacze podejną do katedry i wyrażą swój podziw.

Przedłużającą się ciszę przerwała Paola.

– Claro, pomogę ci zanieść talerze do kuchni – powiedziała.

Brunetti nie był jedyną osobą, która odetchnęła z ulgą.

– Dlaczego pozwoliłaś jej mówić? – spytał Brunetti w drodze powrotnej do domu.

Paola wzruszyła ramionami.

– Ale dlaczego, powiedz.

– To było zbyt proste – odparła lekceważąco. – Od samego początku wiedziałam, że chce mnie wciągnąć w dyskusję o tym, dlaczego to zrobiłam. Bo po co mówiłaby te wszystkie bzdury o zbędnych dziewczynkach?

Brunetti szedł obok Paoli, która trzymała go pod rękę.

– Może ona w to wierzy – powiedział. – Nie cierpię takich kobiet – dodał po chwili namysłu.

– Jakich?

– Które nie lubią kobiet. Domyślam się, jak wyglądają jej wykłady. Jest taka pewna tego, co mówi, jakby tylko ona znała prawdę. Wyobraź ją sobie w komisji egzaminacyjnej. Będziesz miała inne zdanie niż ona, a stracisz szansę na obronę pracy doktorskiej.

– Nie wiem, czy w ogóle ktoś chciałby robić doktorat z antropologii – stwierdziła Paola.

Zaśmiał się głośno, przyznając jej rację. Kiedy skręcili w uliczkę, zwolnił, po czym zatrzymał się i zwrócił twarzą do Paoli.

– Dziękuję ci – powiedział.

– Za co? – spytała z niewinną minką.

– Za to, że nie podniosłaś rękawicy.

– Skończyłoby się na tym, że by mnie zapytała, dlaczego dałam się aresztować, a nie sądzę, bym akurat z nią chciała o tym rozmawiać.

– Głupia krowa – mruknął Brunetti.

– To była seksistowska uwaga – stwierdziła Paola.

– Zgadzam się.

Rozdział 19

Po przyjęciu u Morosinich stracili ochotę na bywanie i nie przyjmowali żadnych zaproszeń. Irytowała ich konieczność pozostawiania co wieczór w domu, co spotykało się z ironicznymi komentarzami Raffiego, lecz Chiara z radością przyjmowała ich obecność, namawiając na karty, oglądanie programów o zwierzętach i inicjując grę w monopol, która mogła potrwać do przyszłego roku.

Każdego dnia Paola szła na uniwersytet, a Brunetti do komendy. Po raz pierwszy cieszyły ich stopy papierkowej roboty, jakie piętrzyło przed nimi państwo.

Ze względu na udział Paoli w sprawie Brunetti nie poszedł na pogrzeb Mitriego, z czego w innym przypadku by nie zrezygnował. Dwa dni później postanowił jeszcze raz przejrzeć raporty z laboratorium i miejsca zbrodni, a także czterostronicowy protokół Rizzardiego z sekcji zwłok. Zajęło mu to prawie cały ranek i zmusiło do zastanowienia się, dlaczego jego zawodowe i osobiste życie polegało na ciągłym powtarzaniu tych samych czynności. W czasie przymusowego urlopu skończył czytać Gibbona, teraz zabrał się do Herodota, a w kolejce czekała *Iliada*. Wszyscy opisywani tam bohaterowie żyli krótko i ginęli gwałtowną śmiercią.

Wziął protokół z autopsji i szedł na dół do signoriny Elettry. Jej wygląd uleczył go ze wszystkich ponurych myśli. Miała na sobie czerwony żakiet o tak intensywnym odcieniu, jakiego nigdy dotąd nie widział, i białą jedwabną bluzkę, rozpiętą pod szyją do drugiego guzika. Ku jego zaskoczeniu siedziała przy biurku, z podbródkiem opartym na dłoni, i patrzyła przez okno na widoczny w oddali kościół San Lorenzo.

– Dobrze się pani czuje, *signorina*? – spytał.

Wyprostowała się i uśmiechnęła.

– Oczywiście, *commissario*. Właśnie myślałam o pewnym obrazie.

– O obrazie?

– Mhm – odparła i znów podłożywszy rękę pod brodę, zapatrzyła się w okno.

Brunetti podążył za jej wzrokiem, mając nadzieję, że znajdzie ów obraz, lecz zobaczył tylko okno i kościół.

– Jakim obrazie? – spytał.

– Z Museo Correr. Tym, który przedstawia kurtyzany z małymi pieskami.

Znał ten obraz, chociaż nigdy nie potrafił zapamiętać, kto go namalował. Teraz już oboje sprawiali wrażenie nieobecnych i znudzonych, jakby nie obchodziło ich toczące się wokół życie.

– Co z tym obrazem?

– Zawsze się zastanawiałam, czy to są kurtyzany, czy po prostu kobiety znudzone bogactwem, które nie mają co robić przez cały dzień, toteż siedzą i patrzą w przestrzeń.

– Czemu pani o nim pomyślała?

– Och, nie wiem – odparła, wzruszając ramionami.

– Nudzi panią to wszystko? – spytał, wskazując na biuro i spodziewając się przeczącej odpowiedzi.

Odwróciła głowę w jego stronę.

– Żartuje pan, *commissario*?

– Wcale nie. Czemu pani pyta?

Popatrzyła na niego z uwagą.

– Wcale mnie to nie nudzi – odpowiedziała. – Wprost przeciwnie. – Komisarza ucieszyły jej słowa. – Chociaż nie mam pewności, jakie jest moje stanowisko – dodała po chwili.

Brunetti nie bardzo wiedział, co ma na myśli. Oficjalnie była sekretarką

zastępcy komendanta, miała również pomagać Brunettiemu i innym komisarzom, lecz nigdy nie napisała im ani jednego listu czy notatki służbowej.

– Przypuszczam, że ma pani na myśli swoją rzeczywistą funkcję, w przeciwieństwie do oficjalnej – powiedział.

– Oczywiście.

Uniósł rękę, w której trzymał protokół.

– Jest pani naszymi oczami, naszym nosem i żywym wcieleniem naszej ciekawości, *signorina*.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Jak miło byłoby to przeczytać w zakresie obowiązków.

– Myślę, że lepiej dać spokój temu zakresowi – powiedział Brunetti, wskazując teczką gabinet Patty.

Uśmiechnęła się jeszcze ciepłej.

– I nie zastanawiać się nad tym, jak określić pomoc, której nam pani udziela.

Wyciągnęła rękę po teczkę.

– Może dałoby się sprawdzić, czy odnotowano już wcześniej taką metodę zabijania, a jeżeli tak, to kto ją zastosował i na kim.

– Garotę?

– Tak.

Pokręciła gniewnie głową.

– Gdybym tak się nad sobą nie użalała, już wcześniej bym to sprawdziła. W całej Europie czy tylko we Włoszech? I o ile lat mam się cofnąć?

– Proszę zacząć od Włoch, a jeżeli niczego pani nie znajdzie, to proszę zająć się krajami południowymi. – Wyglądało to na śródziemnomorską metodę. – Najpierw pięć lat wstecz, a potem dziesięć, jeżeli niczego pani nie znajdzie.

Odwróciła się i obudziła komputer do życia. Brunetti uświadomił sobie zaskoczony, że uważa te maszyny za przedłużenie jej umysłu. Uśmiechnął się

i wyszedł z pokoju. Czy to było z jego strony zachowanie seksistowskie, czy też obraził ją, traktując jako część komputera? Zaczął się śmiać, myśląc o tym, co życie z fanatyczką może zrobić z człowieka, lecz wcale się tym nie zmartwił.

Przed gabinetem czekał na niego Vianello.

– O co chodzi, sierżancie?

Vianello wszedł za Brunettim do pokoju.

– O Iacovantuona, *commissario*. Ludzie z Treviso popytali tu i tam.

– O co? – spytał Brunetti i wskazał sierżantowi krzesło.

– O jego przyjaciół.

– I o żonę? – dorzucił komisarz. Zapewne z jej powodu Vianello do niego przyszedł.

Sierżant kiwnął głową.

– I?

– Wygląda na to, że ta kobieta, która telefonowała, mówiła jednak prawdę. Oni się kłócili. – Brunetti słuchał w milczeniu. – Kobieta, która mieszka w domu obok, powiedziała, że on ją bił i że raz trafiła nawet do szpitala.

– A trafiła?

– Tak. Upadła w łazience, w każdym razie tak mówiła. – Często słyszeli od kobiet takie wyjaśnienie.

– Czy sprawdzili czas? – spytał, wiedząc, że nie musi tłumaczyć, o co mu chodzi.

– Sąsiad znalazł ją na schodach za dwadzieścia dwunasta. Iacovantuono przyszedł do pracy tuż po jedenastej. Nie, nikt nie wie, jak długo leżała – dodał Vianello, zanim Brunetti zdążył zapytać.

– Kto prowadził przesłuchanie?

– Ten, z którym rozmawialiśmy, gdy byliśmy tam pierwszy raz. Negri. Kiedy

powiedziałem mu o telefonie, odparł, że już zaczął pytać sąsiadów. To dla nich rutyna. Powiedziałem, że sądzimy, że telefon był fałszywy.

– I?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Nikt nie widział, jak wychodził do pracy. Nikt nie wie, o której się tam zjawił.

Tyle rzeczy zdarzyło się od czasu, gdy ostatni raz widział piekarza, pamiętał jednak jego pociemniałe ze smutku oczy.

– Nic nie możemy zrobić – stwierdził w końcu.

– Wiem, ale myślałem, że chciałby pan o tym wiedzieć.

Brunetti podziękował skinieniem głowy i Vianello wrócił do pokoju mundurowych.

Pół godziny później do drzwi zapukała signorina Elettra. W rękę trzymała kilka kartek papieru.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytał.

Skinęła głową.

– W ciągu ostatnich sześciu lat były trzy podobne morderstwa. Dwa popełniła mafia, w każdym razie wszystko o tym świadczy. – Podeszła do biurka, położyła przed Brunettim dwie pierwsze kartki i wskazała na dwa nazwiska. – Jedno w Palermo, a drugie w Reggio Calabria.

Brunetti przyjrzał się nazwiskom i datom. Jednego człowieka znaleziono na plaży, drugiego w samochodzie. Obydwu uduszono czymś cienkim, prawdopodobnie kablem w izolacji. Wokół szyi ofiar nie było żadnych nitek.

Signorina Elettra położyła na biurku następną kartkę. Rok temu w Padwie zamordowano Davide Narduziego. Oskarżony, marokański sprzedawca uliczny, zniknął jednak, zanim go aresztowano. Raport stwierdzał, że Narduziego zaatakowano od tyłu i uduszono. Ten sam opis pasował do dwóch poprzednich morderstw i do przypadku Mitriego.

- A ten Marokańczyk?
- Przepadł bez śladu.
- Skąd ja znam to nazwisko? – spytał Brunetti.
- Narduzzi?
- Tak.

Signonna Elettra położyła przed nim ostatnią kartkę.

– Narkotyki, kradzieże z bronią w rękę, pobicia, powiązania z mafią i podejrzenie o szantaż – zacytowała listę oskarżeń, które wniesiono przeciw Narduzziemu w czasie jego krótkiego życia. – Można sobie wyobrazić, jakich miał przyjaciół. Nic dziwnego, że ten Marokańczyk zniknął.

Brunetti przeczytał szybko wszystkie informacje.

- Jeżeli w ogóle istniał.
- Co?
- Proszę spojrzeć.

Wskazał na jedno z nazwisk zamieszczonych na liście. Przed dwoma laty Narduzzi wdał się w bójkę z Ruggierem Palmierim, domniemanym członkiem jednego z najkrwawszych gangów w północnych Włoszech. Palmieri wylądował w szpitalu, lecz nie wniósł skargi. Brunetti na tyle znał tych ludzi, by wiedzieć, że takie sprawy załatwiają prywatnie.

– Palmieri? – spytała signorina Elettra. – Nie znam tego nazwiska.

– I bardzo dobrze. On nigdy tu nie pracował, jeżeli można tak powiedzieć. Na szczęście.

- Zna go pan?
- Zetknąłem się z nim raz, przed laty. To bardzo zły człowiek.
- Mógł to zrobić? – spytała, stukając palcem w kartki.
- Likwidowanie ludzi to jego praca – odparł Brunetti.
- To dlaczego ten Narduzzi z nim zadarł?

Brunetti pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. – Ponownie przeczytał trzy krótkie raporty, po czym wstał.
– Sprawdźmy, co może pani znaleźć o Palmierim – powiedział i zszedł razem z nią do sekretariatu.

Niestety, nie było tego dużo. Palmieri zniknął rok temu, gdy został rozpoznany jako jeden z trzech napastników biorących udział w napadzie na opancerzoną furgonetkę przewożącą pieniądze. Dwóch strażników zostało rannych, lecz bandytom nie udało się zabrać ponad ośmiu miliardów lirów znajdujących się wewnątrz.

Czytając między wierszami, Brunetti domyślił się, że policja niewiele włożyła energii i środków w poszukiwanie Palmieriego: nikt przecież nie zginął, niczego nie zabrano. Teraz jednak mieli do czynienia z morderstwem.

Brunetti podziękował signorinie Elettrze i zszedł na dół do pokoju mundurowych. Sierżant siedział nad stosem papierów, z czołem opartym na dłoniach. Był sam w pokoju, więc Brunetti obserwował go przez chwilę, a potem podszedł do biurka. Vianello podniósł wzrok.

– Chciałbym uzyskać kilka informacji – oznajmił komisarz.

– Od kogo?

– Od informatorów z Padwy.

– Dobrych czy złych?

– I takich, i takich. Ilu ich znamy?

Jeżeli Vianello czuł się mile połączony liczbą mnogą, to tego nie okazał.

– Po dwóch każdego rodzaju – odpowiedział po chwili namysłu. – O co będziemy ich pytać?

– Chciałbym się czegoś dowiedzieć na temat Ruggiera Palmieriego.

Vianello zarejestrował nazwisko w pamięci i zaczął szukać kogoś, kto mógłby coś o nim powiedzieć.

– Jakich informacji pan potrzebuje? – spytał.

– Gdzie był, gdy zginęli ci mężczyźni – odpowiedział Brunetti, kładąc na biurku kartki, które dała mu signorina Elettra. – I chciałbym wiedzieć, gdzie był tego wieczoru, gdy zamordowano Mitriego.

Vianello uniósł pytająco brodę.

– Słyszałem, że jest płatnym mordercą – wyjaśnił Brunetti. – Kilka lat temu miał kłopoty z niejakim Narduzzim.

Vianello kiwnął głową na znak, że zna to nazwisko.

– Pamiętasz, co się z nim stało? – spytał Brunetti.

– Zginął, tylko nie pamiętam jak.

– Uduszony, prawdopodobnie kablem elektrycznym.

– A ci dwaj? – Vianello wskazał na wydruki komputerowe.

– Tak samo.

Vianello położył kartki na stosie własnych papierów i uważnie je przestudiował.

– Nie słyszałem o żadnym z nich. Narduzziego zamordowano zdaje się jakiś rok temu.

– Tak. W Padwie.

– Tamtejsza policja pewnie była zadowolona z tego, że się go pozbyła, a śledztwo nie sięgnęło aż do Wenecji. – Czy przychodzi ci do głowy ktoś, kto mógłby coś na ten temat wiedzieć?

– Ten człowiek, z którym pan kiedyś pracował.

– Della Corte. Myślałem o nim. Pewnie zna kilku złych ludzi, których mógłby popytać. Ale ja myślałem o kimś, kogo ty znasz.

– Dwóch – oznajmił Vianello, niczego nie wyjaśniając.

– Dobrze. Popytaj ich.

– Co mogę im dać w zamian?

Brunetti zastanawiał się przez chwile, o co mógłby poprosić policjantów, a co sam by zdobył.

– Będę im winny przysługę – powiedział w końcu. – Gdyby mieli jakieś kłopoty w Padwie, to niech się zwrócą do della Corte.

– To niewiele – stwierdził z powątpiewaniem Vianello.

– To jedyne, co mogą dostać.

Rozdział 20

Następna godzina upłynęła Brunettiemu na rozmowach z komendą policji w Padwie i karabinierami oraz na subtelnych zabiegach, mających na celu uzyskanie informacji w zamian za przysługi, jakie niegdyś oddał tamtejszym kolegom. Większość połączeń uzyskał za pośrednictwem własnej centrali, nie ruszając się z gabinetu. Della Corte zgodził się popytać tu i tam, przyjmując ofertę Brunettiego. Potem komisarz poszedł na Riva degli Schiavoni, gdzie stał rząd budek, i za pomocą kart telefonicznych po piętnaście tysięcy lirów zadzwonił do różnych drobnych i nie tak drobnych przestępców, z którymi miał do czynienia w przeszłości.

Wiedział, jak zresztą wszyscy Włosi, że wiele tych telefonów może być – a nawet jest – na podsłuchu i prowadzone z nich rozmowy są rejestrowane przez różne agencje rządowe. Dlatego nie podawał swojego nazwiska i starał się mówić bardzo oględnie, informując jedynie, że pewna osoba w Wenecji interesuje się miejscem pobytu Ruggiera Palmieriego, lecz absolutnie nie chce się z nim spotkać; nie chce też, by signor Palmieri dowiedział się, że ktoś o niego pytał. Szósty z kolei rozmówca, diler narkotykowy, powiedział, że zobaczy, co da się zrobić. Miał wobec Brunettiego dług wdzięczności. Kilka lat temu, w dzień po ogłoszeniu wyroku, jego syn napadł na komisarza, lecz ten go nie aresztował.

– A jak tam Luigino? – spytał Brunetti, by okazać, że nie czuje do niego urazy.

– Wysłałem go do Ameryki, by uczył się prowadzić interesy – wyjaśnił ojciec, zanim się rozłączył.

To prawdopodobnie oznaczało, że komisarz będzie musiał chłopaka aresztować, gdy znowu się spotkają. A może, uzyskawszy dyplom z zarządzania na jakimś renomowanym amerykańskim uniwersytecie, zajdzie tak wysoko

w hierarchii organizacji, że skromny *commissario di polizia* z Wenecji nie będzie władny go aresztować.

Wykorzystując ostatnią kartę, wystukał numer telefonu wdowy po Mitrim. Podobnie jak miało to miejsce nazajutrz po śmierci Mitriego, usłyszał nagraną na sekretarkę informację, że pogrążona w smutku rodzina nie przyjmuje żadnych telefonów. Przełożył słuchawkę do drugiej ręki i wygrzebał z kieszeni kartkę z numerem brata Mitriego, lecz tam również odezwała się sekretarka. Postanowił więc pójść do mieszkania zamordowanego i sprawdzić, czy zastanie tam kogoś z rodziny.

Wsiadł do tramwaju numer osiemdziesiąt dwa, płynącego do San Marcuola, i bez trudu trafił pod właściwy adres. Wcisnął dzwonek i po chwili w domofonie rozległ się męski głos. Brunetti powiedział, że jest z policji, podał stopień i nazwisko. Przez chwilę panowała cisza, a potem pozwolono mu wejść. Sól nie ustawała w swej niszczącej działalności, na schodach leżały kawałki farby i tynku.

Przed otwartymi drzwiami czekał na niego mężczyzna. Był wysoki i szczupły, o pociągłej twarzy i krótkich ciemnych włosach, przyprószonych na skroniach siwizną. Cofnął się, wpuszczając Brunettiego do mieszkania, i wyciągnął rękę na powitanie.

– Sandro Bonaventura – powiedział. – Jestem szwagrem Paola.

Podobnie jak siostra mówił po włosku, lecz z wyraźnym weneckim akcentem.

Brunetti odwzajemnił uścisk dłoni, lecz nie podał nazwiska. Bonaventura wprowadził go do dużego pokoju na końcu korytarza. Komisarz zauważył, że podłogę wyłożono dębową klepką, a zasłony w podwójnych oknach to autentyczny Mariano Fortuny.

Bonaventura wskazał mu krzesło, po czym sam usiadł naprzeciw Brunettiego.

– Siostry nie ma – odezwał się. – Pojechała z wnuczką na kilka dni do mojej żony.

– Miałem nadzieję, że z nią porozmawiam – wyjaśnił Brunetti. – Wie pan może, kiedy wróci?

Bonaventura pokręcił głową.

– Siostra i żona są sobie bardzo bliskie, dlatego zaprosiliśmy ją do siebie, kiedy... kiedy to się stało. – Popatrzył na ręce i pokręcił głową, po czym spojrzał na Brunettiego. – Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło. Dlaczego Paolo? Przecież nie było żadnego powodu.

– Zawsze jest jakiś powód, gdy zjawia się złodziej i wpada w panikę.

– Uważa pan, że to było włamanie? A ten list? – spytał Bonaventura.

Brunetti zawahał się.

– Możliwe, że złodziej wybrał go ze względu na szum, jaki się zrobił wokół biura podróży. Tę kartkę mógł wziąć ze sobą, zamierzając zostawić ją po dokonaniu kradzieży.

– Ale po co?

Brunetti nie miał pojęcia i uważał taką możliwość za śmieszną.

– Żeby to nie wyglądało na robotę profesjonalisty – wymyślił na poczekaniu.

– To niemożliwe – odrzekł Bonaventura. – Paola zamordował jakiś fanatyk, który uważał, że jest on odpowiedzialny za coś, o czym nie miał pojęcia. Życie mojej siostry legło w gruzach. To absurd. Niech pan nie opowiada mi o złodziejach, którzy przychodzą z kartkami, i nie traci na nich czasu. Powinien pan szukać szaleńca.

– Czy pański szwagier miał wrogów? – spytał Brunetti.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Uważam to za dziwne – stwierdził Brunetti.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Bonaventura, pochylając się ku Brunettiemu.

– Nie chciałem pana urazić, signor Bonaventura. – Brunetti uniósł dłoń

w geście pojednania. – Chodzi mi o to, że dottor Mitri był biznesmenem, i to takim, który odnosi sukcesy. Na pewno część jego decyzji nie podobała się ludziom, wywoływała w nich gniew.

– Ludzie nie zabijają z powodu niekorzystnych umów – odparł Bonaventura.

Brunetti pominął jego słowa milczeniem, chociaż wiedział, jak często to się zdarza.

– Czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto miałby przez to kłopoty? – spytał po chwili.

– Nie – odpowiedział Bonaventura bez wahania. – Nikt – dodał po zastanowieniu.

– Rozumiem. Czy orientuje się pan w interesach szwagra? Czy pracowaliście wspólnie?

– Nie. Kieruję naszą fabryką w Castelfranco Veneto. Nazywa się Interfon. Należy do mnie, lecz jest zarejestrowana na nazwisko mojej siostry. Ze względu na podatki – dodał, widząc niezadowoloną minę komisarza.

Brunetti kiwnął głową niczym ksiądz. Czasami odnosił wrażenie, że we Włoszech można było wybaczyć każdą potworność, jeżeli tylko popełniono ją z przyczyn podatkowych. Zniszczyć rodzinę, zastrzelić psa, spalić sąsiadowi dom – dopóki robiło się to z powodów podatkowych, żaden sędzia, żaden sąd nie wydałby wyroku skazującego.

– Czy dottor Mitri miał jakiś udział w tej fabryce?

– Nie, żadnego.

– Co to za fabryka, jeżeli mogę spytać?

Bonaventura nie uznał tego pytania za dziwne.

– Oczywiście, że może pan. Wytwarzamy lekarstwa. Aspirynę, insulinę, wiele leków homeopatycznych.

– Czy jest pan farmaceutą? Zna się na produkcji leków?

Bonaventura zawahał się.

– Nie. Jestem tylko biznesmenem. Dodaję kolumny cyfr, słucham naukowców, którzy przygotowują receptury, i opracowuję strategie marketingowe.

– Nie powinien pan znać się na farmakologii? – spytał Brunetti, pamiętając, że Mitri był chemikiem.

– Nie. To kwestia zarządzania. Produkt nie ma tu znaczenia, czy będą to buty, statki czy lak.

– Rozumiem – odpowiedział Brunetti. – Pański szwagier był zdaje się chemikiem?

– Tak. Na początku swojej kariery zawodowej.

– A później nie?

– Nie. Od dawna nie pracował już w swoim zawodzie.

– W takim razie czym się zajmował w swoich fabrykach? Ciekawe, czy też był zwolennikiem strategii marketingowych.

Bonaventura podniósł się ze swego miejsca.

– Nie chcę być niegrzeczny, panie komisarzu, ale mam tu coś do roboty, a to są pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Byłoby lepiej, gdyby pan porozmawiał z dyrektorami fabryk Paola. Naprawdę nic nie wiem o jego interesach. Przykro mi.

Brunetti wstał. To brzmiało sensownie. Wykształcenie chemiczne nie było konieczne do kierowania fabryką. Teraz nie trzeba już się znać na wytwarzanym produkcie, żeby kierować firmą. Najlepszym przykładem jest tu Patta – pomyślał Brunetti.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – powiedział, wyciągając rękę do Bonaventury.

Ten uścisnął ją i odprowadził komisarza do drzwi. Brunetti wrócił do komendy uliczkami Cannaregio, jego zdaniem najpiękniejszymi w mieście, no i oczywiście na świecie.

Większość kolegów wyszła na obiad, zostawił więc kartkę na biurku signoriny Elettry, prosząc ją o zebranie informacji o szwagrze Mitriego, Alessandrze Bonaventurze. Kiedy odsuwał górną szufladę, z której pozwolił sobie wyjąć ołówek, pomyślał, że bardzo chciałby przesłać jej wiadomość za pośrednictwem Internetu. Nie miał pojęcia, jak to działa ani co powinien zrobić, lecz ogromnie tego pragnął, choćby tylko po to, by udowodnić jej, że nie jest takim elektronicznym neandertalczykiem, za jakiego go zapewne uważała. Vianello się nauczył, więc on też mógłby. Skończył przecież prawo, a to musiało coś znaczyć.

Popatrzył na cichy teraz komputer i ciemny ekran. Czy to bardzo trudne? A może, tak jak Mitri, bardziej się nadawał do pracy za kulisami niż przy maszynach. I tak uspokojony poszedł do baru przy moście zjeść kanapkę i wypić kieliszek wina, czekając, aż inni wrócą z obiadu.

Zrobiło się bliżej czwartej niż trzeciej, lecz Brunetti już dawno stracił iluzję co do pracowitości swoich kolegów, toteż wcale mu nie przeszkadzało, że musiał siedzieć w ciszy własnego gabinetu przez ponad godzinę i czytać gazetę. Sprawdził nawet swój horoskop: obiecywał, że spotka blondynkę i wkrótce otrzyma dobre wieści. Przydałyby się.

Tuż po czwartej zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, wiedząc, że to Patta, zdziwiony, że horoskop tak szybko się sprawdza, i ciekaw, czego to *vice-questore* może od niego chcieć.

– Mógłbyś przyjść do mojego gabinetu? – spytał *vice-questore*, a Brunetti odpowiedział uprzejmie, że już idzie.

Żakiet signoriny Elettry wisiał na oparciu krzesła, a na ekranie monitora widniała lista nazwisk i schludna kolumna cyfr, lecz jej samej nie było w pokoiku. Komisarz zapukał do drzwi gabinetu, po czym wszedł.

Przed biurkiem Patty siedziała signorina Elettra ze złączonymi nogami,

notatnikiem na kolanach i wzniesionym ołówkiem. Przerwała notować w chwili, gdy Patta powiedział: *Avanti!*, usłyszawszy pukanie Brunettiego.

Vice-questore ledwie kiwnął głową komisarzowi i powrócił do dyktowania.

– I proszę napisać, że nie chcę... Nie, niech pani napisze „nie będę tolerował”. Tak będzie dobitniej, nie sądzi pani?

– Oczywiście, *vice-questore* – odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z notatnika.

– Nie będę tolerował – ciągnął Patta – wykorzystywania policyjnych łodzi i samochodów do nieuzasadnionych podróży. Jeżeli ktoś z pracowników... – Tu przerwał i dodał neutralnym tonem: – Czy mogłaby pani sprawdzić, *signorina*, kto jest upoważniony do używania łodzi i samochodów i dopisać to?

– Oczywiście, *vice-questore*.

– ...będzie potrzebował policyjnego środka transportu, powinien... O co chodzi, *signorina*? – spytał Patta, widząc zmieszanie na jej twarzy.

– Może byłoby lepiej dodać: „ta osoba”, *vice-questore* – zasugerowała. – Aby uniknąć podejrzeń o faworyzowanie mężczyzn. Inaczej wyjdzie na to, że tylko oni mogą żądać łodzi.

Spuściła głowę i przewróciła kartkę w notatniku.

– Naturalnie, naturalnie, skoro uważa pani, że tak będzie rozsądniej – zgodził się Patta i dyktował dalej. – Ta osoba powinna wypełnić odpowiedni formularz i otrzymać zgodę swoich zwierzchników. – Jego zachowanie zmieniło się, a z twarzy zniknął władczy wyraz, jakby Patta nakazał brodzie, by przestała naśladować Mussoliniego. – Jeżeli byłaby pani tak uprzejma i sprawdziła, kto jest do tego upoważniony, i dopisała ich nazwiska... dobrze?

– Oczywiście, *vice-questore* – powiedziała i zanotowała kilka słów, po czym podniosła wzrok i uśmiechnęła się. – Czy to wszystko?

– Tak – odrzekł Patta.

Brunetti zauważył, że *vice-questore* pochylił się w przód, kiedy sekretarka wstała, jakby tym przyjaznym gestem chciał pomóc jej się podnieść.

Kiedy doszła do drzwi, odwróciła się i znów uśmiechnęła.

– Zrobię to jutro z samego rana, *vice-questore* – powiedziała.

– Nie może pani wcześniej? – spytał Patta.

– Obawiam się, że nie. Muszę opracować budżet wydatków naszego biura na następny miesiąc.

Uśmiechnęła się z mieszaniną żalu i surowości.

– Oczywiście.

Wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

– Brunetti – powiedział Patta bez wstępów – co się dzieje ze sprawą Mitriego?

– Rozmawiałem dziś z jego szwagrem – zaczął komisarz, ciekaw, czy Patta już o tym wie. Z wyrazu jego twarzy domyślił się, że nie. – Dowiedziałem się również – ciągnął – że w ciągu ostatnich kilku lat popełniono trzy inne morderstwa przy użyciu kabla w izolacji, prawdopodobnie elektrycznego, i wszystkie ofiary zaatakowano od tyłu, tak jak Mitriego.

– Jakiego rodzaju to były morderstwa? – spytał Patta. – Podobne do tego?

– Nie, *comandante*. Wygląda na to, że były to egzekucje, prawdopodobnie mafijne.

– W takim razie z tym nie mogą mieć nic wspólnego – stwierdził Patta, wykluczając tę ewentualność machnięciem ręki. – To jest robota jakiegoś szaleńca, fanatyka sprowokowanego do popełnienia morderstwa przez... – Patta urwał nagle, jakby stracił wątek lub uświadomił sobie, do kogo mówi.

– Chciałbym jednak iść dalej tym tropem, *comandante* – powiedział Brunetti, udając, że tego nie słyszał.

– Gdzie zdarzyły się te morderstwa?

– Jedno w Palermo, jedno w Reggio Calabria i najnowsze w Padwie.

– Ach! – westchnął Patta, – Jeżeli istnieje między nimi jakiś związek, to będzie oznaczało, że sprawa nie jest nasza, tylko policji z tamtych miast, która potraktuje to morderstwo jako jedno z serii.

– To bardzo prawdopodobne, *comandante* – odparł Brunetti, nie wspominając, że tak samo może postąpić policja w Wenecji.

– W takim razie poinformuj ich o tym i daj mi znać, gdy otrzymasz od nich odpowiedź.

Brunetti musiał przyznać, że to genialne posunięcie. Patta przekazał śledztwo policji z tamtych miast, co było zgodne z przepisami i bardzo korzystne, informując bowiem o sprawie innych, oficjalnie wypełniał swój obowiązek, dzięki czemu nikt nie mógł zakwestionować tej decyzji.

Komisarz wstał.

– Oczywiście, *comandante*. Natychmiast się z nimi skontaktuję.

Patta skinął mu uprzejmie głową. Rzadko się zdarzało, by Brunetti, człowiek uparty i trudny, dał się tak łatwo przekonać.

Rozdział 21

Kiedy Brunetti wyszedł z gabinetu Patty, signorina Elettra wkładała właśnie zakiet. Torebka i torba na zakupy stały na biurku, a obok leżał płaszcz.

– A budżet? – spytał Brunetti.

Prychnęła lekceważąco.

– Co miesiąc jest taki sam. Wydrukowanie zajęło mi pięć minut. Musiałam jedynie zmienić nazwę miesiąca.

– Czy ktoś go kiedykolwiek zakwestionował? – spytał Brunetti, myśląc o wydatkach na świeże kwiaty.

– *Vice-questore* jakiś czas temu – odpowiedziała, sięgając po płaszcz.

Brunetti pomógł jej się ubrać. Żadne z nich nie uznało za konieczne zwrócić uwagi na to, że do końca pracy pozostały jeszcze trzy godziny.

– Co powiedział?

– Zapytał, dlaczego co miesiąc wydajemy więcej pieniędzy na kwiaty niż na materiały biurowe.

– I jak mu to pani wytłumaczyła?

– Przeprosiłam i powiedziałam, że musiałam pomylić kolumny i że to się więcej nie powtórzy.

Przewiesiła długie ramiączko torby przez ramię.

– I? – Brunetti nie mógł się powstrzymać.

– I się nie powtórzyło. To pierwsza rzecz, jaką robię, gdy sporządzam raport. Zamieniam miejscami wydatki na kwiaty i materiały biurowe. Dzięki temu *vice-questore* jest szczęśliwszy.

Wzięła torbę na zakupy. – Bottega Veneta – i ruszyła do drzwi.

– *Signorina* – zaczął, czując się niezręcznie. – A te dane?

– Rano, *commissario*. Jutro się tym zajmę – odpowiedziała, wskazując podbródkiem na komputer, bo w jednej ręce trzymała torbę, a drugą odsuwała pasmo włosów z twarzy.

– Ale jest wyłączony – zauważył Brunetti.

Na ułamek sekundy zamknęła oczy.

– Zapewniam pana, że jutro rano będą gotowe. – Zawahał się, więc dodała: – Proszę pamiętać, że jestem pańskimi oczyma i pańskim nosem, *commissario*. Wszystko, co da się znaleźć, będzie gotowe jutro z samego rana.

Drzwi były otwarte i Brunetti stanął przy nich, jakby pilnował, by bezpiecznie wyszła.

– *Arrivederci, signorina. E grazie.*

Uśmiechnęła się na pożegnanie.

Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z resztą dnia. Zabrakło mu odwagi, by pójść za przykładem signoriny Elettry, wrócił więc do swojego pokoju. Na biurku znalazł karteczkę z informacją, że hrabia Orazio Falier prosi o kontakt.

– Tu Guido – powiedział, słysząc głos hrabiego.

– Dobrze, że dzwonisz. Możemy porozmawiać?

– Chodzi o Paolę? – spytał Brunetti.

– Nie, o tę drugą sprawę, o którą mnie prosiłeś. Rozmawiałem z kimś, z kim łączą mnie pewne interesy, i ten człowiek powiedział, że jakiś rok temu na jedno z zagranicznych kont Mitriego wpłynęła olbrzymia suma pieniędzy, która wkrótce została z niego wycofana. Mówił o pięciu milionach franków.

– Franków? – powtórzył Brunetti. – Szwajcarskich?

– Przecież nie francuskich – odparł hrabia, jakby franka francuskiego stawiał na równi z litewskim litem.

Brunetti nie zapytał, od kogo teść ma tę informację, i był na tyle mądry, by jej

zaufać.

– Czy to jedyne konto?

– To jedyne, o którym się dowiedziałem – odrzekł hrabia. – Ale pytałem kilka innych osób i mogę mieć jakieś wiadomości pod koniec tygodnia.

– Czy powiedział, skąd pochodzą te pieniądze?

– Z różnych krajów. Zaczekaj chwilę, zaraz ci powiem. Mam gdzieś to zapisane. – Odłożył słuchawkę, a Brunetti przysunął sobie kartkę papieru. – Mam – odezwał się hrabia. – Nigeria, Egipt, Kenia, Bangladesz, Sri Lanka i Wybrzeże Kości Słoniowej. Próbowałem przypisać do nich różne rzeczy – podjął po chwili milczenia – narkotyki, broń, kobiety, ale ciągle coś mi się nie zgadzało. Przynajmniej jedno z tych państw nie pasowało do schematu.

– Przede wszystkim są na to zbyt biedne – mruknął Brunetti.

– No tak. Ale większość pieniędzy pochodzi właśnie stamtąd, choć były również mniejsze wpłaty z krajów europejskich i jedna z Brazylii. Sumy przesyłano zawsze w lokalnych walutach, a potem część odsyłano, lecz w dolarach, zawsze w dolarach.

– Do tych samych krajów?

– Tak.

– Ile wracało?

– Nie wiem. To wszystko, co mi przekazał – wyjaśnił hrabia, uprzedzając kolejne pytanie. – Tyle był mi winny.

Brunetti zrozumiał, Nie będzie nic więcej.

– Dziękuję – powiedział.

– Jak sądzisz, co to znaczy?

– Nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić. – Postanowił poprosić hrabiego o dalszą pomoc. – Jest jeszcze ktoś, kogo muszę znaleźć.

– Kto?

– Nazywa się Palmieri, to zawodowy zabójca.

– Co on ma wspólnego z Paolą? – chciał wiedzieć hrabia.

– Mógł mieć coś wspólnego z zamordowaniem Mitriego.

– Palmieri?

– Tak, Ruggiero. Przypuszczam, że pochodzi z Portogruaro, lecz z tego, co wiemy, to może być również w Padwie.

– Znam wielu ludzi, Guido. Zobaczą, co się da zrobić.

Brunetti chciał mu powiedzieć, żeby był ostrożny, lecz zdał sobie sprawę, że teść do niczego by w życiu nie doszedł, gdyby nie kierował się ostrożnością.

– Rozmawiałem wczoraj z Paolą – powiedział hrabia. – Wygląda na to, że doszła do siebie.

– Tak. – Brunetti nagle uświadomił sobie, jak niepewnie to zabrzmiało. – Jeżeli to, co zaczynam podejrzewać, jest prawdą, to nie miała nic wspólnego ze śmiercią Mitriego.

– Oczywiście, że nie miała nic wspólnego z jego śmiercią – padła natychmiastowa odpowiedź. – Przecież była wówczas z tobą.

– Myślałem o tym, co zamierzała osiągnąć – wyjaśnił spokojnie Brunetti, tłumiąc w sobie chęć ostrej riposty. – Że swym postępowaniem mogła sprowokować kogoś do popełnienia morderstwa.

– Nawet jeżeli tak było... – zaczął hrabia, lecz nagle stracił zainteresowanie dyskusją nad hipotezami i spokojnym tonem powiedział: – Spróbuję się zorientować, co on miał wspólnego z tymi krajami.

– Będę wdzięczny.

Brunetti pożegnał się uprzejmie i odłożył słuchawkę.

Kenia, Egipt i Sri Lanka miały problemy z terrorystami, lecz nic, o czym Brunetti czytał, nie sugerowało jakichkolwiek powiązań. Oskarżane o ataki ugrupowania głosiły zupełnie inne cele. Surowce? Niewiele o nich wiedział, nie

mógł więc stwierdzić, czy były wśród nich takie, jakich pragnął żarłoczny Zachód.

Popatrzył na zegarek. Minęła szósta. Najwyższy czas, by komisarz, zwłaszcza taki, który oficjalnie nadal przebywa na urlopie administracyjnym, poszedł do domu.

W drodze wciąż myślał o sprawie, a raz nawet przystanął, wyjął z kieszeni listę państw i ponownie się jej przyjrzał. Wszedł do „Antico Dolo”, zamówił kieliszek białego wina i dwie mątwy, lecz tak był zajęty myślami, że nie czuł smaku.

Wrócił przed siódmą do pustego domu. Poszedł do gabinetu Paoli, wyjął atlas świata, rozłożył go sobie na kolanach i przestudiował z uwagą kolorowe mapy różnych regionów. Potem, siedząc na starej kanapie, zsunął się niżej i położył głowę na oparciu.

Kiedy pół godziny później Paola wróciła do domu, spał w najlepsze. Wymówiła jego imię raz i drugi, lecz obudził się dopiero, gdy przy nim usiadła.

Z drzemki w dzień zawsze budził się otępiały, z niesmakiem w ustach.

– Co to jest? – spytała, wskazując na atlas i całując męża w ucho.

– Sri Lanka. A tu jest Bangladesz, Egipt, Kenia, Wybrzeże Kości Słoniowej i Nigeria – wyjaśnił, przewracając strony.

– Niech zgadnę: to plan podróży naszego drugiego miesiąca miodowego po biednych stolicach świata. – Widząc jego uśmiech, dodała: – A ja będę grała rolę dobrodziejki, która rzuca biedakom pełne garści monet.

Brunetti zamknął atlas, lecz pozostawił go na kolanach.

– To interesujące, że w pierwszym odruchu pomyślałaś o biedzie.

– Bieda albo zamieszki. Albo tanie imodium – dodała po chwili zastanowienia.

– Co takiego?

– Pamiętasz, jak byliśmy w Egipcie i musieliśmy brać imodium?

Dziesięć lat temu, podczas wycieczki do Egiptu, dostali ostrej biegunki i przez dwa dni jedli jedynie jogurt, ryż i brali imodium.

– Tak – odpowiedział, lecz bez przekonania.

– Żadnych recept, żadnych pytań i bardzo, bardzo tanio. Gdybym miała listę lekarstw, które zażywają moi neurotyczni znajomi, mogłabym nakupować prezentów na następnych pięć lat. – Zauważyła, że się nie zaśmiał, spojrzała więc na atlas. – Ale co z tymi krajami?

– Mitri otrzymywał z nich pieniądze, ogromne sumy. A może nie on, tylko jego firmy. Trudno to ustalić, bo wpłat dokonywano na konto w Szwajcarii.

– A nie tam trafiają wszystkie pieniądze? – spytała z ciężkim westchnieniem.

Odsunął od siebie myśli o egzotycznych krajach i odłożył atlas na kanapę.

– Gdzie dzieci? – spytał.

– Jedzą kolację u moich rodziców.

– Czy my też powinniśmy gdzieś pójść?

– Miałbyś ochotę się ze mną pokazać? – spytała lekkim tonem.

Nie był pewny, czy żartuje, dlatego odpowiedział twierdząco.

– Gdzie?

– Gdzie zechcesz.

Rozsiadła się obok niego i wyciągnęła przed siebie nogi.

– Nie chcę iść daleko. A może pizza w „Due Colonne”?

– O której wrócą dzieci? – spytał, przykrywając dłonią jej dłoń.

– Nie przed dziesiątą – odparła, spoglądając na zegarek.

– Dobrze – powiedział i uniósł jej rękę do ust.

Rozdział 22

Kolejny dzień i następny minęły bez żadnych wieści o Palmierim. W „Gazzettino” ukazał się artykuł informujący o tym, że w sprawie Mitriego nie ma żadnego postępu, lecz o Paoli nie wspomniał słowem, Brunetti doszedł więc do wniosku, że teść rzeczywiście musiał rozmawiać z ludźmi, których znał. Ogólnokrajowe dzienniki również pomijały ten temat milczeniem. A kiedy jedenaście osób zostało śmiertelnie poparzonych w pokoju tlenowym w szpitalu w Mediolanie, sprawa morderstwa Mitriego ustąpiła miejsca miażdżącej krytyce systemu opieki zdrowotnej.

Zgodnie z danym słowem signorina Elettra przekazała mu trzy strony informacji o Sandrze Bonaventurze. Miał dwoje dzieci studiujących na uniwersytecie, dom w Padwie i mieszkanie w Castelfranco Veneto. Fabryka Interfar była rzeczywiście zapisana na nazwisko siostry. Pieniądze na jej kupno zostały wpłacone dzień po dużej wypłacie z konta Mitriego w banku weneckim. Miało to miejsce półtora roku temu.

Bonaventura pracował najpierw jako dyrektor w jednej z fabryk Mitriego, a potem został szefem Interfaru. I to było wszystko. Typowy życiorys przedstawiciela klasy średniej, któremu się powiodło.

Trzeciego dnia złapano człowieka, który napadł na oddział pocztowy na Campo San Polo. Po pięciu godzinach przesłuchania przyznał się też do napadu na bank na Campo San Luca. Był to ten sam mężczyzna, którego Iacovantuono przed śmiercią żony rozpoznał na zdjęciu. W trakcie przesłuchania Brunetti zszedł na dół i przyjrzał się podejrzanemu przez specjalną szybę zainstalowaną w drzwiach pomieszczenia. Zobaczył niskiego, krępego mężczyznę o rzednących kasztanowych włosach. Człowiek, którego Iacovantuono opisał za drugim razem,

miał rude włosy i był o co najmniej dwadzieścia kilogramów szczuplejszy.

Brunetti wrócił do swojego pokoju i poprosił o połączenie z Negrin, który prowadził w Treviso dochodzenie w sprawie śmierci signoriny Iacovantuono, i poinformował go, że aresztowali sprawcę napadu na bank i że jego rysopis różni się od przedstawionego przez Iacovantuona za drugim razem.

– Co on robi? – spytał Brunetti po przekazaniu informacji.

– Chodzi do pracy, wraca do domu, karmi dzieci, potem idzie na cmentarz, by położyć świeże kwiaty na grobie żony – odpowiedział Negri.

– Czy jest jakaś inna kobieta?

– Na razie nie.

– Jeżeli to zrobił, to jest dobry – stwierdził Brunetti.

– Był bardzo przekonujący, kiedy z nim rozmawiałem. Dzień po jej śmierci wysłałem nawet ludzi, by ich chronili i mieli oko na dom.

– Zauważyli coś?

– Nie.

– Dajcie mi znać, jeżeli coś się wydarzy – powiedział Brunetti.

– Mało prawdopodobne, co?

– Mało.

Instynkt zwykle ostrzegał Brunettiego, gdy ktoś kłamał lub próbował coś ukryć, lecz w wypadku Iacovantuona komisarz nie miał żadnych przeczuć, żadnych podejrzeń. Zaczął się zastanawiać, czy chce być w porządku, czy też pragnie, by mały piekarz okazał się mordercą.

Trzymał jeszcze rękę na słuchawce, gdy zadzwonił telefon i oderwał go od cichych rozmyślań.

– Guido, tu della Corte.

Myśli Brunettiego skoncentrowały się na Padwie, Mitrim i Palmierim.

– Co jest? – spytał, zbyt podekscytowany, by bawić się w uprzejmości.

Natychmiast zapomniał o Iacovantuonie.

– Możemy go znaleźć.

– Palmieriego?

– Tak.

– Gdzie?

– Od nas na północ. Prowadzi ciężarówkę.

– Ciężarówkę? – powtórzył bezmyślnie Brunetti. Wydawało się to zbyt banalne jak na kogoś, kto prawdopodobnie zabił cztery osoby.

– Używa teraz innego nazwiska: Michele De Luca.

– Jak go znaleźliście?

– Jeden z naszych ludzi z wydziału narkotyków popytał tu i tam i dostał wiadomość od swoich chłopczków. Gość nie był pewny, wysłaliśmy więc kogoś i wrócił z potwierdzeniem.

– Czy Palmieri mógł go widzieć?

– Nie, facet jest dobry. Czy chcesz, żebyśmy zgarnęli Palmieriego? – spytał po chwili della Corte.

– Nie wiem, czy to będzie łatwe.

– Wiemy, gdzie mieszka. Możemy wejść w nocy.

– Gdzie on jest?

– W Castelfranco Veneto. Prowadzi ciężarówkę należącą do fabryki farmaceutycznej o nazwie Interfar.

– Jadę. Chcę go dopaść dziś wieczorem.

Żeby uczestniczyć w nalocie na mieszkanie Palmieriego, okłamał Paolę. W czasie obiadu powiedział jej, że policja w Castelfranco zatrzymała podejrzanego i prosi, aby przyjechał go przesłuchać. Kiedy zapytała, dlaczego musi tam zostać na noc, wyjaśnił, że tego człowieka przywiozą późnym wieczorem, a po dziesiątej nie

złapie powrotnego pociągu. W rzeczywistości nie było żadnego już po południu. Kontrolerzy lotu ogłosili w południe dziki strajk, zamknęli lotnisko i zmusili samoloty do lądowania w Bolonii lub Trieście, a związek zawodowy maszynistów, solidaryzując się z żądaniami kolegów, postanowił ogłosić akcję protestacyjną, więc wszystkie koleje w regionie Veneto również stanęły.

– W takim razie weź samochód.

– Mogę, ale tylko do Padwy. Na dłuższy kurs Patta nie wyda zgody.

– To znaczy, że nie chce, żebyś tam jechał, tak? – spytała, patrząc na niego przez zastawiony stół. Dzieci poszły już do swoich pokoi, mogli więc swobodnie rozmawiać. – Albo nie wie, że tam jedziesz.

– Po części tak – odpowiedział. Wziął jabłko z koszyka i zaczął je obierać. – Smaczne – stwierdził, gdy odgryzł pierwszy kawałek.

– Nie wykręcaj się, Guido. Jaki jest ten inny powód?

– Przesłuchanie może długo potrwać, więc nie wiem, kiedy wrócę.

– I ściągają tego człowieka tylko po to, byś zmusił go do mówienia? – spytała z powątpiewaniem w głosie.

– Muszę zapytać go o Mitriego – wyjaśnił Brunetti. Był to raczej unik niż kłamstwo.

– Czy to on go zabił? – spytała.

– Możliwe. Ma być badany w sprawie co najmniej trzech morderstw.

– Badany? Co to znaczy?

Brunetti czytał akta i wiedział, że jest świadek, który widział Palmieriego w towarzystwie drugiej ofiary tego wieczoru, gdy zginęła. I jeszcze ta bójka z Narduzzim. A teraz bandzior pracował jako kierowca w fabryce farmaceutycznej Bonaventury.

– Ciężą na nim podejrzenia.

– Rozumiem – powiedziała, wyczuwając w jego głosie niechęć do dalszych

wyjaśnień. – Więc wracasz jutro rano?

– Tak.

– O której wyjeżdżasz? – spytała.

– O ósmej.

– Wracasz do komendy?

– Tak.

Chciał dodać, że musi jeszcze sprawdzić, czy ten człowiek został formalnie oskarżony, lecz się powstrzymał. Nie lubił kłamać, z drugiej strony nie chciał, by Paola się denerwowała, że niepotrzebnie naraża się na niebezpieczeństwo. Protestowałyby, mówiąc, że zarówno wiek, jak i ranga pozwalają mu tego uniknąć.

Nie wiedział, czy będzie spał tej nocy ani gdzie, mimo to poszedł do sypialni i spakował trochę rzeczy do małej torby. Otworzył lewe skrzydło wielkiej szafy z drewna orzechowego, którą hrabia Orazio podarował im w prezencie ślubnym, wyjął z niej klucze, otworzył jednym szufladę, a drugim metalowe prostokątne pudełko. Wyjął z niego pistolet w kaburze, wsunął broń do kieszeni, po czym starannie zamknął pudełko i szufladę.

Przypomniał sobie *Iliadę* i Achilleśa przywdziewającego zbroję przed walką z Hektorem: wielką tarczę, nagolenniki, włócznię, miecz i hełm. Jakże lichy i mało szlachetny wydawał się ten metalowy przedmiot spoczywający w kieszeni! Paola nazywała go przenośnym penisem. A jednak jak szybko proch położył kres szlachetnym zasadom walki, wywodzącym się od Achilleśa!

Zatrzymał się w drzwiach i wrócił do rzeczywistości. Czekало go zadanie w Castelfranco i musiał się pożegnać z żoną.

Nie widział della Corte kilka lat, mimo to rozpoznał go, jak tylko wszedł do budynku komendy w Padwie. Te same ciemne oczy i niesforne wąsy. Brunetti zawołał i policjant odwrócił się na dźwięk swojego nazwiska.

– Guido – powiedział. – Jak miło cię znowu widzieć! Opowiadając o tym, co robili przez te kilka lat, poszli do gabinetu della Corte. Tam przy kawie kontynuowali rozmowę o dawnych sprawach, a potem zaczęli omawiać plany na dzisiejszy wieczór. Della Corte zaproponował, żeby wyjechali z Padwy o dwudziestej drugiej. O dwudziestej trzeciej będą w Castelfranco, gdzie spotkają się z miejscową policją, która wiedziała o Palmierim i też chciała uczestniczyć w akcji.

Kiedy kilka minut przed jedenastą dotarli do komendy w Castelfranco, czekali już tam na nich komisarz Bonino i dwóch policjantów w dżinsach i skórzanych kurtkach. Mieli przygotowaną mapę terenu wokół mieszkania Palmieriego, opracowaną do ostatniego szczegółu: parking przed domem, rozmieszczenie wszystkich drzwi w budynku, nawet plan lokalu.

– Jak to zdobyliście? – Brunetti nie krył podziwu.

Bonino wskazał na młodszego z policjantów.

– Budynek ma zaledwie pięć lat – wyjaśnił. – Wiedziałem, że jego plany muszą być w biurze katastralnym. Poszedłem tam dziś po południu i poprosiłem o zrobienie odbitki drugiego piętra. On mieszka na trzecim, ale rozkład jest taki sam.

Wszyscy spojrzeli na odbitkę.

Plan wydawał się prosty: pojedyncze schody wiodły na korytarz, mieszkanie Palmieriego znajdowało się na jego końcu. Musieli zatem postawić dwóch ludzi pod oknami, jeden miał stać przy schodach, dwóch wejść do środka, a dwóch zapewniać ubezpieczenie na korytarzu. Brunetti chciał powiedzieć, że siedmiu to za dużo, lecz przypomniał sobie, że Palmieri jest podejrzany o zabicie czterech osób, i powstrzymał się od komentarza.

Podjechali dwoma samochodami, które zaparkowali kilkaset metrów za budynkiem. Zdecydowano, że dwóch policjantów w dżinsach wejdzie do

mieszkania z Brunettim i della Corte i to on dokona aresztowania. Bonino powiedział, że będzie pilnował schodów. Dwóch ludzi z Padwy zajęło miejsca pod trzema grubymi sosnami, rosnącymi między budynkiem a ulicą – jeden miał obserwować wejście, drugi tyły.

Brunetti, della Corte i dwaj policjanci weszli na górę. Tu się rozdzielili: młodzi zostali na klatce, a jeden z nich przytrzymał nogą drzwi.

Obaj komisarze podeszli do drzwi mieszkania Palmieriego. Brunetti nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Della Corte zapukał cicho dwa razy. Odpowiedziała im cisza. Zapukał jeszcze raz, głośniej.

– Ruggiero, to ja! – zawołał. – Przysłali mnie po ciebie. Musisz uciekać. Policja już tu jedzie.

W środku coś spadło i rozbiło się, prawdopodobnie lampa. Nikt jednak nie podszedł do drzwi. Della Corte znowu zapukał.

– Ruggiero, *per l'amor di Dio*, wychodź stamtąd.

W mieszkaniu znowu coś upadło, tym razem coś ciężkiego, krzesło lub stół. Z dołu dobiegły krzyki, prawdopodobnie innych policjantów. Słyszając ich głosy, Brunetti i della Corte odsunęli się od drzwi i oparli plecami o ścianę.

W samą porę, bo najpierw jedna, potem dwie i jeszcze dwie kule trafiły w drewnianą płaszczyznę drzwi. Brunetti poczuł ostre ukłucie w twarz i zobaczył dwie krople krwi na przedzie płaszcza. Dwaj młodzi policjanci podbiegli z pistoletami w rękach i uklękli po obu stronach drzwi. Jeden z nich przewrócił się zręcznie na plecy, przyciągnął kolana do piersi i z siłą tarana uderzył stopami tam, gdzie drzwi łączyły się z framugą. Przy drugim kopnięciu otworzyły się z hukiem. Jeszcze zanim uderzyły w wewnętrzną ścianę, policjant zerwał się błyskawicznie z podłogi i wpadł do pokoju.

Brunetti nie zdążył unieść broni, kiedy rozległy się dwa strzały i po chwili trzeci. Potem zaległa cisza.

– W porządku, możecie wejść – zabrzmiał głos policjanta.

Brunetti wsunął się przez otwór drzwiowy, a za nim della Corte. Policjant klęczał za przewróconą sofą, trzymając w ręku pistolet. Z głową w smudze światła wpadającej z korytarza leżał człowiek, w którym Brunetti rozpoznał Ruggiera Palmieriego. Jedną rękę, z palcami skierowanymi w stronę drzwi i czekającej za nimi wolności, miał wyciągniętą w przód, druga tkwiła gdzieś pod nim. W miejscu, gdzie powinno być ucho, widniała czerwona dziura, pozostałość po drugiej kuli.

Rozdział 23

Brunetti zbyt długo był policjantem i widział zbyt wiele nieudanych akcji, by tracić czas na roztrząsanie, co poszło nie tak lub jaki plan byłby lepszy. Inni jednak nie przekonali się jeszcze, że niewiele można się nauczyć na błędach, i nie darowali sobie wywodów. Nie bardzo zwracał uwagę na to, co mówią, lecz zgadzał się ze wszystkim i czekał na przyjazd techników.

Kiedy policjant, który zastrzelił Palmieriego, leżał na podłodze, sprawdzając, pod jakim kątem wpadł do mieszkania, Brunetti poszedł do łazienki, zmoczył chusteczkę w zimnej wodzie i wytarł drobną ranę na policzku, wielkości guzika od koszuli, w miejscu, gdzie wbiła się odpadająca od drzwi drzazga. Z chusteczką przy twarzy otworzył apteczkę, licząc na znalezienie w niej kawałka gazy lub czegoś do zatamowania krwawienia, i zobaczył, że jest wypełniona, tyle że nie plastrami.

Goście czasami zaglądają do apteczek, gdy korzystają z łazienki, lecz Brunetti nigdy tego nie robił. Toteż zdziwił się tym, co zobaczył: w środku stały trzy rzędy najróżniejszych lekarstw, co najmniej pięćdziesiąt pudełek i buteleczek różnej wielkości, wszystkie jednak z charakterystyczną nalepką z dziewięciocyfrowym numerem Ministerstwa Zdrowia. Nie znalazł jednak żadnych środków opatrunkowych. Zamknął szafkę i wrócił do pokoju, w którym leżał Palmieri.

Kiedy Brunetti był w łazience, zjawili się pozostali policjanci. Młodzi zajęli miejsca przy drzwiach i powtarzali scenę strzelaniny z zapalem, z jakim zapewne oglądaliby film akcji. Starsi stali w milczeniu w różnych kątach pokoju. Brunetti podszedł do della Corte.

– Możemy zacząć przeszukiwać pokój?

– Nie, dopóki nie zjawi się ekipa techniczna.

Brunetti kiwnął głową. Właściwie nie miało to teraz znaczenia, mogli to zrobić później. Chciał tylko, by jak najszybciej zabrano stąd ciało. Starał się unikać jego widoku, jednak w miarę upływu czasu i w ciszy, jaka zaległa, gdy młodzi skończyli przedstawienie, stawało się to coraz trudniejsze. Podszedł więc do okna i w tej chwili usłyszał kroki na schodach. Odwrócił się i zobaczył wchodzących do pokoju techników i fotografów, posłańców śmierci.

Spojrzał w okno i zaczął przyglądać się samochodom stojącym na parkingu, który zappełniał się mimo późnej pory. Miał ochotę zadzwonić do Paoli, lecz ona zapewne sądziła, że śpi bezpiecznie w jakimś hotelu, wolał więc nie wyprowadzać jej z błędu. Nie odwrócił się, gdy błysnął flesz aparatu fotograficznego ani gdy przybył lekarz sądowy.

Nie było tu żadnych sekretów.

Zrobił to dopiero wówczas, gdy usłyszał głuchoe stuknięcie noszy o framugę i gniewne pomruki dwóch ubranych na biało pracowników kostnicy. Podszedł do Bonina, który rozmawiał z della Corte.

– Możemy zacząć? – spytał.

– Oczywiście – odparł komisarz. – Przy ciele znaleziono jedynie portfel z ponad dwunastoma milionami lirów w nowych banknotach po pięćset tysięcy lirów. Są w drodze do laboratorium, gdzie zdejmą z nich odciski palców.

– Dobrze – odpowiedział Brunetti, po czym zwrócił się do della Corte: – Zajmiemy się sypialnią?

Ten skinął głową i razem przeszli do drugiego pokoju, pozostawiając miejscowej policji resztę mieszkania.

Nigdy dotąd nie przeszukiwali razem pomieszczenia. Della Corte podszedł do szafy i zaczął przeglądać kieszenie wiszących w niej spodni i marynarek.

Brunetti zajął się komodą, nie troszcząc się o to, że nie ma rękawiczek, spostrzegł bowiem rozsypany wszędzie proszek, pozostawiony przez techników.

Otworzył pierwszą szufladę i zdziwił się na widok schludnie ułożonych rzeczy. Zaraz jednak zaczął się zastanawiać, dlaczego sądził, że zabójca musi być bałaganiarzem. Bielizna leżała na dwóch kupkach, obok zaś zwinięte skarpetki, ułożone według kolorów.

W następnej znajdowały się swetry i coś, co wyglądało na strój gimnastyczny. Dolna szuflada była pusta. Zamknął ją nogą i odwrócił się w stronę szafy. Wisiało w niej niewiele rzeczy: kurtka, kilka marynarek i spodnie w plastikowych workach z pralni.

Na komodzie stało rzeźbione drewniane pudełko. Technicy pozostawili je zamknięte i gdy Brunetti podniósł wieko, w górę wzbił się obłoczek szarego pyłu. W środku znajdowały się papiery. Wyjął je, położył na komodzie i zaczął starannie przeglądać, odkładając po przeczytaniu na bok. Były tam rachunki za elektryczność i gaz, oba na nazwisko Michele De Luca. Nie znalazł rachunku za telefon, lecz tłumaczyła to leżąca obok pudełka komórka. Pod nią dostrzegł kopertę zaadresowaną do R.P. Wzdłuż rozcięcia była szara od częstego dotykania. Zawierała kartkę jasnoniebieskiego papieru z datą sprzed ponad pięciu lat i wiadomością napisaną starannym charakterem pisma: „Spotkamy się w restauracji jutro o ósmej. Do tego czasu uderzenia mojego serca będą wyznaczać wolno upływające minuty”. List podpisano literą „M”. Maria? – zastanawiał się Brunetti. Mariella? Monica?

Złożył list, wsunął go z powrotem do koperty i położył na stosie rachunków. Nic więcej w pudełku nie było.

Obejrzał się na kolegę.

– Znalazłeś coś?

Della Corte odwrócił się od szafy.

– Tylko to – odpowiedział, unosząc pęk kluczy. – Dwa są od samochodu.

– Albo od ciężarówki – podsunął Brunetti.

Della Corte kiwnął głową.

– Chodźmy sprawdzić, co tam stoi na parkingu.

W salonie nikogo nie było, za to dwóch ludzi przeszukiwało kuchnię. Lodówka i wszystkie szafki stały otworem. W łazience paliło się światło i dochodziły z niej głosy, Brunetti wątpił jednak, by coś tam znaleźli.

Zszedł z della Corte na parking. Kiedy obejrzał się, zobaczył, że w wielu oknach jest jasno. Jedno z nich, nad mieszkaniem Palmieriego, nagle się otworzyło.

– Co się dzieje? – zapytał męski głos.

– Policja! – odkrzyknął della Corte. – Wszystko w porządku.

Przez chwilę Brunetti sądził, że mężczyzna zażąda wyjaśnień w sprawie strzałów, lecz obawa Włochów przed władzą przeważyła i sąsiad z góry zamknął okno.

Za domem stało zaparkowanych siedem pojazdów – pięć samochodów osobowych i dwie ciężarówki. Della Corte zaczął od pierwszej, pomalowanej na szaro, z nazwą sklepu z zabawkami na jednym z boków i misiem siedzącym na kiju z głową konika. Żaden z kluczy do niej nie pasował. Dwa miejsca dalej stała szara ciężarówka „Iveco” bez oznakowań firmowych. Do niej również nie pasował żaden z kluczy. Podobnie było z samochodami osobowymi.

Kiedy odwrócili się z zamiarem powrotu do mieszkania, zauważyli przy końcu parkingu rząd garaży. Trochę czasu zajęło im dopasowywanie kluczy do pierwszych trzech par drzwi, lecz przy czwartych mieli szczęście. Jeden z kluczy gładko wszedł w zamek.

Della Corte otworzył garaż. W środku stała biała ciężarówka.

– Chyba trzeba będzie znowu wezwać chłopców z laboratorium – powiedział.

Brunetti spojrział na zegarek. Minęła druga w nocy. Della Corte zrozumiał. Wziął jeden z kluczyków i wsunął go w zamek od strony kierowcy. Przekręcił bez trudu i otworzył drzwi. Z przedniej kieszeni marynarki wyjął długopis i włączył

nim lampkę nad siedzeniem. Brunetti wziął od niego klucze i przeszedł na drugą stronę pojazdu, otworzył drzwi, potem zajrzał do skrytki w desce rozdzielczej. Znalazł w niej plastikową torebkę z ubezpieczeniem i dokumentami pojazdu. Długopisem przesunął torebkę w stronę światła, tak by odczytać litery. Ciężarówka była zarejestrowana na Interfar.

Wsunął dokumenty na miejsce, zamknął skrytkę i zatrzasnął drzwi. Przekręcił kluczyk w zamku i przeszedł do tylnych drzwi. Otworzył je pierwszym kluczem. Ciężarówka wyładowana była prawie po sam dach wielkimi tekturowymi pudłami z logo Interfaru: czarnymi literami „I” i „F” z czerwonym kaduceuszem w centrum. Przez środek biegły papierowe nalepki, nad którymi widniał wydrukowany czerwoną czcionką napis: „Air Freight”. Wszystkie pudła zaklejone były taśmą i Brunetti nie chciał ich otwierać, dopóki nie zajmą się nimi technicy z laboratorium. Stanął jedynie na zderzaku, wsunął głowę do środka i odczytał tekst na nalepce: „TransLanka”, z adresem w Kolombo.

Zeskoczył na ziemię i zamknął tylne drzwi. Potem wrócił z della Corte do mieszkania Palmieriego.

Policjanci skończyli już rewizję. Kiedy Brunetti i della Corte weszli do środka, jeden z miejscowych funkcjonariuszy pokręcił głową.

– Niczego przy nim nie znaleźliśmy – poinformował Bonino. – W mieszkaniu również. Pierwszy raz spotykam się z czymś takim.

– Czy wiadomo, jak długo on tu mieszkał? – spytał Brunetti.

Odpowiedzi udzielił mu wyższy funkcjonariusz, ten, który nie strzelał.

– Rozmawiałem z sąsiadami z mieszkania obok. Powiedzieli, że wprowadził się jakieś cztery miesiące temu. Nigdy nie sprawiał kłopotów i nigdy nie hałasował.

– Aż do dzisiejszej nocy – wtrącił jego partner, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– No dobrze – powiedział Bonino. – Myślę, że możemy wracać do domu.

Opuścili mieszkanie i ruszyli schodami w dół.

– Co zamierzasz robić? – zwrócił się della Corte do Brunettiego. – Odwieźć cię do Wenecji, jak będziemy jechali do Padwy?

Było to z jego strony niezwykle uprzejme, bo podróż na Piazzale Roma i powrót do Padwy zajęłyby im dodatkową godzinę.

– Dziękuję, ale nie – odparł Brunetti. – Chcę jeszcze porozmawiać z ludźmi w fabryce, nie ma więc sensu, bym jechał z tobą. Za chwilę musiałbym wracać.

– Co zrobisz?

– Na pewno znajdzie się jakieś łóżko w komendzie – odpowiedział i podszedł do Bonina, by o to zapytać.

Kiedy leżał w tym łóżku, zbyt zmęczony, by zasnąć, usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spał bez Paoli u boku. Przyszła mu do głowy jedynie ta noc, która zburzyła całe ich dotychczasowe życie. Potem usnął.

Następnego dnia rano Bonino dał mu samochód z kierowcą i o dziewiątej trzydzieści Brunetti był już w fabryce Interfar, mieszczącej się w dużym, długim budynku w samym centrum parku przemysłowego, przy jednej z wielu autostrad biegnących z Castelfranco. Brzydki kompleks, wybudowany w odległości stu metrów od drogi, oblepiony był ze wszystkich stron, niczym padlina przez mrówki, samochodami pracowników.

Brunetti poprosił kierowcę, aby zatrzymał się przed barem, i zaproponował mu kawę. Spał mocno, lecz zbyt krótko i czuł się otępiały i poirytowany. Dwie filiżanki kawy powinny temu zaradzić, a kofeina lub cukier zapewnią mu energię potrzebną na następne godziny.

Tuż po dziesiątej wszedł do biura Interfaru i poprosił o rozmowę z dyrektorem Bonaventurą. Podał swoje nazwisko i czekał przy biurku, aż sekretarka powiadomi szefa. Odpowiedź była natychmiastowa. Kobieta odłożyła słuchawkę, wstała

i poprowadziła Brunettiego korytarzem wyłożonym jasnoszarą wykładziną dywanową.

Zatrzymała się przed drugimi drzwiami po prawej, zapukała i cofnęła się, by przepuścić komisarza. Bonaventura siedział za biurkiem obłożonym papierami i broszurami. Wstał, gdy Brunetti wszedł, lecz nie ruszył się z miejsca, uśmiechnął jedynie i wyciągnął na powitanie rękę. Obaj panowie usiedli.

– Jest pan daleko od domu – zauważył przyjaznym tonem Bonaventura,

– Tak. Przyjechałem tu w interesie.

– Domyślam się, że w policyjnym interesie.

– Tak.

– Czy jestem częścią tego interesu?

– Tak sądzę.

– Skoro tak, to jest to najbardziej zdumiewająca rzecz, jaka mi się zdarzyła.

– Nie rozumiem – odpowiedział Brunetti.

– Dopiero co rozmawiałem z moim brygadzystą i właśnie miałem dzwonić na policję. – Bonaventura spojrział na zegarek. – Minęło zaledwie pięć minut i oto zjawia się pan u moich drzwi jak za dotknięciem różdżki.

– A mogę spytać, w jakim celu chciał pan dzwonić na policję?

– By zgłosić kradzież.

– Czego? – spytał Brunetti, chociaż znał odpowiedź.

– Jedna z naszych ciężarówek zaginęła, a kierowca nie zgłosił się do pracy.

– To wszystko?

– Nie. Mój brygadzysta mówi, że brakuje również sporo towaru.

– Mniej więcej tyle, ile zmieści się w ciężarówce? – spytał neutralnym tonem Brunetti.

– Skoro brakuje ciężarówki i kierowcy, to chyba logiczne.

Nie wyglądał na rozgniewanego, lecz Brunetti miał dość czasu, by

wyprowadzić go z równowagi.

– Jak się nazywa ten kierowca?

– Michele De Luca.

– Jak długo pracował dla pana?

– Nie wiem. Pół roku czy coś koło tego. Nie zajmuję się takimi sprawami.

Wiem jedynie, że widywałem go tu od kilku miesięcy. Dziś rano brygadzista powiedział mi, że nie ma jego ciężarówki, a on sam nie zjawił się w pracy.

– A brakujący towar?

– De Luca wyjechał wczoraj po południu z pełnym ładunkiem i miał odstawić ciężarówkę do fabryki przed powrotem do domu, a dziś o siódmej miał odbyć następny kurs. Nie wrócił i nie odstawił ciężarówki na parking. Brygadzista telefonował do niego, lecz jego komórka nie odpowiada, postanowiłem więc zgłosić to policji.

Brunetti uznał to za zbyt przesadną reakcję na coś, co można było wytłumaczyć niesumiennością pracownika, po chwili jednak przypomniał sobie, że Bonaventura nie zawiadomił policji, czekał więc, co będzie dalej.

– Tak, rozumiem pańską decyzję. Co to był za ładunek?

– Leków oczywiście. To właśnie tu produkujemy.

– A dokąd miały pojechać?

– Nie wiem. – Bonaventura spojrział na papiery rozłożone na biurku. – Gdzieś tu miałem listy przewozowe.

– Czy może pan je znaleźć? – spytał Brunetti, wskazując na dokumenty.

– Co za różnica, dokąd miały jechać? – spytał Bonaventura. – Najważniejszą rzeczą jest odnalezienie tego człowieka i odzyskanie ciężarówki z ładunkiem.

– Nie musi się pan o niego martwić – powiedział Brunetti, chociaż podejrzewał, że Bonaventura wcale nie chce odzyskać ładunku.

– Co to ma znaczyć?

– Wczoraj w nocy został zastrzelony przez policję.

– Zastrzelony? – powtórzył ze szczerym zdziwieniem Bonaventura.

– Policjanci przyszedli go przesłuchać, a on otworzył do nich ogień. Zginął, gdy wchodzili do jego mieszkania. Dokąd miał zawieźć ładunek? – spytał.

Bonaventura zdezorientowany nagłą zmianą tematu, zawahał się przez moment.

– Na lotnisko – powiedział w końcu.

– Lotnisko było wczoraj zamknięte. Strajkowali kontrolerzy lotu – poinformował go Brunetti, lecz z wyrazu jego twarzy domyślił się, że o tym wie. – Jakie otrzymał instrukcje, jeżeli nie mógłby dostarczyć ładunku?

– Takie same jak wszyscy kierowcy; wrócić z ciężarówką do fabryki i wstawić ją do garażu.

– Czy mógł wstawić samochód do własnego garażu?

– Skąd mam wiedzieć, co zrobił? – rzucił gniewnie Bonaventura. – Ciężarówka zaginęła i z tego, co pan powiedział, wynika, że kierowca nie żyje.

– Ciężarówka nie zaginęła – powiedział cicho Brunetti, nie spuszczać z oka Bonaventury. Zauważył, że próbuje ukryć zaskoczenie, potem zmienić wyraz twarzy, lecz zdobył się jedynie na groteskową parodię ulgi.

– Gdzie ona jest? – spytał w końcu.

– W policyjnym garażu. – Komisarz czekał na następne pytanie, lecz dyrektor milczał. – Razem z ładunkiem.

Bonaventura bezskutecznie starał się ukryć szok.

– Nie wysłano go do Sri Lanki – powiedział Brunetti. – Czy mógłby pan znaleźć te listy przewozowe, signor Bonaventura?

– Oczywiście. – Bonaventura zaczął przekładać papiery z jednej strony biurka na drugą, potem zebrał je na stos i przejrzał każdy z osobna. – Dziwne – stwierdził i podniósł wzrok na Brunettiego. – Nie mogę ich znaleźć. – Wstał. – Jeżeli pan zaczeka, poproszę sekretarkę, żeby je przyniosła.

Zanim zrobił pierwszy krok, Brunetti również podniósł się z miejsca.

– Może mógłby pan do niej zadzwonić – zaproponował.

Bonaventura uśmiechnął się.

– Właściwie to ma je brygadzysta, a on jest na rampie przeładunkowej.

Chciał wyminąć Brunettiego, lecz komisarz położył mu dłoń na ramieniu.

– Pójdę z panem, signor Bonaventura.

– To naprawdę niepotrzebne – odparł tamten, krzywiąc wargi.

– Myślę, że jednak tak – stwierdził Brunetti.

Nie miał pojęcia, jakie ma tu prawa i czy może zabronić czegoś Bonaventurze lub iść za nim. Był poza Wenecją, nawet poza granicami prowincji, w dodatku Bonaventura nie został o nic oskarżony. Lecz dla Brunettiego nie miało to żadnego znaczenia. Pozwolił dyrektorowi otworzyć drzwi gabinetu, a potem poszedł za nim na drugi koniec budynku do drzwi, które wychodziły na długą cementową rampę.

Stały przy niej dwie ciężarówki. Czterech ludzi pchało wózki wyładowane kartonowymi pudłami i wjeżdżało nimi do wnętrza wozów. Unieśli głowy na widok dwóch zbliżających się mężczyzn, zaraz jednak wrócili do roboty. Na dole, między ciężarówkami, rozmawiało dwóch pracowników z rękami w kieszeniach marynarek.

Bonaventura podszedł do brzegu rampy.

– Znalaziono ciężarówkę De Luki – zwrócił się do jednego z nich. – Z ładunkiem. Ten policjant chce przejrzeć listy przewozowe.

Na dźwięk słowa „policjant” wyższy z mężczyzn sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej pistolet. Brunetti dostrzegł ten ruch, dał nura z powrotem w otwarte drzwi i wyciągnął broń z kabury.

Nie usłyszał żadnego hałasu, żadnego strzału, żadnego krzyku, jedynie kroki, trzaśnięcie drzwi samochodu, potem drugie i warkot ciężarówki. Zamiast zobaczyć, co się stało, pobiegł korytarzem do frontowych drzwi budynku, gdzie przy

samochodzie z włączonym silnikiem czekał jego kierowca i czytał „Gazzettino dello Sport”.

Brunetti otworzył drzwi od strony pasażera i wskoczył do środka. Widoczny w oczach kierowcy strach zniknął, gdy rozpoznał komisarza.

– Ciężarówka wyjeżdża tylną bramą. Zawracaj i jedź za nią.

Kierowca rzucił gazetę na tylne siedzenie i wcisnął gaz, skręcając na tyły budynku, jeszcze zanim Brunetti zdążył sięgnąć po telefon. Za rogiem kierowca skręcił ostro w lewo, by ominąć pudła, które wypadły przez otwarte drzwi ciężarówki. Jednego nie udało mu się wyminąć i najechał na nie lewymi kołami. Z rozerwanego kartonu wysypały się buteleczki. Kiedy wyjechali za bramę, Brunetti zobaczył, że ciężarówka pędzi autostradą w kierunku Padwy, z łomotem otwartych tylnych drzwi.

Reszta była równie przewidywalna co tragiczna. Tuż za Resaną karabinierzy ustawili blokadę z dwóch wozów policyjnych. Próbuąc je wyminąć, kierowca ciężarówki skręcił w prawo na wyższą nitkę autostrady. W tym samym momencie mały fiat, prowadzony przez kobietę, która jechała po córkę do przedszkola, zwolnił przed blokadą z drugiej strony. Rozpędzona ciężarówka, wracając na drogę, uderzyła bokiem w samochód, zabijając kobietę na miejscu. Bonaventura i kierowca mieli zapięte pasy, więc nic im się nie stało, jedynie doznali szoku. Zanim zdążyli uwolnić się z pasów, ciężarówkę otoczyli policjanci, wyciągnęli ich z wozu i ustawili twarzami do drzwi. Czterech z karabinami zostało przy nich, a dwaj podbiegli do fiata, lecz zobaczyli, że nic się już nie da zrobić.

Samochód Brunettiego zatrzymał się i komisarz wysiadł. Wokół panowała absolutna cisza. Słyszał stuk własnych kroków po asfalcie i ciężkie oddechy dwóch policjantów. Jakaś metalowa część z brzękiem upadła na ziemię.

– Wsadźcie ich do samochodu – polecił sierżantowi.

Rozdział 24

Nastąpiła drobna wymiana zdań; dokąd zawieźć zatrzymanych na przesłuchanie: czy do Castelfranco, któremu podlegał ten obszar, czy do Wenecji, gdzie śledztwo się rozpoczęło? Brunetti słuchał przez chwilę policyjnej dyskusji, po czym oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Powiedziałem: wsadźcie ich do samochodu. Zabieramy ich do Castelfranco.

Policjanci wymienili spojrzenia, lecz żaden nie zaprotestował.

W gabinecie Bonina poinformowano Bonaventurę, że może zadzwonić do adwokata. Kiedy drugi zatrzymany wyjawiał, że nazywa się Roberto Sandi i jest brygadzystą w fabryce, jemu również powiedziano to samo. Bonaventura wymienił nazwisko weneckiego adwokata o wielkim doświadczeniu w sprawach karnych i spytał, czy może do niego zadzwonić.

– A co ze mną? – spytał brygadzysta, zwracając się do Bonaventury.

Ten go zignorował.

– Co ze mną? – powtórzył Sandi.

Bonaventura milczał.

Sandi, który mówił z piemonckim akcentem, popatrzył na stojącego obok policjanta.

– Gdzie jest wasz szef? – spytał. – Chcę rozmawiać z waszym szefem.

– Ja prowadzę tę sprawę – odezwał się Brunetti, zanim funkcjonariusz zdążył coś powiedzieć.

– W takim razie z panem chcę rozmawiać – oznajmił Sandi. W jego oczach błyszczała złość.

– Daj spokój, Roberto – odezwał się nagle Bonaventura, kładąc mu rękę na ramieniu. – Wiesz, że możesz skorzystać z mojego adwokata. Pogadamy z nim, jak

tylko tu przyjedzie.

Sandi strząsnął jego rękę z tłumionym przekleństwem.

– Żadnego adwokata. I na pewno nie twojego. Chcę pogadać z glinami. No, to gdzie możemy porozmawiać? – zwrócił się do Brunettiego.

– Roberto – powiedział Bonaventura groźnym tonem. – Chyba nie chcesz z nim rozmawiać.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić – odparował Sandi.

Brunetti otworzył drzwi i wyprowadził brygadzystę na korytarz. Jeden z mundurowych wskazał im mały pokój przesłuchań. Stało w nim biurko i cztery krzesła.

Brunetti usiadł na jednym z nich i zaczął czekać, aż Sandi również zajmie miejsce.

– No więc?

– No więc co? – spytał Sandi, nadal kipiąc gniewem, który sprowokował Bonaventura.

– Co chce mi pan powiedzieć o tych przesyłkach?

– Ile pan już wie?

– Ile osób jest w to zamieszanych? – nalegał Brunetti, ignorując jego pytanie.

– W co?

Komisarz oparł łokcie na biurku i splótł dłonie. Trwał w takiej pozycji prawie minutę, po czym spojrzał na Sandiego i powtórzył pytanie.

– Ile osób jest w to zamieszanych?

– W co? – spytał ponownie Sandi, uśmiechając się jak uczeń, który zadaje pytanie nauczycielowi, sądząc, że wprawi go w zawstydzenie.

Brunetti podniósł głowę, oparł się dłońmi o blat biurka i wstał. Bez słowa podszedł do drzwi i zapukał. W zakratowanym okienku pojawiła się twarz policjanta. Brunetti wyszedł na korytarz, zamknął drzwi i dał znać policjantowi, by pozostał na miejscu. Potem zajrzał do pokoju, w którym trzymano Bonaventurę.

Był sam. Komisarz przez dziesięć minut obserwował go zza szyby. Bonaventura siedział bokiem do drzwi, starając się na nie patrzeć ani nie reagować na kroki przechodzących korytarzem ludzi.

W końcu Brunetti wszedł do pokoju bez pukania. Bonaventura odwrócił głowę w jego stronę.

– Czego pan chce? – zapytał.

– Chcę porozmawiać z panem na temat przesyłek.

– Jakich przesyłek?

– Z lekarstwami. Do Sri Lanki, Kenii i Bangladeszu.

– Nie rozumiem. Są absolutnie legalne. Mamy na nie dokumenty.

Brunetti w to nie wątpił. Stał przy drzwiach, opierając się o nie plecami, z rękoma założonymi na piersi.

– Signor Bonaventura, czy będzie pan mówił, czy mam wrócić do pańskiego brygadzysty? – spytał Brunetti zmęczonym i lekko znudzonym głosem.

– Co on powiedział? – nie wytrzymał Bonaventura.

Brunetti przyglądał mu się przez chwilę.

– Chcę porozmawiać o tych przesyłkach – powtórzył.

Bonaventura podjął decyzję. Skrzyżował ramiona, naśladując Brunettiego.

– Nic nie powiem, póki nie zobaczę się z adwokatem.

Brunetti wyszedł z pokoju i wrócił do pomieszczenia, przy którym stał strażnik. Policjant cofnął się i otworzył mu drzwi.

Sandi uniósł głowę na jego widok.

– W porządku – oznajmił. – Co pan chce wiedzieć?

– Przesyłki, signor Sandi. – Brunetti wymienił jego nazwisko, by zarejestrowały je zainstalowane w suficie mikrofony, po czym usiadł na wprost niego. – Jaki był ich cel przeznaczenia?

– Sri Lanka, tak jak tej z ostatniej nocy. Kenia, Nigeria. Wiele różnych miejsc.

– Zawsze były to lekarstwa?

– Tak. Takie jak te, które znalazł pan w ciężarówce.

– Co to za lekarstwa?

– Przeważnie na nadciśnienie, trochę syropu na kaszel i na poprawienie samopoczucia. Są bardzo popularne w Trzecim Świecie. Można je kupować bez recepty. I antybiotyki.

– Ile z nich jest dobrych?

Sandi wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Większość jest przeterminowana lub wycofana z obiegu. To leki, których nie możemy sprzedawać w Europie, w każdym razie na Zachodzie.

– Co robicie? Zmieniacie nalepki?

– Nie bardzo wiem, nikt mi tego nie wyjaśniał. Ja jedynie zajmowałem się wysyłką – powiedział Sandi głosem doświadczonego kłamcy.

– Ale musiał się pan domyślać – nie ustępował Brunetti, łagodząc ton głosu, jakby sugerował, że ktoś tak inteligentny jak Sandi musi to wiedzieć. Kiedy Sandi nie odpowiedział, głos Brunettiego stał się ostrzejszy. – Signor Sandi, czas, żeby zaczął pan mówić prawdę.

Sandi zmierzył Brunettiego wzrokiem.

– Chyba tak właśnie się dzieje – odpowiedział, po czym kiwnął głową w stronę pokoju, w którym trzymano Bonaventurę. – On ma firmę zajmującą się zbieraniem wyrzucanych przez apteki leków. Miały być palone.

– A tak naprawdę?

– Palili pudełka.

– Z czym?

– Z makulaturą albo po prostu puste. Ważne, by miały odpowiedni ciężar. Dopóki waga się zgadzała, nikogo nie obchodziło, co jest w środku.

– Czy nikt nie sprawdzał, co oni robią?

Sandi kiwnął głową.

– Był przy tym człowiek z Ministerstwa Zdrowia.

– I?

– Zajęto się nim.

– A więc te lekarstwa, które nie zostały spalone, wysyłano samolotami do krajów Trzeciego Świata?

Sandi kiwnął głową.

– Wysyłano je? – spytał ponownie Brunetti, by mieć odpowiedź Sandiego na nagraniu z przesłuchania.

– Tak.

– I płacono za wysyłkę?

– Oczywiście.

– Ale te leki były przecież przeterminowane lub wycofane z obiegu.

Sandi poczuł się urażony.

– Wiele z tych lekarstw ma dłuższy termin ważności niż podawany przez Ministerstwo Zdrowia. Większość jest wciąż dobra. Można je brać znacznie dłużej, niż na to wskazuje napis na opakowaniu.

– Co jeszcze wysyłaliście?

Sandi popatrzył na niego, lecz nie odpowiedział.

– Im więcej powie mi pan teraz, tym lepiej dla pana.

– O ile lepiej?

– Sędziowie będą wiedzieli, że współpracował pan z nami, a to przyniesie panu korzyść.

– Jaką mam gwarancję?

Brunetti wzruszył ramionami.

– Co jeszcze wysyłaliście? – spytał po chwili milczenia.

– Powie im pan, że wam pomogłem? – upewnił się Sandi.

– Tak.

– Jaką będę miał gwarancję?

Brunetti znowu wzruszył ramionami.

Sandi spuścił głowę, nakreślił jakiś wzór na blacie biurka, po czym uniósł wzrok.

– Część przesyłanego towaru była bezwartościowa. Jedyne mąka lub cukier, czy czego tam się używa, by zrobić placebo. I barwiona woda lub olej w ampułkach.

– Rozumiem – powiedział Brunetti. – Gdzie to wszystko się robiło?

– Tam. – Sandi machnął ręką w kierunku, gdzie według jego mniemania znajdowała się fabryka Bonaventury. – Przeważnie na nocnej zmianie. Szykowali towar, naklejali nalepki i pakowali do pudełek. Potem ekspediowało się je na lotnisko.

– Dlaczego? – spytał Brunetti i widząc, że Sandi nie zrozumiał pytania, wyjaśnił: – Dlaczego placebo? Dlaczego nie prawdziwe lekarstwa?

– Leki na nadciśnienie są bardzo drogie. I, o ile wiem, niektóre leki dla diabetyków. To zdaje się kwestia składu. Więc żeby obniżyć koszty, robi się placebo. Niech pan jego o to zapyta – powiedział, wskazując głową sąsiedni pokój.

– A na lotnisku?

– Wszystko było tak, jak powinno być. Ładowaliśmy pudła do samolotów, a potem trafiały tam, gdzie trzeba. Nigdy nie mieliśmy z tym kłopotów. Wszystko zostało załatwione.

– Czy była to sprzedaż dla zysku, czy też część leków przekazywaliście bezpłatnie? – spytał Brunetti, bo przyszła mu do głowy nowa myśl.

– Większość sprzedawaliśmy organizacjom charytatywnym, jeżeli o to panu chodzi Tym pod patronatem ONZ. Udzielaliśmy im rabatu, a resztę odpisywaliśmy sobie od podatku. Jako darowiznę.

Brunetti starał się nie reagować na to, co mówi Sandi. Okazało się, że potrafi znacznie więcej niż tylko prowadzić ciężarówkę.

– Czy ktoś z ONZ sprawdzał zawartość przesyłek?

Sandi prychnął z lekceważeniem.

– Jedyne, na czym im zależało, to sfotografować się w momencie, gdy odbierają leki w obozach dla uchodźców.

– Czy do obozów wysyłaliście te same leki co w regularnych transportach?

– Nie. Głównie były to leki przeciw biegunce i dyzenterii wywołanej przez amebę. I dużo syropu na kaszel. Jak ludzie są tacy chudzi, to muszą chorować na jedną z tych chorób.

– Rozumiem – stwierdził Brunetti. – Jak długo pan się tym zajmował?

– Rok.

– W jakim charakterze?

– Brygadzisty. Najpierw pracowałem dla Mitriego, w jego fabryce. Potem przyszedłem tutaj.

Skrzywił się, jakby to wspomnienie wywołało w nim ból lub uczucie żalu.

– Czy Mitri też się tym zajmował?

Sandi kiwnął głową.

– Dopóki nie sprzedał fabryki.

– Dlaczego miałby ją sprzedawać? – spytał Brunetti.

Sandi wzruszył ramionami.

– Podobno otrzymał propozycję nie do odrzucenia. To znaczy: niebezpiecznie byłoby ją odrzucić. Podobno jakieś grube ryby chciały kupić zakład.

Brunetti domyślił się, o kogo chodzi, i zdziwił, że nawet tutaj Sandi boi się nazwać po imieniu organizację tych grubych ryb.

– Więc ją sprzedał?

Sandi kiwnął głową.

– Ale polecił mnie szwagrowi. Wzmianka o Bonaventurze przywróciła go chwili obecnej. – I przeklinam dzień, w którym zacząłem dla niego pracować.

– Z powodu tego? – spytał Brunetti, wskazując na zimne wnętrze, w którym siedzieli.

Sandi przytaknął ruchem głowy.

– A co z Mitrim? – spytał Brunetti.

Brygadzysta ściągnął brwi, udając zakłopotanie.

– Czy miał coś wspólnego z tą fabryką?

– Z którą?

Brunetti uderzył pięścią w blat biurka. Sandi drgnął nerwowo.

– Niech pan nie marnuje mojego czasu, signor Sandi! – krzyknął komisarz. – Niech pan nie marnuje mojego czasu głupimi pytaniami. – Pochylił się ku niemu. – Rozumie pan?

Sandi kiwnął głową.

– Dobrze. Więc co z tą fabryką? Czy Mitri miał w niej udział?

– Musiał mieć.

– Dlaczego?

– Przyjeżdżał tu czasami, by przygotować recepturę lub powiedzieć, jak coś powinno wyglądać. Chciał mieć pewność, że to, co trafia do pojemników, przypomina do złudzenia właściwy lek. – Popatrzył na Brunettiego. – Wtedy tego nie rozumiałem, ale myślę, że po to właśnie przyjeżdżał.

– Jak często?

– Raz na miesiąc, czasami częściej.

– Jak im się współpracowało? – spytał Brunetti. – Bonaventurze i Mitriemu – dodał szybko, by uprzedzić pytanie Sandiego.

Brygadzysta zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Nie za dobrze – odpowiedział. – Mitri był mężem jego siostry, musieli więc

się dogadywać, lecz nie przepadali za sobą.

– A co z morderstwem Mitriego? Coś pan o tym wie?

Sandi pokręcił energicznie głową.

– Nic. Zupełnie nic.

– A w fabryce coś na ten temat mówiono? – spytał Brunetti po chwili przerwy.

– Ludzie zawsze gadają.

– Na temat morderstwa, signor Sandi. Czy mówiono coś na temat morderstwa?

Sandi milczał, jakby usiłował sobie przypomnieć lub zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Chodziły słuchy, że Mitri chciał kupić fabrykę – zdecydował się wreszcie.

– Dlaczego?

– Dlaczego tak mówiono, czy dlaczego chciał ją kupić?

Brunetti wziął głęboki oddech.

– Dlaczego chciał ją kupić – wyjaśnił spokojnie.

– Bo był w tym lepszy od Bonaventury. Ten robił straszny bałagan. Nikt nie otrzymywał pieniędzy na czas. Organizacja szwankowała. Nigdy nie wiedziałem, kiedy towar będzie gotowy do wysyłki.

Sandi zacisnął wargi i z dezaprobatą pokręcił głową. Przypominał sumiennego księgowego, którego wyprowadziła z równowagi finansowa nieodpowiedzialność.

– Twierdzi pan, że jest brygadzystą w fabryce.

Sandi kiwnął głową.

– Wygląda na to, że wiedział pan więcej na temat zarządzania niż właściciel.

Sandi ponownie kiwnął głową, jakby z satysfakcją, że ktoś to dostrzegł.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi, a kiedy się uchyliły, Brunetti zobaczył della Corte, który dawał mu znaki, żeby wyszedł.

– Jego żona jest tutaj – poinformował, kiedy Brunetti podszedł do niego.

– Bonaventury? – spytał komisarz.

– Nie, Mitriego.

Rozdział 25

– Jak ona się tu znalazła? – spytał Brunetti. – To znaczy skąd wiedziała, że powinna przyjść? – wyjaśnił, widząc zakłopotanie na twarzy della Corte.

– Była z żoną Bonaventury i przyszła tu, gdy się dowiedziała, że został aresztowany.

Z powodu porannych wydarzeń Brunetti stracił poczucie czasu i teraz stwierdził ze zdumieniem, że jest już prawie druga. Minęło kilka godzin, odkąd przywieźli zatrzymanych na posterunek, lecz on był zbyt zajęty, by to zauważyć. Nagle poczuł głód i delikatne drżenie ogarnęło całe ciało, jakby płynął przez nie prąd elektryczny.

W pierwszej chwili chciał pójść do żony Mitriego i natychmiast się z nią rozmówić, wiedział jednak, że nic dobrego z tego nie wyjdzie, dopóki czegoś nie zje i nie powstrzyma drżenia. Czy była to oznaka starzenia się, czy stresu, czy też jakiejś choroby, która mu zagrażała?

– Muszę coś zjeść – powiedział.

Della Corte popatrzył na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

– Za rogiem jest bar, gdzie możesz zjeść kanapkę.

Poprowadził Brunettiego do drzwi, pokazał, którądy iść, po czym oznajmił, że musi zadzwonić do Padwy, i wrócił na posterunek.

Brunetti znalazł bar, zamówił kanapkę i dwie szklanki wody mineralnej. Nie zaspokoily głodu, ale przynajmniej drżenie ustało. Mimo to martwiła go tak silna reakcja organizmu.

Po powrocie na posterunek poprosił o numer komórki Palmieriego. Kiedy go dostał, zadzwonił do signoriny Elettry, polecił, żeby zostawiła to, nad czym teraz pracuje, i postarała się o wykaz wszystkich rozmów, jakie odbył Palmieri w ciągu

ostatnich dwóch tygodni, a także tych łączonych z biur i domów Mitriego i Bonaventury. Poprosił, żeby nie odkładała słuchawki, i zapytał policjanta, który pozwolił mu skorzystać z telefonu, dokąd zabrano ciało Palmieriego. Kiedy się dowiedział, że do kostnicy miejscowego szpitala, polecił sekretarce, żeby przekazała to Rizzardiemu i poprosiła o przysłanie kogoś po próbki tkanek Palmieriego. Chciał je porównać z tymi, które znaleziono pod paznokciami Mitriego.

Po pierwszej rozmowie z panią Mitri komisarz uwierzył, że ona nic nie wie na temat śmierci męża, nie zamierzał więc ponownie jej przesłuchiwać. Teraz zaczął wątpić w słuszność swojej decyzji.

Umundurowany funkcjonariusz czekał na niego przed drzwiami i poprowadził korytarzem do pokoju sąsiadującego z tym, w którym trzymano Bonaventurę.

– Teraz rozmawia z nim adwokat – poinformował policjant, wskazując na drzwi obok. – A ta kobieta jest tu – dodał.

– Czy oni przyszli razem? – spytał Brunetti.

– Nie, commissario. Adwokat przyszedł zaraz po niej, lecz się nie widzieli.

Brunetti podziękował i zajrzał do środka przez specjalną szybę. Prawnik siedział twarzą do Bonaventury, lecz plecami do drzwi. Komisarz przeszedł do następnego pomieszczenia i obserwował przez chwilę czekającą w środku kobietę.

Dziś miała na sobie wełnianą garsonkę z workowatą spódnicą. Takie garsonki od lat cieszyły się popularnością wśród kobiet w jej wieku, o podobnej tuszy i pozycji, i pewnie dalej tak będzie. Pani Mitri była lekko umalowana, lecz po szmince nie zostało już ani śladu. Zaokrąglone policzki wyglądały, jakby wydymała je, by rozśmieszyć dziecko.

Siedziała z rękoma złożonymi na łączonych kolanach i wpatrywała się w okno w górnej części drzwi. Sprawiała wrażenie starszej niż za pierwszym razem, lecz Brunetti nie potrafił powiedzieć dlaczego. Ich oczy się spotkały. Przez chwilę

wydało mu się, że ona go widzi, chociaż wiedział, że to niemożliwe. Nie spuszczała z niego wzroku i to on pierwszy uciekł spojrzeniem w bok.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Dzień dobry, *signora*.

Podszedł i wyciągnął rękę na powitanie. Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Nie wstała, jedynie podała mu rękę i odpowiedziała lekkim uściskiem. Jej twarz pozostawała obojętna. Brunetti usiadł naprzeciwko wdowy.

– Przyszła pani zobaczyć się z bratem, *signora*?

Popatrzyła na niego oczami zawstydzonej dziewczynki i oblizwała nerwowo wargi.

– Chciałam go zapytać... – zaczęła, lecz urwała.

– O co, *signora*? – pomógł jej Brunetti.

– Nie wiem, czy powinnam to mówić policjantowi.

– A dlaczego? – Brunetti pochylił się lekko w przód.

– Bo... – urwała. – Ja muszę wiedzieć – dokończyła, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Co pani musi wiedzieć, *signora*? – spytał Brunetti.

Zacisnęła mocno wargi. Wyglądała teraz jak bezzębna staruszka.

– Muszę wiedzieć, czy on to zrobił – odpowiedziała w końcu. – Lub polecił zrobić – dodała jakby pod wpływem nowej myśli.

– Ma pani na myśli śmierć męża, *signora*?

Kiwnęła głową.

– Czy sądzi pani, że mógł być odpowiedzialny za jego śmierć? – spytał ponownie Brunetti, pamiętając o znajdujących się w pokoju mikrofonach i taśmie utrwalającej przebieg przesłuchania.

– Ja nie... – zaczęła, lecz zmieniła zdanie. – Tak – wyszeptała tak cicho, że mikrofony mogły tego nie zarejestrować.

– Dlaczego pani sądzi, że jest w to zamieszany? – spytał Brunetti.

Poruszyła się niespokojnie na krześle i wykonała ruch, który obserwował u kobiet od ponad czterdziestu lat: uniosła się, wygładziła od spodu fałdy spódnicy, po czym usiadła i złączyła kolana i kostki.

Przez chwilę miał wrażenie, że uznała ten gest za wystarczającą odpowiedź, dlatego powtórzył pytanie.

– Dlaczego pani sądzi, że może być w to zamieszany?

– Kłócili się – odpowiedziała.

– O co?

– O interesy.

– Czy mogłaby pani to sprecyzować, signora? O jakie interesy?

Pokręciła kilka razy głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ma o niczym pojęcia.

– Mąż nigdy nic mi nie mówił o interesach – odrzekła. – Uważał, że nie muszę wiedzieć.

Brunetti ponownie zadał sobie w myślach pytanie, ile razy już to słyszał i ile razy taka odpowiedź była jedynie próbą wykręcenia się od odpowiedzialności. Wierzył jednak, że ta tęga kobieta mówi prawdę, że mąż rzeczywiście nie uważał za właściwe dzielić się z nią sprawami zawodowymi. Przypomniał sobie, jak rozmawiał z nim w gabinecie Patty: był to człowiek elegancki, ładnie się wysławiający, można powiedzieć: gładki w każdym calu. Zupełnie nie pasował do tej kobiety o przyprószonych siwizną włosach, w ciasnej garsonce. Spojrzał na jej nogi i zauważył, że ma pantofelki na grubym obcasie, z boleśnie wąskimi noskami. Na lewej stopie widniało wyraźne zgrubienie przy dużym palcu, wypychające skórę buta. Czy małżeństwo rzeczywiście jest wielką niewiadomą?

– Kiedy się pokłócili, *signora*?

– Cały czas się kłócili, a zwłaszcza w zeszłym miesiącu. Chyba musiało

wydarzyć się coś, co wywołało gniew Paola. Nigdy za sobą nie przepadali, lecz ze względu na rodzinę i interesy musieli się jakoś dogadywać.

– Czy w zeszłym miesiącu zdarzyło się coś szczególnego? – spytał.

– Chyba była jakaś ostra kłótnia – odpowiedziała tak cicho, że Brunetti znowu pomyślał o przyszłych słuchaczach taśmy.

– Kłótnia między pani mężem i bratem?

– Tak – odparła, kiwając jednocześnie głową.

– Czemu pani tak uważa, signora?

– Mieli spotkanie u nas w mieszkaniu. To było na dwa dni przed owym wieczorem.

– Przed jakim wieczorem, signora?

– Kiedy... kiedy zamordowano mojego męża.

– Rozumiem. A z czego pani wnioskuje, że doszło do kłótni? Słyszała ją pani?

– Och, nie – odparła pospiesznie i popatrzyła na niego ze zdziwieniem, jakby podniesione głosy w domu państwa Mitrich były czymś niedopuszczalnym. – Wywnioskowałam to z zachowania Paola, kiedy przyszedł na górę po rozmowie z bratem.

– Czy coś powiedział?

– Tylko to, że jest niekompetentny.

– Czy miał na myśli brata?

– Tak.

– Coś jeszcze?

– Powiedział, że Sandro rujnuje fabrykę i cały interes.

– Czy wie pani, o której fabryce mówił?

– Chyba o tej tu, w Castelfranco.

– A dlaczego pani męża interesowała ta fabryka?

– Bo zainwestował w nią pieniądze.

– Swoje pieniądze?

Pokręciła głową.

– Nie.

– A czyje, signora?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Moje – wyjaśniła w końcu.

– Pani?

– Tak. Wniosłam do małżeństwa sporo pieniędzy. Ale były zapisane na moje nazwisko. Taka była wola ojca – dodała, podkreślając to lekkim machnięciem ręki.

– Paolo doradzał mi, co z nimi zrobić. A kiedy Sandro powiedział, że chce kupić fabrykę, obaj zaproponowali, żebym w nią zainwestowała. To było rok temu. A może dwa. – Urwała, widząc zdziwioną minę Brunettiego. – Przepraszam, ale nie przywiązuję wagi do tych spraw. Paolo kazał mi podpisać jakieś papiery, a urzędnik w banku wyjaśnił, o co chodzi. Ale nie bardzo zrozumiałam, na co były te pieniądze. – Umilkła i przesunęła dłonią po spódnicy. – Poszły na fabrykę Sandra, a ponieważ należały do mnie, Paolo uważał, że są również jego.

– Czy wie pani, ile zainwestowała w tę fabrykę?

Popatrzyła na niego jak uczennica, która za chwilę wybuchnie płaczem, bo nie może sobie przypomnieć nazwy stolicy Kanady.

– Skoro pani nie wie, nie szkodzi – dodał. – Nie musimy znać dokładnej sumy. Mogli to później sprawdzić.

– Chyba trzysta lub czterysta milionów lirów – odpowiedziała.

– Rozumiem. Dziękuję. Czy mąż coś jeszcze mówił tego wieczoru po rozmowie z pani bratem?

Zawahała się, a Brunetti pomyślał, że usiłuje sobie przypomnieć.

– Powiedział, że fabryka traci pieniądze. Ze sposobu, w jaki to stwierdził, wynikało, że zainwestował w nią również własne pieniądze.

– Oprócz pani?

– Tak. Tylko nieoficjalnie. Myślę, że chciał mieć większą kontrolę nad tym, co tam się dzieje.

– Czy pani mąż wspomniał może, co zamierza zrobić?

– Och, nie. Najwyraźniej zaskoczyło ją to pytanie. – Nigdy mi nie mówił o takich rzeczach.

Ciekawe, o jakich rzeczach jej mówił? – pomyślał Brunetti, lecz uznał, że lepiej nie pytać.

– Potem poszedł do swojego pokoju i następnego dnia już o tym nie wspominał, wywnioskowałam więc, że jakoś się z Sandrem pogodzili.

Brunetti natychmiast wychwycił określenie „do swojego pokoju”, które nie świadczyło o szczęśliwym związku. Postarał się, by jego głos brzmiał spokojnie.

– Proszę mi wybaczyć, signora, że o to pytam, lecz czy mogłaby mi pani powiedzieć, jakie stosunki panowały między panią i pani mężem?

– Stosunki?

– Powiedziała pani, że poszedł do swojego pokoju – wyjaśnił cichym głosem.

– Ach! – wyrwało jej się niechcący.

Brunetti czekał.

– Jego już nie ma, signora, więc chyba może mi pani powiedzieć – odezwał się w końcu.

Uniosła wzrok. Brunetti dostrzegł łzy zbierające się w jej oczach.

– Były inne kobiety – wyszeptała. – Od lat. Kiedyś poszłam za nim i czekałam pod jej domem w deszczu. – Po policzkach płynęły łzy, lecz nie zwróciła na nie uwagi. Zaczęły kapać na bluzkę, zostawiając na materiale długie ślady. – Raz wynajęłam detektywa, żeby go śledził, I zaczęłam odsłuchiwać jego rozmowy telefoniczne. Czasami przegrywałam je i słuchałam, jak rozmawia z innymi kobietami i mówi te same rzeczy, które kiedyś mówił do mnie. – Łzy odebrały jej

głos. Przez dłuższy czas milczała, lecz Brunetti jej nie ponaglał. – Kochałam go całym sercem – podjęła przerwany wątek. – Od pierwszego dnia, gdy go ujrzałam. Jeżeli Sandro to zrobił... Jej oczy ponownie zaszyły łzami, lecz otarła je wierzchem dłoni. – Chcę, żeby się pan tego dowiedział, i chcę, żeby poniósł karę. Dlatego zamierzałam z nim porozmawiać.

Zamilkła i spuściła wzrok.

– Czy powie mi pan, co on powiedział? – spytała, patrząc na swoje dłonie spoczywające na kolanach.

– Nie sądzę, bym mógł to teraz zrobić, signora. Ale potem oczywiście.

– Dziękuję – odrzekła, uniosła głowę i znowu ją spuściła.

Nagle wstała z miejsca i ruszyła do drzwi. Brunetti znalazł się przy nich pierwszy, żeby je przed nią otworzyć.

– W takim razie wracam do domu – oznajmiła, zanim zdążył coś powiedzieć, i wyszła z pokoju.

Rozdział 26

Wrócił do biurka funkcjonariusza, który pozwolił mu skorzystać z telefonu, i nie pytając o zgodę, zadzwonił do signoriny Elettry. Jak tylko usłyszała jego głos, poinformowała, że technik jest w drodze do kostnicy w Castelfranco, a potem poprosiła o numer faksu. Kiedy – za zgodą sierżanta dyżurnego – przekazał go sekretarce, przypomniał sobie, że nie zadzwonił rano do Paoli, i wystukał numer domowy. Nikt się nie zgłaszał, nagrał więc wiadomość, że musi jeszcze zostać w Castelfranco i wróci po południu.

Potem ukrył twarz w dłoniach. Po chwili usłyszał, że ktoś do niego mówi.

– Przepraszam, *commissario*, ale to właśnie przyszło.

Uniósł głowę i zobaczył młodego policjanta, który stał przed biurkiem. W ręku trzymał kilka zwojów papieru.

Komisarz uśmiechnął się niepewnie do młodego człowieka i wziął od niego papiery. Rozłożył je na biurku i rozprostował, jak tylko się dało. Potem przyjrzał się kolumnom, z zadowoleniem stwierdzając, że signorina Elettra zaznaczyła gwiazdką każdą rozmowę, która odbywała się między trzema interesującymi go numerami, a potem rozdzielił papiery na trzy kupki: Palmieri, Bonaventura i Mitri.

W ciągu dziesięciu dni poprzedzających morderstwo Mitriego odnotowano połączenia z telefonu komórkowego Palmieriego z telefonem stacjonarnym w Interfarze. Jedna z rozmów trwała siedem minut. Dzień przed morderstwem o dwudziestej pierwszej dwadzieścia siedem dzwoniło z telefonu domowego Bonaventury do Mitriego. Rozmowa trwała dwie minuty. W wieczór morderstwa, o mniej więcej tej samej porze, ktoś zadzwonił z telefonu Mitriego do Bonaventury. Połączenie trwało piętnaście sekund. Potem były jeszcze trzy z telefonu fabrycznego z komórką Palmieriego i jedno między telefonami

domowymi Bonaventury i Mitriego.

Brunetti złożył papiery i wyszedł na korytarz. Kiedy został wpuszczony do pokoju, w którym trzymano Bonaventurę, zastał tam również ciemnowłosego mężczyznę. Na stole przed nim leżał notes, a obok stała mała skórzana walizka w tym samym odcieniu. Kiedy gość się odwrócił, Brunetti rozpoznał w nim Piera Candianiego z Padwy, adwokata od spraw karnych. Candiani miał na nosie okulary bez oprawek. Spoglądające zza nich ciemne oczy emanowały zaskakującą jak na adwokata kombinacją inteligencji i szczerości.

Candiani wstał i wyciągnął rękę.

– *Commissario* – powiedział, ściskając mu dłoń.

– Mecenasiu.

Bonaventurze, który nie ruszył się z miejsca, Brunetti kiwnął głową.

Candiani wysunął wolne krzesło i zaczekał, aż komisarz zajmie miejsce, dopiero wtedy sam usiadł.

– Domyślam się, że nasza rozmowa jest nagrywana – powiedział, wskazując ręką na sufit.

– Tak – przyznał Brunetti, po czym, by nie tracić czasu, podał datę, godzinę i nazwiska obecnych w pokoju.

– O ile mi wiadomo, rozmawiał pan już z moim klientem – zaczął Candiani.

– Tak. Pytałem go o transporty leków, które Interfar wysyłał do różnych krajów.

– Czy chodzi o przepisy Europejskiej Rady Ekonomicznej? – zapytał Candiani.

– Nie.

– Więc o co?

Brunetti spojrzał na Bonaventurę, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i jedną ręką na oparciu krzesła.

– Chodzi o przesyłki do krajów Trzeciego Świata.

Candiani zapisał coś w notesie.

– A czemu policję interesują te przesyłki? – spytał adwokat, nie podnosząc głowy.

– Wszystko wskazuje na to, że były w nich lekarstwa nienadające się do użytku, to znaczy przeterminowane, a część z nich zawierała substancje tak spreparowane, by wyglądały jak prawdziwe lekarstwa.

– Rozumiem. – Candiani przewrócił stronę w notesie. – A jakie ma pan na to dowody?

– Wspólnika.

– Wspólnika? – spytał adwokat z lekkim sceptycyzmem w głosie. – A mogę wiedzieć, co to za wspólnik? – Tym razem dała o sobie znać wyraźna wątpliwość.

– Brygadzista z fabryki.

Candiani spojrzął na swojego klienta, który wzruszył ramionami w geście zakłopotania czy też niewiedzy.

– I chciałby pan zapytać o to pana Bonaventurę?

– Tak.

– Czy tylko o to? – Candiani uniósł wzrok znad notesu.

– Nie. Chciałbym też zapytać pana Bonaventurę, co wie na temat morderstwa swego szwagra.

Tym razem na twarzy Bonaventury pojawiło się coś na kształt zdumienia.

– Dlaczego? – Candiani znowu pochylił się nad notesem.

– Bo przypuszczamy, że może być w jakiś sposób zamieszany w morderstwo signora Mitriego.

– To znaczy w jaki?

– O to właśnie chciałbym zapytać pana Bonaventurę – wyjaśnił Brunetti.

Candiani znowu popatrzył na swojego klienta.

– Czy chciałby pan odpowiedzieć na pytania komisarza?

– Nie wiem, czy potrafię – odparł Bonaventura. – Lecz oczywiście postaram się w miarę możliwości.

Candiani spojrział na Brunettiego.

– Jeżeli zamierza pan przesłuchać mojego klienta, *commissario*, to proszę bardzo.

– Chciałbym wiedzieć – zaczął Brunetti, zwracając się bezpośrednio do Bonaventury – co pana łączyło z Ruggierem Palmierim lub Michele De Luca, bo pod takim nazwiskiem pracował dla pańskiej firmy.

– Tym kierowcą?

– Tak.

– Jak już panu mówiłem, *commissario*, widywałem go od czasu do czasu na terenie fabryki. Lecz był tylko kierowcą. Mogłem z nim rozmawiać raz czy dwa, ale nic poza tym.

Bonaventura nie zapytał, dlaczego Brunettiego to interesuje.

– Więc nie miał pan z nim żadnych interesów oprócz sporadycznych kontaktów w pracy?

– Nie – odparł Bonaventura. – Mówiłem panu, był jedynie kierowcą.

– Nie dawał mu pan nigdy żadnych pieniędzy? – spytał Brunetti, mając nadzieję, że na banknotach znalezionych w portfelu Palmieriego znajdą się odciski palców Bonaventury.

– Oczywiście, że nie.

– I widywał go pan lub rozmawiał z nim tylko na terenie fabryki?

– Już to mówiłem. – Bonaventura nie krył irytacji.

Brunetti zwrócił się do Candianiego.

– Myślę, że to na razie wszystko, o co chciałbym spytać pańskiego klienta.

Obaj panowie byli wyraźnie zaskoczeni, lecz adwokat zareagował pierwszy. Wstał i zamknął notes.

– W takim razie możemy już iść? – zapytał, sięgając po walizkę.

Gucci – pomyślał Brunetti.

– Obawiam się, że nie.

– Słucham? – Candiani zaprezentował teatralne wprost zdziwienie, jakie często można zobaczyć w czasie procesów sądowych. – A dlaczego nie?

– Przypuszczam, że policja z Castelfranco zamierza postawić panu Bonaventurze sporą listę zarzutów.

– Na przykład jakich?

– Ucieczka z aresztu, utrudnianie śledztwa, spowodowanie wypadku samochodowego ze skutkiem śmiertelnym, żeby wymienić tylko kilka.

– To nie ja prowadziłem – wtrącił Bonaventura z wściekłością w głosie.

Brunetti popatrzył na Candianiego. Oczy adwokata zwęziły się lekko, nie miał jednak pewności, czy to ze zdziwienia, czy gniewu.

Candiani wstał, schował notes i zamknął walizkę.

– Chciałbym się jednak upewnić, commissario, że policja w Castelfranco rzeczywiście zamierza to zrobić. Czysta formalność – dodał, jakby chciał wyeliminować ewentualną wątpliwość wynikającą z jego słów.

– Oczywiście – powiedział Brunetti, również wstając.

Zapukał w szklaną szybę, by wezwać czekającego na korytarzu strażnika, i wyszedł z adwokatem, pozostawiając Bonaventurę samego. Udali się na rozmowę z Boninem, który potwierdził słowa Brunettiego, przyznając, że policja w Castelfranco rzeczywiście zamierza postawić Bonaventurze kilka poważnych zarzutów.

Strażnik odprowadził adwokata do pokoju przesłuchań, by mógł poinformować o tym swojego klienta, Brunetti zaś pozostał z Boninem.

– Macie wszystko? – spytał.

Bonino kiwnął głową.

– Mamy sprzęt najnowszej generacji, rejestruje najcichszy szept, nawet ciężki oddech. Tak, mamy wszystko.

– A zanim tam wszedłem?

– Nie. Nie możemy go włączyć, dopóki w pokoju nie znajdzie się funkcjonariusz policji. Taka jest procedura.

– Naprawdę? – Brunetti nie krył zdziwienia.

– Naprawdę – powtórzył Bonino. – W zeszłym roku przegraliśmy sprawę, bo obrona dowiodła, że podsłuchiwaliśmy to, co podejrzany mówił adwokatowi. Komendant polecił więc, żeby nie robić żadnych wyjątków. Zawsze czekamy na funkcjonariusza.

Brunetti kiwnął głową.

– Weźmiecie jego odciski palców, jak tylko wyjdzie adwokat? – zapytał.

– By porównać z tymi na banknotach?

Brunetti przytaknął ruchem głowy.

– Już to zrobiliśmy – odparł Bonino z lekkim uśmiechem. – Zupełnie nieoficjalnie. Rano pił wodę mineralną ze szklanki i kiedy skończył, zdjęliśmy z niej trzy dobre odciski.

– I?

– I nasz człowiek z laboratorium mówi, że pasują. Przynajmniej dwa z nich wydają się identyczne z tymi na banknotach.

– Sprawdzę również jego konto w banku – powiedział Brunetti. – Te banknoty pięćsettyśięczne wyglądają na nowe. Większość ludzi nie chce ich brać: ciężko je rozmiąć. Nie wiem, czy będą mieli spis numerów, jeśli tak, to...

– Niech pan nie zapomina, że on ma Candianiego – powiedział Bonino. – Zna go pan?

– Wszyscy w Veneto go znają.

– Ale mamy wykaz rozmów z człowiekiem, którego, jak twierdzi, zna słabo,

i mamy te odciski – upierał się Brunetti.

– A on nadal będzie miał Candianiego.

Rozdział 27

Przewidywania Bonina okazały się prorocze.

Bank w Wenecji miał spis numerów banknotów pięćsettyśięcznych, wydanych w dniu, w którym Bonaventura podjął piętnaście milionów w gotówce. Wśród nich były numery banknotów znalezionych w portfelu Palmieriego. Wątpliwość, że są to te same banknoty, rozwiały znalezione na nich odciski palców Bonaventury.

Candiani, występujący w imieniu Bonaventury, stwierdził, że nie ma w tym niczego dziwnego. Jego klient podjął te pieniądze, by spłacić prywatną pożyczkę zaciągniętą u szwagra, Paola Mitriego, i oddał mu ją następnego dnia po wypłaceniu z banku, to znaczy w dniu morderstwa. Fragmenty skóry Palmieriego pod paznokciami Mitriego wyjaśniały całą sprawę: Palmieri okradł Mitriego i zostawił list, by odciągnąć od siebie podejrzenia. Zabił Mitriego przez przypadek lub celowo, dokonując kradzieży.

Z argumentem rozmów telefonicznych Candiani szybko się rozprawił, wyjaśniając, że fabryka Interfar ma centralę i wszystkie połączenia są rejestrowane jako rozmowy z numeru centrali. Tak więc każdy, z każdego telefonu w fabryce, mógł zadzwonić na komórkę Palmieriego, podobnie jak on sam mógł zadzwonić do fabryki po to tylko, by poinformować o zwłoce w wysyłce.

Zapytany o połączenie, zarejestrowane w wieczór morderstwa, między jego domowym numerem a telefonem w mieszkaniu Mitriego, Bonaventura zeznał, że to dzwonił Mitri, by zaprosić jego i żonę na kolację w przyszłym tygodniu. Kiedy zwrócono mu uwagę, że rozmowa trwała zaledwie piętnaście sekund, Bonaventura przypomniał sobie, że Mitri przerwał ją, tłumacząc, że ktoś dzwoni do drzwi mieszkania, i z przerażeniem uświadomił sobie, że to mógł być morderca.

Obaj panowie mieli czas na spreparowanie historii wyjaśniającej ich ucieczkę

z fabryki. Sandi powiedział, że informację Bonaventury o pojawieniu się policji odebrał jako polecenie ucieczki i że tamten pierwszy pobiegł do ciężarówki. Bonaventura z kolei upierał się przy wersji, że Sandi zagroził mu bronią i kazał wsiąść do samochodu. Natomiast trzeci obecny przy tym mężczyzna zeznał, że niczego nie widział.

W sprawie leków Candianiemu nie udało się przekonać organów sprawiedliwości. Sandi powtórzył i rozszerzył swoje zeznania, podając nazwiska i adresy pracowników nocnej zmiany, których przywożono do fabryki, by pakować fałszywe leki. Ponieważ płacono im gotówką, nie było wyciągów bankowych z wypłatami poborów, lecz Sandi przedstawił karty czasowe z nazwiskami i podpisami. Przekazał również policji bogatą listę wcześniej wysłanych transportów: z datami, informacjami o zawartości i miejscu przeznaczenia.

Do działania przystąpiło Ministerstwo Zdrowia. Fabrykę Interfar zamknięto, budynki opieczętowano, a inspektorzy pootwierali pudła, buteleczki i tubki. Wszystkie lekarstwa w głównej części fabryki odpowiadały informacjom zawartym na etykietkach, lecz w jednym z sektorów magazynu stały skrzynie z pudełkami zawierającymi substancje, które po sprawdzeniu okazały się zupełnie bezwartościowe. W trzech skrzyniach znajdowały się plastikowe butelki, oznaczone jako syrop na kaszel. Analiza wykryła, że jest to mieszanina wody, cukru i substancji przeciw zamarzaniu, szkodliwa, a nawet śmiertelna dla kogoś, kto by ją zażył.

W innych skrzyniach były setki pudełek z lekami, które dawno straciły ważność, a także paczki gazy i nici chirurgicznych, kruszących się pod dotykiem, bo tak długo leżały gdzieś w innych magazynach. Sandi przedstawił rachunki i listy przewozowe, które miały towarzyszyć tym skrzyniom do miejsc przeznaczenia w krajach, gdzie panowały głód, wojny i epidemie, a także kosztorys dla międzynarodowych organizacji humanitarnych, z niecierpliwością oczekujących na

rozdzielenie „darów” wśród potrzebujących.

Odsunięty od śledztwa na wyraźne polecenie Patty, wykonującego z kolei polecenie kogoś z Ministerstwa Zdrowia, Brunetti śledził bieg sprawy w gazetach. Bonaventura przyznał się do współudziału w sprzedaży fałszywych leków, lecz obstawał przy twierdzeniu, że wszystko wymyślił Mitri. Tłumaczył, że kiedy kupił Interfar, zatrudnił w nim większość personelu z fabryki, którą Mitri musiał sprzedać. Razem z nimi przyszło całe zło i korupcja, wobec których był bezsilny. Zaczął protestować, lecz wówczas szwagier zagroził wycofaniem pożyczki i pieniędzy żony, a to doprowadziłoby Bonaventurę do ruiny finansowej. Własna słabość i bezradność wobec przewagi Mitriego zmusiła go do kontynuowania produkcji i sprzedaży fałszywych leków. W przeciwnym razie groziło mu bankructwo i wstyd.

Z tego, co pisały gazety, Brunetti wywnioskował, że jeżeli ta sprawa w ogóle znajdzie się w sądzie, Bonaventura zostanie skazany jedynie na grzywnę, i to niezbyt wysoką, ponieważ etykiety Ministerstwa Zdrowia nie zostały zmienione ani sfalszowane. Brunetti nie wiedział, co grozi za sprzedaż przeterminowanych leków, zwłaszcza do innego kraju. Na pozór prosta sprawa fałszowania leków także się komplikowała przez to, że nie sprzedawano ich we Włoszech. Uznał to jednak za nic niewarte spekulacje. Bonaventura powinien odpowiadać za morderstwo, nie za oszustwo, za pozbawienie życia Mitriego i wszystkich, którzy zmarli w wyniku zażywania sprzedawanych przez niego leków.

Brunetti był w tym przekonaniu osamotniony. Gazety uważały, że to Palmieri zabił Mitriego, chociaż żadna nie wycofała się z poprzedniej koncepcji, że zrobił to fanatyk zachęcony przez Paolę. Sąd zdecydował nie wnosić przeciw niej oskarżenia i sprawa trafiła do archiwum.

Kilka dni po zwolnieniu Bonaventury do domu i nałożeniu na niego aresztu domowego, gdy Brunetti siedział w salonie, czytając dzieło Arriana o kampaniach

Aleksandra Wielkiego, zadzwonił telefon. Komisarz uniósł głowę, czekając, aż pracująca w gabinecie Paola podniesie słuchawkę. Po trzecim sygnale wrócił do lektury, a ściślej – do życzenia Aleksandra, żeby przyjaciele oddawali mu boski pokłon. Wkrótce zapomniał, gdzie jest, i przeniósł się w odległe czasy i miejsce.

– To do ciebie – powiedziała Paola, stając w drzwiach. – Kobieta.

– Hmm? – mruknął Brunetti, podnosząc wzrok, lecz nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie jest.

– Kobieta – powtórzyła Paola.

– Jaka kobieta? – spytał Brunetti, zaznaczając stronę zużytym biletem tramwajowym, i odłożył książkę na kanapę.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Paola. – Nie podsłuchuję twoich rozmów.

Zamarł zgięty wpół jak stary człowiek mający kłopoty z kręgosłupem.

– *Madre di Dio!* – wykrzyknął. Poderwał się z kanapy i popatrzył na Paolę, która stała w drzwiach, z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co się stało, Guido? Coś z kręgosłupem?

– Nie, nie, nic mi nie jest. Myślę, że wreszcie znalazłem. Tym razem go mam.

Podszedł do szafy i wyjął z niej płaszcz.

– Co robisz? – spytała Paola.

– Wychodzę – odpowiedział, nie próbując niczego wyjaśnić.

– Co mam powiedzieć tej kobiecie?

– Powiedz, że mnie nie ma – odrzekł i chwilę później rzeczywiście go nie było.

Drzwi otworzyła mu signora Mitri, bez makijażu, z siwymi odroślami w miejscach, gdzie włosy się rozdzielały. Ubrana była w bezkształtną brązową sukienkę, w której wyglądała jeszcze grubiej. Kiedy podszedł, by wymienić uścisk dłoni, owionął go lekki zapach czegoś słodkiego, wermutu lub marsali.

– Przyszedł mi pan powiedzieć? – spytała, gdy usiedli w salonie po obu

stronach niskiego stołu, na którym stały trzy brudne kieliszki i pusta butelka wermutu.

– Nie, *signora*, niestety, nie mam pani nic do przekazania.

W jej oczach błysnęło rozczarowanie. Splotła dłonie i chwilę milczała.

W końcu podniosła na niego wzrok.

– Miałam nadzieję – szepnęła.

– Czytała pani gazety, *signora*?

Nie musiała pytać, o co mu chodzi. Pokręciła głową.

– Muszę o coś panią zapytać – powiedział Brunetti.

– O co? – spytała neutralnym tonem, nie okazując zbytniego zainteresowania.

– Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, powiedziała pani, że podsłuchiwała rozmowy męża. Z innymi kobietami – dodał, gdy nie zareagowała.

Tak jak się obawiał, zaczęła płakać. Łzy spływały jej po policzkach i spadały na gruby materiał sukienki. Kiwnęła głową.

– *Signora*, czy może mi pani powiedzieć, jak pani to robiła?

Popatrzyła na niego, jakby nie zrozumiała pytania.

– Jak pani podsłuchiwała te rozmowy?

Pokręciła głową.

– Jak pani to robiła, *signora*? To ważne – dodał. – Muszę to wiedzieć.

Na jej twarzy pojawił się rumieniec. Brunetti często mówił ludziom, że jest jak ksiądz, że ich sekrety są u niego bezpieczne. Wiedział jednak, że w tym wypadku byłoby to kłamstwo, dlatego nie próbował jej przekonywać, tylko czekał.

– To detektyw – wyjaśniła w końcu. – Zamontował coś do telefonu w moim pokoju.

– Magnetofon? – spytał Brunetti.

Kiwnęła głową, rumieniąc się jeszcze mocniej.

– Czy nadal go pani ma?

Ponownie kiwnęła głową.

– Czy może mi go pani przynieść? – Nie zareagowała, powtórzył więc pytanie.

– Może mi go pani przynieść? Albo powiedzieć, gdzie jest?

Przykryła oczy dłonią, lecz łzy wciąż płynęły.

Brunetti czekał. W końcu wolną ręką wskazała za siebie.

Komisarz wstał i zanim zdążyła zmienić zdanie, wyszedł z salonu. Ruszył korytarzem, mijając po drodze kuchnię i jadalnię. Na końcu zajrzał do pokoju ze stojakiem na garnitury, a potem otworzył drzwi do pokoju po przeciwnej stronie i znalazł się w królestwie nastolatki, z białymi szyfonowymi falbankami zdobiącymi dolną część łóżka i toaletką; jedną ze ścian pokrywały lustra.

Przy łóżku stał ozdobny mosiężny telefon. Słuchawka spoczywała na dużym kwadratowym pudełku z okrągłą tarczą pamiętającą dawne czasy. Podeszedł do łóżka, ukląkł i odsunął falbanki. Do bazy podłączone były dwa przewody: jeden prowadził do gniazdka telefonu, a drugi do małego magnetofonu wielkości walkmana. Kiedyś korzystał z takiej miniatury podczas rozmowy z podejrzanymi. Było to niezwykle czułe urządzenie, o zadziwiającej czystości dźwięku.

Odłączył magnetofon i wrócił z nim do salonu. Signora Mitri wciąż przykrywała dłonią oczy, lecz uniosła głowę, gdy usłyszała jego kroki.

Brunetti postawił magnetofon na stoliku.

– Czy to jest to urządzenie, *signora*? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Czy mogę przesłuchać taśmę?

Oglądał kiedyś program w telewizji, pokazujący, jak węże potrafią zahipnotyzować swoją zdobycz. Kiedy kobieta poruszyła głowę w przód i w tył, nie spuszczać z niego wzroku, przypomniał mu się ten program i poczuł się nieswojo.

Kiwnęła głową na znak zgody i patrzyła mu na ręce, gdy wciskał klawisz

„rewind”. Kiedy posłyszał stuknięcie kasety, oznaczające, że się przewinęła, wcisnął przycisk „play”.

Różne głosy, w tym jeden należący do nieżyjącego człowieka, wypełniły pokój. Mitri gawędził ze szkolnym kolegą i ustalał termin wspólnej kolacji; signora Mitri zamawiała nowe zasłony; signor Mitri telefonował do kobiety i zapewniał, że nie może się już doczekać, by ją zobaczyć. W tym miejscu signora Mitri odwróciła ze wstydu twarz i znowu się rozplakała.

Następne minuty przyniosły podobną mieszankę rozmów, równie banalną i niekonsekwentną. Jednak zupełnie bezsensowny – wobec faktu, że Mitri już nie żył był jego głos mówiący o pożądaniu. Potem zabrzmiał głos Bonaventury, pytający Mitriego, czy nie znalazłby jutro wieczorem czasu na przejrzanie papierów. Kiedy Mitri wyraził zgodę, Bonaventura powiedział, że wpadnie około dziewiątej lub przyśle z tymi dokumentami kierowcę. Wtedy właśnie usłyszał rozmowę, o którą się modlił. Jednak była! Telefon zadzwonił dwa razy. Bonaventura odebrał go z nerwowym: *Si?* i wówczas odezwał się głos drugiego nieżyjącego mężczyzny.

„To ja. Załatwione”.

„Na pewno?”

„Tak. Nadal tu jestem”.

Cisza, jaka zaległa, świadczyła o zaskoczeniu Bonaventury takim brakiem rozwagi.

„Natychmiast stamtąd wyjdź”.

„Kiedy się zobaczymy?”

„Jutro. U mnie w biurze. Dam ci resztę”.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Potem zabrzmiał drżący kobiecy głos wzywający policję. Brunetti wcisnął klawisz „stop”. Kiedy spojrzał na siedzącą przed nim kobietę, nie dostrzegł już na

jej twarzy łez ani żadnych emocji.

– To pani brat?

Była w stanie jedynie kiwnąć głową. Wyglądała jak ofiara bombardowania, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczyma.

Brunetti wstał, sięgnął po magnetofon i wsunął go do kieszeni.

– Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, *signora* – powiedział.

Rozdział 28

Wracał do domu z małym magnetofonem, który ciążył mu bardziej niż pistolet czy inne śmiercionośne narzędzie. Ściągał go w dół, a zapisane na nim informacje tłukły mu się po głowie. Z jaką łatwością Bonaventura przygotował swojego szwagra na spotkanie ze śmiercią: wystarczył jeden telefon i wiadomość, że kierowca przywiezie mu dokumenty do przejrzenia. Mitri, niczego nie podejrzewając, wpuścił mordercę, prawdopodobnie wziął od niego dokumenty i odwrócił się, żeby położyć je na stole lub biurku. To dało Palmieriemu sposobność do zarzucenia mu fatalnego kabla na szyję.

Tak silny i doświadczony zbrodniarz jak Palmieri potrzebował na to zaledwie chwili, a następnie minuty, może niecałej, by zacisnąć końcówki kabla i przytrzymać mocno, aż zdusił w Mitrim życie. Ślady skóry pod paznokciami ofiary dowodziły, że próbowała się opierać, lecz było to bezskuteczne od momentu, gdy Bonaventura zadzwonił w sprawie papierów, a nawet jeszcze wcześniej – gdy z jakichś powodów postanowił uwolnić się od człowieka, który zagrażał jego fabryce i brudnym interesom.

Brunetti nie pamiętał już, ile razy mówił, że żadna zbrodnia nie jest w stanie go zaskoczyć, a jednak każde nowe morderstwo wprawiało go w osłupienie. Widział ludzi, którzy zabijali dla kilku tysięcy lirów i dla kilku milionów dolarów, lecz nigdy nie znajdował w tym sensu, bo za każdym razem wysokość sumy, większa lub mniejsza, wyznaczała cenę za ludzkie życie i stawiała ponad nie bogactwo, a tego nie był w stanie zrozumieć. Nie potrafił też pojąć, jak ktoś mógł to zrobić. Motywy były proste i wielorakie: chciwość, żądza, zazdrość. Lecz co ludzi skłaniało do popełniania takich czynów? To przekraczało możliwości jego wyobraźni.

Wrócił do domu, czując chaos w głowie. Kiedy Paola go usłyszała, wyszła z gabinetu.

– Zaparzę nam tisane – powiedziała, widząc wyraz jego twarzy.

Odwiesił płaszcz i poszedł do łazienki. Umył ręce i twarz, a potem spojrział w lustro. Jak on mógł wiedzieć o takich rzeczach i nie dostrzegać ich śladów na swoim obliczu? Przypomniał sobie wiersz, który czytała mu kiedyś Paola o tym, jak świat patrzy na tragedie i nie drży w posadach. Psy – pisał poeta – pilnują psych interesów. A on pilnował swoich.

Na stole w kuchni stał imbryczek należący niegdyś do jego babki, obok dwa kubki i wielki słoik z miodem. Brunetti usiadł, a Paola naląła mu aromatycznej herbaty.

– Może być lipowy? – spytała, otwierając słoik i wlewając mu łyżeczkę miodu do kubka.

Kiwnął głową, kiedy podsunęła mu kubek z łyżeczką. Zaczął mieszać herbatę, delektując się zapachem.

– Wysłał kogoś, żeby zabił Mitriego – oznajmił bez wstępów. – A kiedy było po wszystkim, morderca zatelefonował do zleceniodawcy z mieszkania ofiary.

Paola dodała miodu do swojego kubka, trochę mniej niż do mężowskiego, i zaczęła mieszać łyżeczką.

– Żona Mitriego nagrywała jego rozmowy z innymi kobietami – ciągnął Brunetti. Zdmuchnął parę znad kubka i wypił łyk. – Jest nagranie tej rozmowy. Bonaventura mówi w niej mordercy, że jutro da mu resztę pieniędzy.

Paola nadal mieszała, jakby zapomniała, że ma wypić herbatę.

– Czy to wystarczy? – spytała, kiedy wyczuła, że Brunetti nie ma już nic więcej do powiedzenia. – Żeby go skazać.

Skinął głową.

– Mam nadzieję. Tak sędzę. Powinna być z tego dobra próbka głosu.

Magnetofon jest bardzo czuły.

– A rozmowa?

– Trudno się nie domyślić, o czym mówią.

– Mam nadzieję – powiedziała, nadal mieszając herbatę.

Brunetti był ciekaw, które z nich to powie. Popatrzył na żonę, na jasne pasma włosów okalające jej twarz i poczuł wzruszenie.

– Więc nie masz z tym nic wspólnego.

Milczała.

– Absolutnie nic – powtórzył.

Wzruszyła ramionami, lecz nadal milczała.

Sięgnął przez stół, wyjął jej łyżeczkę z palców, odłożył na podkładkę z maty i wziął dłoń żony w swoją.

– Paolo, nie masz z tym nic wspólnego. I tak by go zabił.

– Ale mu to ułatwiłam.

– Chodzi ci o ten list?

– Tak.

– Wykorzystałby coś innego.

– Ale wykorzystał właśnie to – odparła zdecydowanie. – Gdybym nie dała im okazji, może by nie zginął.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Nie, i nigdy nie będę wiedziała. Tego właśnie nie mogę znieść. I zawsze będę czuła się odpowiedzialna.

Nic nie mówił, zbierając się na odwagę.

– Nadal chciałabyś to zrobić? – spytał wreszcie. Milczała, lecz on musiał to wiedzieć. – Rzuciłabyś kamieniem w szybę?

Długo nie odpowiadała. Jej dłoń spoczywała nieruchomo w jego dłoni.

– Gdybym wiedziała tylko to co wtedy, tak – odrzekła. – Nadal chciałabym to

zrobić.

Brunetti milczał. Odwróciła dłoń, by lekko uścisnąć jego rękę. Spojrzał w dół, po czym znowu popatrzył na Paolę.

– No więc? – spytała.

– Czy chcesz, żebym to zaaprobował? – spytał neutralnym tonem.

Pokręciła głową.

– Wiesz, że nie mogę – stwierdził z odcieniem smutku. – Za to mogę ci powiedzieć, że nie jesteś odpowiedzialna za to, co się z nim stało.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Ach, Guido, chcesz brać na swoje barki wszystkie kłopoty świata.

Wziął kubek wolną ręką i uniósł go do ust.

– Nie jestem w stanie tego zrobić.

– Ale chcesz, prawda?

Milczał przez dłuższy czas.

– Tak – odpowiedział wreszcie, jakby przyznawał się do słabości.

Uśmiechnęła się i ponownie ścisnęła jego dłoń.

– Już sama chęć wystarczy.